

ELIZABETH ROSS

BELLE EPOQUE



*Istnieją dwa sposoby roztaczania światła:
bycie świecą lub lustrem, które odbija jej blask.*

Edith Wharton

Rozdział pierwszy

- Idealna, po prostu idealna - oświadczył tęgi mężczyzna i zmierzył mnie wzrokiem; marynarka uciskała jego opasły tułów. Domyślałam się, że to pan Durandeu, choć sam nie raczył się przedstawić. Zamiast tego krążył wokół mnie, zakłopotanej, stojącej nieruchomo na środku salonu. W powietrzu unosiła się mdląca woń jego perfum.

„Idealna” - nigdy wcześniej nikt nie ocenił mnie w ten sposób. Zerknęłam w dół na ubłocony rąbek sukienki, na zdarte buty... I zobaczyłam jedynie przybłądę, uciekinierkę, jeszcze jednego podrzutka z paryskich ulic.

Młodszy mężczyzna, przystojny i wysoki, z kwadratową szczęką i falami brązowych włosów, wychylił głowę zza drzwi.

- Laurent, chodź. - Durandeu przywołał go gestem dłoni, po czym skinieniem głowy wskazał w moją stronę. - Co o tym sądzisz?

- Młodzieniec podszedł bliżej i przyjrzał mi się, jakby oceniał wartość rynkową jałówki.

Miałam przyjść na rozmowę w sprawie posady, ale nikt nie zadawał mi żadnych pytań. Czy potrafię ciężko pracować? Czy umiem gotować, szyć? Nie interesowało ich nawet, jak mam na

imię. Przypomniałam sobie treść ogłoszenia, które leżało teraz zmięte w mojej kieszeni.

młode kobiety do prostej pracy. Wymagane dobre wychowanie. Zgłoszenia osobiste w agencji Durandeu, 27, Avenue de l'Opéra, Paryż.

Spodziewałam, że będzie to praca jak każda inna, którą oferuje się młodym kobietom niemającym żadnych znajomości - pranie pościeli, krochmalenie kołnierzyków, szorowanie garnków i patelni. Teraz jednak wątpliwość, niczym mucha brzęcząca nad uchem, nie dawała mi spokoju.

- Nic nadzwyczajnego - wyraził swoją opinię młodszy. - Może na kontrakt z hrabiną Dubern? - dodał po chwili milczenia.

- Właśnie tak! - wykrzyknął Durandeu. - Hrabina prosiła o jakąś skromną ozdóbkę, pamiętasz? Nie chcesz chyba przyodziać nowicjuszek na podobieństwo salonowej matrony?

Hrabina? Ozdóbka? Spoglądałam na twarze obu mężczyzn, próbując pojąć, do czegoż właściwie jestem tak idealna. Doszłam do wniosku, że chyba musiałam zgubić wątek.

Burczało mi w brzuchu, wzrok uciekał przed ich spojrzeniami, czułam zawroty głowy, byłam zdezorientowana. W ostatnich dniach zaczęłam oszczędzać na jedzeniu. Do Paryża przyjechałam zaledwie kilka tygodni temu, a większość franków wydałam na obskurny pokój na poddaszu. Okazało się, że sama ucieczka to bułka z masłem, prawdziwe wyzwanie stanowiła walka o każdy następny dzień. Może powinnam była zostać na wsi i pogodzić się z wolą ojca? Wtedy na pewno nie byłabym głodna. Nie jako żona rzeźnika.

Na myśl o gęsiach, bażantach i kaczkach wiszących w sklepie pana Thierryego pociekła mi ślinka. Po chwili jednak przypomniałam sobie swego niedoszłego męża, człowieka co najmniej czterdziestoletniego, z przerośniętymi przedramionami i ze złowrogim uśmiechem.

- Tak, myślę, że będzie przyzwoita - orzekł Durandeu, po czym klasnął decydująco w dłonie, aż zadrżał jego podwójny podbródek. - Pokażemy ją w południe i zobaczymy, co powie hrabina.

Stojąc w milczeniu, mogłam tylko sama ocenić pana Durandeu. Przypominał gołębia: jego krótkie nogi z trudem podtrzymywały beczkowate ciało, a opasły brzuch rozpychał perłową kamizelkę z satyny.

Po wyjściu Laurenta pan Durandeu nareszcie odzyskał dobre maniery.

- Jak ci na imię, młoda damo?

- Maude Pichon. - Mój głos był ochryply, długo nic nie mówiłam.

- Pichon... Co to za nazwisko? - zapytał. - Skąd pochodzisz?

- Z Poullan-sur-Mer - odparłam. - To wieś w Bretanii - dodałam, widząc jego niepewną minę.

- To wyjaśniałoby twój akcent, ale możemy nad tym popracować. Czuję, jak zadrżała w posadach moja bretońska duma.

- Co złego jest w moim akcencie?

- Ile masz lat? Szesnaście, siedemnaście? - odpowiedział pytaniem na pytanie.

- Szesnaście, proszę pana. Pokiwał głową.

- A co z twoimi rodzicami?

- Nie żyją. - Nie do końca mówiłam prawdę, ale dla mnie ojciec równie dobrze mógłby nie istnieć. Nie mogłam wrócić do domu. Nie tylko udaremniłam jego plany małżeńskie wobec mnie, ukrad-

łam też wszystkie pieniądze ze sklepu. Wtedy wydawało mi się, że to oszałamiająca suma, ale życie w Paryżu było znacznie droższe, niż myślałam.

- To okropne - oznajmił nieszczercze pan Durandeu. - A więc przeczytałaś jedno z naszych ogłoszeń. Nie mieliśmy do nich szczęścia. Z perspektywy czasu okazało się, że należało zastosować delikatniejsze sformułowania.

Anons był dość ubogi w szczegóły, ale praca to praca. Zresztą jak bardzo kwiecistym stylem powinno być napisane takie ogłoszenie?

- Rekrutacją zajmuje się Laurent. To uroczy, przemiły człowiek. Dzięki niemu osiągamy lepsze efekty.

Jego niejasne wypowiedzi zaczęły mnie niepokoić. W końcu zebrałam się na odwagę.

- Proszę pana, na czym dokładnie polega ta praca?

- Uposażenie jest bardziej niż uczciwe. - Durandeu znów zignorował moje pytanie. - Oczywiście sprawimy ci stosowny ubiór. Zajmie się tobą nasza szwaczka *madame* Leroux. Ona na pewno wymyśli coś odpowiedniego, zanim przyjdą pierwsi klienci.

Po tych słowach sięgnął do kieszeni, wyjął pięciofrankową monetę i mi ją wręczył.

- Witamy w agencji - oznajmił.

Ze złotą monetą w dłoni natychmiast zapomniałam o trapiących mnie pytaniach, na które nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Dostałam pracę? Rozdarta między euforią a osłupieniem ruszyłam różnym krokiem wzdłuż korytarza za panem Durandeu.

Madame Leroux mamrotała coś pod nosem, prując szwy w rękawie sukienki. Pomieszczenie od podłogi aż po sam sufit wypełniały stosy materiałów i rozwieszonych sukni, a szpule różnokolorowych

nici piętrzyły się jedne na drugich niczym warstwy weselnego tortu. Szwaczka odgryzła fragment niesfornej nici.

- Nie da się pracować... Jak z lichych materiałów mają powstać szykowne suknie? No jak?

Cmoknęła z dezaprobatą i zerknęła w moją stronę, jakbym to ja odpowiadała za jakość tkanin. Włosy miała rozczochrane, grzywka opadała jej na czoło jak u konia zimnokrwistego w stajni mojego ojca. Znowu coś do siebie mrucząc, odłożyła robotę i podeszła do mnie.

- Co my tu mamy? Ręce na boki. - Chwyciła miarę krawiecką i kilkoma wprawnymi ruchami zmierzyła mnie wzdłuż i wszerz. - Jesteś chuda jak szczypior. Nie wiem, czy znajdę coś, w czym się nie utopisz.

Skrepowana odwróciłam wzrok. Zawsze byłam koścista, ale po przyjeździe do Paryża, mimo jego kulinarnej sławy, schudłam jeszcze bardziej. *Madame Leroux* podeszła do sukienek wiszących w równym rzędzie i zaczęła przebierać między nimi. Zaciekawiona wyciągnęłam szyję.

- Dlaczego będę musiała się przebrać? - zapytałam. Zastygła i spojrzała na mnie urażona.

- Przecież w tym nie będziesz reprezentować naszej agencji!
- Wskazała głową na mój prosty ubiór i powróciła do przeglądania garderoby.

Ścisnęłam mocniej pięciofrankówkę od pana Durandea i pogrążyłam się w rozmyślaniach. Skoro hrabina przyjmuje mnie do służby, zapewne będę pracować jako pokojówka, a może nawet guwernantka. Uderzyło mnie jednak to, że suknie, które widziałam przed sobą, zupełnie do tej profesji nie pasowały. Bynajmniej nie były to praktyczne bawełniane stroje w odcieniach czerni i szarości, lecz atłasowe lub wykonane z tafty, kolorowe i ozdobne ubiory.

- One nie wyglądają na uniformy dla służby - odezwałam się z nadzieją, że dowiem się nieco więcej o swoim nowym zajęciu.

- Bo są jedyne w swoim rodzaju, głupia! I nie są przeznaczone dla służby. - Szwaczka odwróciła się do mnie purpurowa na twarzy, triumfalnie dzierżąc w dłoni ciemnozieloną aksamitną suknię z bufiastymi rękawami.

Jej odpowiedź niewiele mi wyjaśniła. Kobieta wcisnęła mnie w gorset, co bardziej wyglądało na jakiś rodzaj kary, następnie niby ogon doczepiła turniurę, pomogła mi włożyć dolną część sukni, upięła górę i sprawnymi palcami zajęła się ogromną liczbą malutkich guzików. Szturchnięciem łokcia pchnęła mnie w kierunku lustra. Pobladałam, kiedy zobaczyłam, do jakiego stopnia kolor materiału gryzie się z moją karnacją. Wyobraziłam sobie, co powiedziałyby na to matka. Ona, która tak bardzo lubiła dobrze wyglądać, choć praca w sklepie nie stwarzała jej zbyt wielu okazji do wdziwania najlepszych kreacji. Przypomniałam sobie szeni-lowy płaszcz, który wkładała do kościoła, a także wzorzystą kre-tonową sukienkę przeznaczoną na pikniki. Gdyby żyła i była teraz przy mnie, z pewnością nie pozwoliłaby mi pokazać się w tym publicznie. Bufiaste rękawy poszerzyły mi ramiona, i tak ledwo widoczny biust zanikł już niemal całkowicie pod uciskającym gorsetem, turniura uwypukliła cały tył, a talia zwężyła się jeszcze bardziej. Czułam się groteskowo.

Za drzwiami usłyszałam dźwięk zbliżających się kroków, a po chwili do moich uszu doszły kobiece głosy.

- Lepiej się pospiesz i biegnij za nimi do salonu - poradziła *madame Leroux*. - Jeszcze tylko ostatnia rzecz. - Otworzyła szkatułkę i wyjęła z niej broszkę w kształcie łabędzia, zbyt odważną jak na mój gust, ale może nie miałam pojęcia, że to ostatni krzyk paryskiej mody.

Uśmiechając się szeroko, przypięła mi ją do sukni. Błyszczące oczy przezierały spoza włosów opadających na jej twarz. Jeszcze raz rzuciłam okiem na własne odbicie i przekonałam się, że nie mogła zrobić nic więcej, bym wyglądała jak straszdyło. Po chwili dziwne myśli, czarne jak atrament rozlany na białym pergaminie, zakradły się do mojej głowy. Otrząsnęłam się z nich natychmiast.

W miarę jak zbliżałam się do salonu, gwar kobiecych głosów przybierał na sile. Pełna obaw wzięłam głęboki oddech i pchnęłam mahoniowe drzwi. W pomieszczeniu tłoczyło się około dwudziestu młodszych i starszych kobiet. Wszystkie miejsca siedzące były pozajmowane, musiałam znaleźć sobie jakiś kąt, w którym mogłabym stanąć. Odnosiłam wrażenie, że cała uwaga towarzystwa skupia się na mojej śmiesznej sukni. Kilka kobiet spojrzało na mnie z ukosa. Z pewnością nie powinny zbyt surowo oceniać mojego stroju, ponieważ same nie zostały łaskawie potraktowane przez *madame* Leroux.

Właśnie rozważałam, gdzie mogłabym się wcisnąć, kiedy uśmiechnęła się do mnie pewna pulchna kobieta o czerwonej twarzy. Odwzajemniłam uśmiech i zauważyłam przy tym, że jej suknia w kolorze zleżalej musztardy jest po stokroć szkaradniej-sza od mojej. Stanęłam obok; czułam się przy niej trochę mniej koszmarnie.

Moją uwagę przykuł perlisty śmiech dochodzący z za drzwi. Do salonu wkroczył Durandeu w towarzystwie dwóch szykownych dam. W tej samej chwili szum rozmów ucichł, a moje nowe koleżanki zastygły w bezruchu ze wzrokiem wbitym w przestrzeń. Damy wyglądały jak dwie wymalowane lalki, pełne wdzięku i delikatności, do tego całkiem swobodnie poruszały się w tych wytwornie urządzonych wnętrzach. Niespiesznym krokiem i bez cienia skrępowania zaczęły przechadzać się między nami. Jedna

z nich, w imponującej biało-czarnej sukni, z ciemnymi włosami ciasno upiętymi w kok i z zadowoleniem wymalowanym na twarzy, miała minę kota nakarmionego do syta. Druga była przyodziana w mieniącą się na różowo suknię, która przypominała błyszczącą powierzchnię muszelki. Z uśmiechem na ustach co chwilę spoglądała na swoje odbicie w lustrze wiszącym nad kominkiem. Durandeu skakał wokół nich jak rozochocony spaniel, który pragnie przypodobać się swoim paniom.

- *Madame Vary* - zwrócił się do damy w różu. - Mam dokładnie coś, czego pani w tym tygodniu potrzebuje. - Spojrzał wymownie na kobietę z haczykowatym nosem i ze sterczącym podbródkiem i dodał: - Ten kanciasty profil znakomicie podkreśli pani idealne proporcje.

Madame Vary bacznie przyjrzała się nieatrakcyjnej twarzy wskazanej kobiety, tymczasem Durandeu odezwał się do damy w czerni i bieli:

- Hrabino Dubern, w przeciwieństwie do świńskich oczu tej tam, pani pogodnie spojrzenie zniewoli każdego.

Wstrząsnęły mną jego słowa. Na twarzy hrabiny pojawił się delikatny uśmiech. Obie wytknięte palcem kobiety siedziały nie-poruszone. Dlaczego w żaden sposób nie zareagowały na obelgi?

- *Madame Vary* - zwróciła się hrabina do swej przyjaciółki. - Spójrz na nią. Uważasz, że będzie lepsza niż ta, którą wynajęłam w zeszłym tygodniu?

- Obie są tak szpetne, że nie potrafię wybrać - orzekła *madame Vary*. - Aczkolwiek ta ze świńskimi oczkami chyba bardziej podkreśli twoją sylwetkę.

Zdjęta nagłym strachem rozejrzałam się po salonie, omiotłam wzrokiem twarze kobiet i nagle mnie olśniło. Były w różnym wieku, innego wzrostu i karnacji, ale wszystkie bez wyjątku odznaczały się jedną wspólną cechą - niepomiarłą brzydotą. Niektóre można

było określić wręcz jako szkaradne. Poczułam uderzenie gorąca, serce załomotało mi w piersi, kiedy uświadomiłam sobie, że jestem jedną z nich.

Durandeu zauważył mnie z drugiego końca salonu i potruchtał w moją stronę.

- Hrabino, a tutaj mamy coś dla twojej córki. - Gestem poprosił, żebym podeszła bliżej. - Brzydota i pospolitość w najlepszym wydaniu, wręcz idealna dla Isabelle. Nic lepiej nie uwypukli jej wdzięków na pierwszym w życiu balu u wicehrabiostwa Rochefort.

Hrabina zbliżyła się do mnie posuwistym krokiem. Była piękna i majestatyczna jak aktorka na scenie teatralnej.

- Spójrz, pani, na jej włosy - Durandeu kontynuował wiwisekcję - mają kolor mokrej słomy. Zadarty do góry nos, matowa cera, plamy na skórze, do tego tępe, zgaszone, jakby bydlęce spojrzenie, bezbarwne, nijakie oczy i w końcu to wyschnięte, kościste ciało.

Jego słowa - katalog ludzkich wad wyrecytowany z taką dezyn-wolturą - jak ostre ciernie przekłuły mi serce. Oczy hrabiny zamigotały złośliwie, kiedy omiotła mnie wzrokiem z dołu do góry.

- Tak, myślę, że się nada. Chociaż trudno orzec, dopóki obie nie staną obok siebie.

Durandeu klasnął w dłonie.

- Idealnie. Jak tylko przejdzie odpowiednie szkolenie, zaaranżuję spotkanie. To prawdziwe cacko, zaręczam pani.

- Jesteś czerwona jak burak, moje biedactwo! - Kobieta w musztardowej sukni się zaśmiała. Stałam bez ruchu ze ściśniętym gardłem, niezdolna odpowiedzieć na jej uwagę.

Gwar rozmów powrócił, kiedy pan Durandeu, hrabina oraz *madame Vary* opuścili salon. Wydawało się, że żadna ze zgromadzonych kobiet nie przejmuje się sceną, jaka rozegrała się tu przed chwilą.

- Chyba przypadłaś hrabinie do gustu, co? - ciągnęła musztarda.

- Co to za praca? - Spojrzałam na nią osłupiała.

- Jesteśmy damami dla kontrastu, ma się rozumieć. Nikt ci nie powiedział? - Zdziwiona chwyciła się za dość obfite biodra.

- Damami dla kontrastu? - powtórzyłam niepewnie. - Nie rozumiem.

.. - Po chwili jednak mnie oświeciło. Przeżuwałam w ustach palące język sylaby. Nie umiałam się z tym pogodzić. - Naszym zadaniem jest kontrastować, odpychać, zrażać innych? - szepnęłam przerażona.

- Masz dużo szczęścia, że już pierwszego dnia wpadłaś im w oko. - Musztardowa suknia zarechotała, po czym wzięła mnie pod rękę i poprowadziła w kierunku wyjścia. Podążyłyśmy za resztą kobiet, które zaczęły opuszczać pomieszczenie.

- Tędy, moja droga. Jadalnia jest za następnymi drzwiami. Wygląda na to, że od dawna nie widziałaś ciepłego posiłku.

Jedzenie było ostatnią rzeczą, o jakiej myślałam, kiedy długim korytarzem szłam gęsiego w towarzystwie kobiet i dziewcząt salonowych. W głowie miałam tylko jedno: wydostać się stąd jak najszybciej. Wyślizgnęłam się spod ręki swojej towarzyszki.

- Nie, ja nie mogę tu zostać. Przyszłam tylko w sprawie pracy. Moje nozdrza omiotła woń duszonego mięsa, a pusty żołądek niemal wywinął się na drugą stronę. Doszedł mnie dźwięk brzęczących sztućców, stukot szklanek, szuranie odsuwanych krzeseł. W innych okolicznościach bez oporów skusiłabym się na darmowy obiad. Ale nie tym razem.

- Laurent cię zwerbował? - zapytała moja towarzyszka. - Diabło przystojny, prawda? Bez zastanowienia pomaszerowałabym na front pruski¹, gdyby mnie o to poprosił! - Zaśmiała się.

¹ Aluzja do wojny francusko-pruskiej toczącej się w latach 1870-1871 [wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

Szumiało mi w głowie, ledwo docierało do mnie to, co dzieje się wokół. Żeby już tylko przestała mnie wypytywać!

- Nie, zobaczyłam ogłoszenie w gazecie - odparłam. Ogłoszenie! Wróciłam pamięcią do jego treści. Jak mogłam tak się pomylić?

- Odważna jesteś. To mi się podoba. Wkrótce się wyrobisz, a nie wszystkim młodym się to udaje, nawet po szkoleniu.

Słuchałam jej słów z rosnącą trwogą. Nie byłam ani jak ona, ani jak żadna inna. Ta jednak brnęła dalej:

- Masz grubą skórę. Albo raczej będziesz miała, trzeba cię tylko trochę podtuczyć.

Objęłam brzuch rękoma, by zagłuszyć grzmiące burczenie. Pokusa spożycia posiłku zaczęła wygrywać z urażoną dumą.

- Dziękuję, ale nie mogę tu zostać - oświadczyłam i zrobiłam w tył zwrot tuż przed samym wejściem do jadalni. Potrącana i popychana przez dziewczęta spieszące na obiad, próbowałam wydostać się z kolejki. - Naprawdę muszę iść.

- Dzisiaj potrawka z królika. Nie dasz się przekonać? - krzyknęła za mną.

- Nie, dziękuję, nie jestem głodna.

Spojrzała na mnie z politowaniem, jakby zaglądała w głąb mojej duszy.

- To do następnego razu - oświadczyła i uśmiechnęła się życzliwie. Skinęłam głową na pożegnanie i pognałam przez korytarz do pokoju krawcowej. Zapukałam, a po chwili wsunęłam głowę do środka. Na szczęście nikogo nie było. Dygocąc z głodu i upokorzenia, rozpoczęłam mozolne wyswobadzanie się z sukni. Przez niezliczone guziki na plecach byłam zmuszona do wyczyniania skomplikowanych akrobacji, byle tylko jak najszybciej zrzucić z siebie ten przeklęty strój. Potem jeszcze żmudne odwiązywanie gorsetu... A jeśli ten mały, wstrętny człowieczek pojawi się tu

i zażąda zwrotu pięciu franków? To tygodniowe wydatki na jedzenie. Wyobraziłam sobie, co mogłabym kupić za te pieniądze: chrupiąca bagietka posmarowana ostrą musztardą, a później gorąca czekolada. Tak gęsta, że musiałabym zeskrobywać ją łyżeczką z dna kubka.

Rzuciłam ubrania na warsztat, nawet nie troszcząc się o to, by odwiesić je na miejsce. Poczulałam się dobrze dopiero wtedy, kiedy wciągnęłam przez głowę swoją starą sukienkę. Wsunęłam rękę do kieszeni. Pięciofrankówka wciąż tam była, złota i ciężka. Czy jeśli ją zatrzymam, będzie to kradzież?

A jeśli nawet, co z tego? Postanowiłam potraktować to jako rekompensatę za najbardziej upokarzające doświadczenie swojego życia. Pod palcami wyczułam zmięte ogłoszenie, które wydarłam z gazety. Wyciągnęłam je z kieszeni, rozprostowałam zagięcia i zauważyłam, że w miejscu przedarcia brakuje pierwszego słowa. Zostały jedynie trzy ostatnie litery: kie. Natychmiast domyśliłam się tych brakujących.

Brzydkie młode kobiety do prostej pracy.

Wymagane dobre wychowanie.

**Zgłoszenia osobiste w agencji Durandea, 27,
Avenue de l'Opéra, Paryż.**

Rozdział drugi

Brigitte zmierzała w moją stronę po podłodze wyłożonej czarnymi i białymi kafelkami, wymachując koszulą, którą właśnie uprasowałam. Wpatrywała się we mnie przymrużonymi oczami. Spuściłam wzrok, czekając na reprimendę.

- Tak to się robi w twoich stronach? - Spojrzałam na jej zmizerniałą twarz. - Tylko popatrz! - Potrząsała koszulą. - Pomarszczona jak skóra mojej babci! Jesteś w Paryżu, *mademoiselle*, a nasza pralnia Bromont cieszy się znakomitą reputacją!

Odłożyłam na bok stertę pościeli, którą sortowałam, i bez marudzenia wzięłam koszulę. Babcia Brigitte musiała chyba mieć najgładszą skórę w całym Paryżu, ale już wiedziałam, że kłócenie się z pracownikami przynosi więcej szkody niż pożytku. Pochyliłam głowę i bez słowa zabrałam się do pracy.

Brigitte wróciła do swoich zajęć przy bieliźnie. Rozłożyłam koszulę, chwyciłam żelazko i ostrożnie rozprasowywałam fragment po fragmencie. Pozostałe praczki były dla mnie tak bezlitosne jak mydło i gorąca woda dla mojej skóry. Agnès, Brigitte i Clémence przypominały mi gdaczące kury, które hodowaliśmy, kiedy byłam dzieckiem. Wszystkie trzy w ciągłej komitywie, a ich ulubionym

zajęciem było dogryzanie mi przy każdej możliwej sposobności. Zarzuciwszy mnie najgorszą pracą, większość dnia spędzały na plotkowaniu. Szczególnie Clémence lubowała się w opowiadaniu różnego rodzaju historyjek.

- Słuchajcie, ostatnio w tawernie spotkałam takiego przystojniaczka...
- wszystkie zaczynały się dokładnie tak samo - .. i mówię do niego, i mówię... - dalej w podobnym tonie. Wyłączałam się z tej gadaniny, tak parszywej jak ich łapska pokryte odciskami.

Gorąca para buchnęła mi prosto w twarz. W ciągu dwóch tygodni pracy przekonałam się, że paryska pralnia bardziej przypomina salę tortur. Wszystkie mięśnie miałam obolałe, ręce poparzone od żelazka, a palce skostniałe i powyginane od wyżymania. W pomieszczeniu brakowało powietrza; moja praca polegała na powtarzającym się cyklu prania, suszenia, prasowania i składania. Wokół piętrzyły się stosy brudnej bielizny, na sznurach wisiały białe prześcieradła, a wyprasowane koszule czekały na posortowanie i wydanie właścicielom. Skomplikowany system rur doprowadzających wodę otaczał mnie niczym kraty w klatce. Wiecznie zaparowane szyby w oknach nie pozwalały nawet na minimalny kontakt ze światem zewnętrznym. Zresztą nawet gdybym mogła przez nie wyjrzeć, zobaczyłabym jedynie ślepy zaułek. O wolnej chwili na snucie marzeń nie było mowy.

Utwierdzona w przekonaniu, że nie powrócę do agencji, w której ubiory były równie brzydkie jak ich właścicielki, postanowiłam rozejrzeć się za uczciwą posadą. Byłam przekonana, że mając doświadczenie w pracy w wiejskim sklepiku, bez trudu znajdę zajęcie w jednym z paryskich butików. Jednakże, odsyłana z kwitkiem ze wszystkich miejsc, do których wstępowałam, zdałam sobie wreszcie sprawę, że młoda dziewczyna o wyglądzie prowincjuszki i bez żadnych referencji nie ma szans na sprzedawanie szykow-

nych kreacji czy choćby wypieków przypominających małe dzieła sztuki. Ponadto wciąż dręczyło mnie wspomnienie przesłuchania w agencji Durandea, które skutecznie podkopywało moje poczucie własnej wartości. Wolałam już stać się niewidzialna, niż zostać uznana za brzydką.

Z drugiego końca sali doszedł mnie głośny rechot. Skończył się sabat i czarownice wróciły do swoich obowiązków. Brigitte podeszła do mnie i postawiła na stole kosz pełen czystych obrusów. Właśnie skończyłam prasować koszulę, którą starannie składałam na jej oczach. Uważnie śledziła każdy mój ruch.

- Maude, weźmiesz ten kosz i zaniesiesz do restauracji LAca-démie na końcu ulicy.

Nareszcie odpoczynek od tego kurnika. Skinęłam głową, nie dając po sobie poznać, jaką mi to sprawiło ulgę. Chwyciłam kosz i ruszyłam w kierunku wyjścia. Po drodze złapałam chustę wiszącą na haku i zarzuciłam ją sobie na ramiona.

- I nie zapomnij zabrać od nich brudnych rzeczy do prania! -krzyknęła za mną Brigitte.

- Dobrze, będę pamiętać - odparłam głosem, w którym pobrzmiwała ledwo słyszalna nuta entuzjazmu, po czym nacisnęłam kłamekę.

Było późne popołudnie. Złote promienie słońca rzuciły długie fioletowe cienie na ulice dzielnicy Montparnasse. W porównaniu z bezbarwnym wnętrzem pralni zewnętrzny świat pulsował jasnością i mienił się wszystkimi kolorami tęczy. To w tej dzielnicy, na dworcu kolejowym stawiałam pierwsze kroki w Paryżu, tutaj też znalazłam lokum. Wcześniej nie wiedziałam, że okolice tę upodobali sobie pisarze i wszelkiej maści artyści. Nie dlatego jednak, że z każdego zaułka buchały piękno i inspiracja twórcza. Po prostu czynsze były tu niższe niż gdzie indziej.

Kosz był wypełniony po brzegi i ciężki jak dobrze wykarmione dziecko. Oparłam go o biodro i zagłębiłam się w ulice pełne omnibusów, dorożek i przechodniów. Przeszłam obok rzeźnika, który akurat zdejmował z haka parę bażantów. Nagłe wspomnienie *monsieur* Thierry'ego przeszło mnie dreszczem. Obok kwiaciarka chlusnęła do rynsztoka brudną wodą z wiadra. Odskokczyłam szybko, omal nie poślizgnąwszy się na mokrym bruku. Ścisnęłam mocniej kosz. Kury zadziobałyby mnie na śmierć, gdybym przypadkiem wysypała jego zawartość na ulicę.

Restauracja *L'Académie* była w rzeczywistości niewielkim wyszynkiem wciśniętym między zakład fryzjerski a księgarnię. Na malutkim tarasie od ulicy tłoczyli się mężczyźni palący cygara i rozkoszujący się przyjemnym popołudniem. Na stołach zalegały szklanki i butelki z winem. Nie wyglądało na to, żeby ktoś postawił je tam przed chwilą.

- Przepraszam, przepraszam - powtarzałam, próbując przepchnąć się do wejścia.

Wszyscy rozmawiali jednocześnie, żaden z nich najwyraźniej nie zauważał mojej obecności. Uniosłam kosz ponad głowę i wcisnęłam się między krzesła. Kiedy wreszcie dostałam się do środka, kilka chwil zajęło mi przywyknienie do panującego tam mroku. Ściany obłożono czerwoną tapetą, gdzieś zawieszono obrazy i przymocowano półki na książki. Było pusto, tylko za barem stał kelner z papierosem przyklejonym do warg i wycierał mokre szklanki.

Podeszłam bliżej i odezwałam się z uśmiechem:

- Dostawa obrusów. - Jak dobrze, że pralnia była tak blisko. Ręce już całkiem mi zdrętwiały, a kosz co chwilę ześlizgiwał się z biodra.

- Wejściem dla personelu! - Spojrzał na mnie i potrząsnął głową.

- Co proszę? - zapytałam.

- Cofnij się i wejdź od tyłu, kretynko - rzucił.

- Przepraszam, nie wiedziałam. - Na twarzy poczułam uderzenie gorąca.

- Drzwi od frontu są tylko dla gości - dodał.

Musiał być wobec mnie tak nieuprzejmy? Ponownie wsparłam kosz o biodro i się wycofałam. W środku nie było nawet jednego klienta. Co za różnica, którą weszłam? Niemile dotknięta paryskimi manierami z trudem otworzyłam drzwi frontowe.

- *Excusez-moi* - powtórzyłam, znalazłszy się wśród mężczyzn zajmujących taras. I po raz kolejny zostałam zignorowana. Jeden z nich podniósł się z krzesła, ale tylko dlatego, że właśnie kłócił się z kolegą.

- Ależ to nonsens, Claude! Oto powód, dla którego polityka Drugiego Cesarstwa nic nie zmieni. Biedni pozostają biednymi, a bogaci wciąż pomnażają swoje fortuny.

Jak tylko się podniósł, odsunęłam nogą jego krzesło, by utworzyć sobie drogę. Tymczasem ich wymianę zdań niespodziewanie przerwał potężny wybuch śmiechu. Kątem oka dostrzegłam, jak młody mężczyzna, który jeszcze przed chwilą stał, z hukiem ląduje na podłodze. Westchnęłam, zdawszy sobie sprawę, że to moja wina.

- Tak bardzo mi przykro, proszę pana - powiedziałam natychmiast.

Podniósł się, otrzepując marynarkę z kurzu, i zajął poprzednie miejsce.

- Weźcie na przykład tę praczkę. - Wskazał na mnie, jakby nic się nie stało. - Wychudzona jak szczypior! Pewnie ledwo starcza jej na chleb.

- Postawmy jej kolację! - krzyknął ktoś.

Nawet nie zdążyłam się zorientować, kiedy mężczyzna z cygarem w zębach gwałtownym ruchem przyciągnął mnie do siebie i znalazłam się na jego kolanach. Kosz wypadł mi na podłogę.

- Napij się z nami - rzucił, oplatając mnie ramionami. Śmierdział smażoną wątróbką i cebulą. Odrzuciło mnie.

- Proszę mnie puścić - powiedziałam, próbując się wyswobodzić. - Niech mnie pan puści!

- Kelner! - krzyknął. - Brandy dla pomywaczki!

Zionął alkoholem, więc odwróciłam głowę, on jednak przytrzymał mnie jeszcze mocniej. Nie miałam szans na ucieczkę. Na tarasie pojawił się kelner.

- Panowie. -Zaczął wymachiwać rękami jak zawodowy dyrygent. - Naprawdę bardzo mi przykro. Nie powinna tak się wam narzucać.

Nikt nie zwrócił uwagi na jego słowa, a we mnie poczęła narastać panika. Rzuciłam się do przodu, wyzwalając się w końcu z objęć zapijaczanego klienta, i potknęłam się o stół, na którym zachybotał kieliszek czerwonego wina, by chwilę później wylądować w koszu ze świeżo upranymi, bielutkimi obrusami. Katastrofa.

W te pędy podbiegłam do kosza i szaleńczo zaczęłam wyrzucać wierzchnie warstwy obrusów, starając się nie dopuścić do zalania winem tych, które znajdowały się pod spodem. Szkarłatna plama przypieczętowała mój los. To z pewnością oznaczało dla mnie koniec pracy w pralni. A co dalej? Będę musiała żebrać, a może nawet kraść? Spojrzałam na rozbawionego całą sytuacją mężczyznę z cygarem, który chwycił mnie w objęcia. Wezbrała we mnie wściekłość.

- Nie ma pan nic lepszego do roboty poza przesiadywaniem w knajpach i piciem całe popołudnie? - Rzuciłam okiem na zniszczone płótno, które jeszcze przed chwilą było nieskazitelnie białe. - Niektórzy muszą ciężko pracować, żeby zarobić na życie.

- O, Bretonka! - Rozpoznał mój akcent, który zawsze nasilał się, kiedy byłam zdenerwowana. - Cóż za bojowa postawa! Wraz ze swoimi szacownymi towarzyszami zastanawiałem się właśnie,

jak by tu polepszyć warunki bytowania klasy robotniczej, do której i panienka wszak należy.

- Dosyć już, Claude! - przerwał mu młody mężczyzna, któremu niechcący odsunęłam krzesło, po czym wyjął z kieszeni chusteczkę i mi ją wręczył.

- Dziękuję - odpowiedziałam. Obrusom niewiele mogłam już pomóc, ale przynajmniej wytarłam zabrudzone dłonie.

- Chodź za mną - odezwał się szorstko kelner i podniósł kosz. Trzęsąc się ze złości, weszłam za nim frontowymi drzwiami,

przeszliśmy przez salę jadalną i znaleźliśmy się w kuchni. Kucharka siekająca warzywa zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów. Kelner wyjął z kosza czyste obrusy, schował je do szafki, a następnie wyciągnął spod zlewu stertę przygotowanych do prania. Na koniec dorzucił jeszcze te poplamione winem.

-Będzie nam potrzebna dodatkowa dostawa czystych nakryć. - Podniósł kosz i wcisnął mi go w rękę. Przytaknęłam nieznacznie. W myślach już szukałam wiarygodnego usprawiedliwienia przed kurami.

- Następnym razem wejdź tylnymi drzwiami. Zbyt wyględna to ty nie jesteś, ale klienci przestają być wybredni, gdy trochę sobie popiją.

Po tych słowach wskazał mi drzwi. Z łomoczącym sercem wypadłam na tylną uliczkę, gdzie niemal natychmiast oczy zaszły mi łzami od odoru gnijącego jedzenia. Ruszyłam przed siebie, nie bardzo wiedząc, w którą stronę idę. Restauracyjni goście przypominali mi skrzeczące mewy, hałaśliwe, napastliwe, puszące się, podczas gdy poniżej spokojny ocean, niepomny na pokrzykiwania dochodzące z góry, falował niespiesznie to w tył, to w przód.

Z bocznego zaułka wyszłam wprost na ulicę. Zapadał zmierzch, latarnie gazowe świeciły jak pomarańczowe gwiazdy. Rześkie wieczorne powietrze ostudziło nieco mój gniew. Oddychałam spokojnie, głęboko. Wtem usłyszałam czyjś głos.

- Proszę poczekać! Bretonka! - Odwróciłam się na jego dźwięk. W moim kierunku różnym krokiem zmierzał mężczyzna, któremu odsunęłam krzesło.

Zebrałam w sobie resztki sił, licząc na to, że ten koszmary dzień wreszcie się skończy.

- Weź to. - Ku mojemu zaskoczeniu wyciągnął dłoń, na której spoczywało kilka franków. - Zebrane od nas wszystkich. Tyle mogliśmy dla ciebie zrobić po tym, co cię spotkało. Jak ci na imię? - spytał i się uśmiechnął.

- Nie potrzebuję jałmużny - odparłam buńczucznie, choć w rzeczywistości omal nie wybuchłam płaczem. - Chcę tylko, żebyście dali mi spokój. Pan i pana koledzy... - Mój cienki głosik łamał się coraz bardziej.

Odwróciłam się i ruszyłam w swoją stronę, on jednak nie dawał za wygraną. Szłam, patrząc prosto przed siebie, a mężczyzna milcząco podążał obok. Po paru krokach usłyszałam brzęk monet, które rzucił na upchane w koszu obrusy. Zatrzymałam się i spojrzałam na pieniądze. Jeśli mnie zwolnią, będę ich potrzebować. Chęć przeżycia wzięła górę nad dumą. Wolną ręką zgarnęłam monety i wsunęłam je do kieszeni sukienki.

- Mam na imię Maude - odezwałam się, zerkając w jego stronę.

- Paul Villette. - Ponownie się uśmiechnął.

W milczeniu przeszliśmy kilka kolejnych kroków. Jego hojny gest wzbudził we mnie poczucie wdzięczności.

- Przepraszam za moich przyjaciół - rzekł po pewnym czasie.

- O czym pan mówi? - odpowiedziałam szorstko. - Przecież to pan zwrócił na mnie ich uwagę.

- Nie miałem pojęcia, że aż tyle wypili. Wcale nieźle poradziłaś sobie z Claudeem. - Parsknął śmiechem. - Bez butelki nie potrafi rozmawiać o losach świata.

- Świat doskonale poradzi sobie bez jego pomocy. - Rzuciłam na niego okiem.

W porównaniu ze swoimi współbiesiadnikami wyglądał dużo młodziej. Z pewnością nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Niesforne brązowe włosy wystawały mu spod kapelusza, a promienny uśmiech rozjaśniał twarz, podkreślając piwne oczy. Źle skrojony, zbyt luźny garnitur, jakby zdjęty ze starszego brata, wisiał na jego szczupłym ciele. Rozwiązany krawat świadczył o braku troski o wygląd zewnętrzny, dłonie były poplamione atramentem. Wyglądał na takiego, który bardziej niż ja potrzebuje wsparcia.

- Chcieli dobrze i z pewnością będzie im głupio, kiedy wytrzeźwieją - ciągnął, potrząsając głową. - Claude od czasu do czasu musi zostać porządnie złajany. Jak tylko schodzi na politykę, elegancki obiad zamienia się w karczemną awanturę.

W jednej chwili poczułam się skrępowana zarówno jego obecnością, jak i tym, że stał się mimowolnym świadkiem wybuchu moich emocji. Poczulałam potrzebę wytłumaczenia się.

- Naprawdę potrzebuję tej pracy - wyrzuciłam z siebie. - Nie mogę jej stracić.

- Chyba nie wyrzucą cię z powodu kilku brudnych obrusów?

- Moje koleżanki nie należą do zbyt pobłażliwych. - Wskazałam głową na kosz.

- Może niczego nie zauważą.

Zmierzch gęstniał coraz bardziej, kiedy dotarliśmy na róg ulic de Rennes i de Yaugirard.

- Ja idę tędy. - Wskazał głową. - Jeszcze raz bardzo przepraszam, przykro mi z powodu obrusów - powiedział i uniósł kapelusz. - Zapraszam na jeden z wieczorków muzycznych do Cafe Chez Emile. - Pokazał palcem lokal po drugiej stronie ulicy. - To lepsze niż politykowanie.

Uklonił się lekko, odwrócił i poszedł w swoją stronę. Patrzyłam za jego znikającą w mroku sylwetką. Nagle zdałam sobie sprawę, jak późno się zrobiło. Odwróciłam się szybko i pognałam ulicą de Rennes. Kiedy weszłam do pralni, kury szykowały się do wyjścia.

- Długoś panna zabawiła - zauważyła Agnès, po czym wzięła ode mnie kosz z obrusami i ku mojemu przerażeniu zaczęła je sortować. Nie mogłam na to patrzeć. Spuściłam wzrok na podłogę, białe i czarne kafelki zatańczyły mi przed oczami.

- Maude, skąd nagle tyle tych obrusów? - zainteresowała się Agnès. - Ich stałe zlecenie opiewa na dwadzieścia sztuk. Co ty znowu knujesz?

- Nic nie knuję - tłumaczyłam ze ściśniętym sercem.

- Nie bądź bezczelna, młoda damo - ucięła.

- To był wypadek - odparłam wåtłym głosem. - Wino się rozlało. -Czekałam na nieuniknione. Byłam przekonana, że zaraz mnie wyrzucą.

- Dobrze się bawiłaś? - szydziła Brigitte, wsparłszy się pod boki. - Panna zabawia się z klientami, a my tu zdzieramy sobie palce do kości.

- To nieprawda. - Próbowałam uciec przed ich oskarżycielskim wzrokiem.

- Jak przypuszczam, będą chcieli nowej dostawy - stwierdziła Agnès. Clémence wywróciła oczami.

- Obciąć jej wypłatę - powiedziała do pozostałych.

- Już ci obcięliśmy za przypalone żelazkiem poszewki - oznajmiła Agnès, kręcąc głową. - Maude, niedługo to ty będziesz nam płacić za każdy tydzień! - Na te słowa wszystkie wybuchnęły śmiechem. Dobrze, że w kieszeni miałam kilka franków.

- Dobrze, zajmiemy się tym jutro - zarządziła Agnès nieco łagodniejszym tonem i wyciągnęła z kieszeni fartucha brązową

kopertę. - Oto twoja wypłata - rzekła, wręczając mi ją. - To twoja ostatnia szansa.

Doznałam ulgi, ponieważ wciąż miałam pracę. Radość jednak szybko minęła, kiedy pod palcami poczułam, jak cienka jest koperta z moim uposażeniem. Kury włożyły płaszcze, czapki i skierowały się do wyjścia.

- Pamiętaj, że jeszcze dzisiaj masz wyprasować tamtą przyzmę prania - krzyknęła Brigitte już na progu.

Trzasnęły zamykane drzwi. Podeszłam do stołu, przy którym miałam spędzić cały wieczór.

Było chłodno, kiedy wracałam do domu. Znajome zapachy piwa, lamp gazowych i sadzy stanowiły przyjemną odmianę od woni mydlin. Zazwyczaj w drodze powrotnej zaglądałam przez witryny do wnętrz barów i kawiarni usytuowanych przy ulicy de Rennes, jednak tym razem byłam zmarznięta i zbyt zmęczona. Mimo to zwolniłam kroku, przechodząc obok Café Chez Émile. Ciekawe, kiedy Paul z przyjaciółmi ma tam swoje wieczorki. Przytknęłam nos do szyby, ale w tłumie gości nie dostrzegłam jego twarzy.

Mój wzrok padł na kobietę, którą nazywałam „zbląkaną duszą”. Siedziała jak zwykle w tym samym miejscu przy oknie, sama, z palcami zaciśniętymi na nóżce kieliszka, w sfatygowanej czapce i z pustym spojrzeniem. Jakie miała marzenia, kiedy przyjechała do Paryża? Czy podobnie jak ja była uciekinierką? Wzdrygnęłam się na myśl, że mogłabym skończyć podobnie, połknięta przez miasto i samotna.

Westchnęłam i ruszyłam dalej. Niedługo potem skręciłam w wąską uliczkę du Regard, przy której mieszkałam. Drzwi wejściowe zamknęły się za mną z hukiem, dookołą ciemność rozjaśniała jedynie smuga światła wydobywająca się spod drzwi konsjerża.

Stałam w mroku klatki schodowej. Aby dotrzeć do swojej mansardy, musiałam pokonać pięć pięter. Wymacałam ręką kamienną ścianę i postawiłam nogę na pierwszym stopniu. Moje obolałe stopy były jak z ołowiu. Jakby jakiś złośliwy kowal podbił mi buty metalowymi podeszwami. Usłyszałam skrzypnięcie otwieranych drzwi i spojrzałam w dół. W smudze światła stał mąż dozorczyńni.

- *Mademoiselle* Pichon, czynsz się należy. Jutro ostateczny termin. Więcej nie będę prosił.

- Tak, oczywiście, *monsieur*. - Uciekłam wyżej, byle dalej od jego złowieszczej postaci. Nawet nie wiedziałam, czy wystarczy mi pieniędzy na opłacenie lokum.

Zamknięta w pokoju mogłam odciąć się od świata, pobyć zupełnie sama. Rzuciłam czapkę i chustę na łóżko, po czym usiadłam na chybotliwym się krzeselku przed toaletką. Zapaliłam świecę i otworzyłam kopertę z wypłatą. Przeliczyłam pieniądze. Tak jak myślałam, grubość koperty mówiła sama za siebie. Nie stać mnie było na opłacenie czynszu za październik.

Z kieszeni sukienki wydobyłam kilka franków, które dostałam od Paula, i dołożyłam je do kupki leżącej na stoliku. Wystarczająco na czynsz, zbyt mało na jedzenie. Choć w pralni pracowałam zaledwie od kilku tygodni, moje dłonie wyglądały na niemiłosiernie spracowane, a ramionami wstrząsał rwący ból. Wokół mnie pojawiły się twarze z przeszłości: ojciec, *monsieur* Thierry i inni mieszkańcy wioski. „Myśli, że jest lepsza od nas”, szydzili, potrząsając głowami. Na pewno czekają, aż powinie mi się noga, ale ja nie miałam zamiaru wracać do domu. Walnęłam pięścią w blat, aż podskoczyły monety; jednym zamaszystym ruchem ręki zepchnęłam je na podłogę. Rozsypały się z brzękiem.

Z ulicy dochodziły pijackie wrzaski, odległa melodia z wodewilu przypominała o tym, że noc w dzielnicy Montparnasse wciąż

jest młoda. Mój wyjazd do Paryża był ucieczką od wiejskiego życia; snem, który śniłam na jawie, stojąc za ladą ojcowskiego sklepu. Wyobrażałam sobie, że życie w wielkim i światowym Paryżu będzie piękne tylko dlatego, że to Paryż. Pragnęłam tego życia, nakładałam na nie kolejne warstwy marzeń i oczekiwań. Tymczasem już wkrótce mogę wylądować na ulicy.

Patrzyłam na swoje odbicie w zmatowiałym lustrze. Pełgający płomień świecy zniekształcał rysy twarzy. Zastanawiałam się, co Durandea u mnie zobaczył. Jasnobrązowe oczy bez wyrazu, zadarty nos, o którym matka zwykła mówić „nos optymisty”, zbyt wąskie wargi, wystający uparcie podbródek, włosy ani blond, ani brązowe, raczej coś pomiędzy, a do tego mało kobieca figura, koścista, z wystającymi łopatkami i biodrami.

Ogłoszenie o pracę w agencji Durandea zniszczyłam kilka tygodni temu, ale jego treść wciąż dźwięczała mi w głowie. Brzydkie młode kobiety do prostej pracy. Nie miałam wyboru. Następnego dnia postanowiłam wrócić na avenue de l'Opéra.

Rozdział trzeci

- Wróciłaś po pracę? - zapytał oskarżycielsko Durandeu. - Czyż nie to właśnie powiedziałaś? Zostawiłaś ją tu przypadkiem jak parasolkę w kawiarni i teraz domagasz się zwrotu?

Byliśmy w jadalni jego prywatnego apartamentu mieszczącego się w agencji od strony ulicy. Durandeu, owinięty w szlafrok, jadł właśnie śniadanie. - Co masz do powiedzenia?

- To nieporozumienie, *monsieur*. - Potrząsnęłam głową i zrobiłam skruszoną minę. - Na początku nie byłam pewna, czy jestem odpowiednia na to... stanowisko - powiedziałam cicho, bo była to mizerna wymówka. Nigdy nie przypuszczałam, że będę błagać o pracę.

- Niezłego ambarasu narobiłaś mi przed hrabiną Dubern swoim zniknięciem. Niewdzięczność to szpetna cecha, panienko. - Wy-rzekłszy te słowa, srebrnymi szczypczykami chwycił kostkę cukru i wrzucił ją do kawy. - Kobieta nieatrakcyjna do społeczeństwa nie wnosi nic. Moja agencja daje jej szansę wykorzystania paskudnego wyglądu dla dobra innych. - Zamieszał kawę finezyjną łyżeczką, która całkiem utonęła w jego napuchłych palcach. - Nie jestem pewien, czy na tę szansę zasłużyłaś.

- Proszę, *monsieur*. - Czułam, że mój los wisi na włosku. Tak bardzo bałam się odmownej odpowiedzi.

- To subtelna sztuka być damą dla kontrastu. - Uśmiechnął się szyderczo. - Najpierw należy wejść w towarzystwo, niby bywał-czyni salonów, następnie zaś odepchnąć od siebie spojrzenia, które podążą w kierunku bardziej atrakcyjnej damy.

Przytakiwałam stanowczo, dając do zrozumienia, że doskonale rozumiem tę rolę, choć w rzeczywistości było całkiem inaczej. Nie miałam pojęcia, na czym polega ten obrzydliwy proceder. Wiedziałam tylko, że rozpaczliwie potrzebuję pracy.

- Mówiąc szczerze, niczym specjalnym się nie wyróżniasz -kontynuował - jesteś nijaka, a tego klienci nie lubią. - Popatrzył na mnie surowo. - Niestety, ta decyzja nie należała do mnie.

Jego ostatnie słowa zaskoczyły mnie. Wciąż trzymając w dłoniach filiżankę *café au lait*², odchylił się na krzesło.

- Ugiąłem się przed hrabiną - rzekł z westchnieniem. - Wybrała cię dla swojej córki. Mamy jeszcze sporo czasu, żeby wyszkolić cię przed balem u tych Rochefortów.

Mimo wewnętrznej radości zachowałam skruszoną minę. Byłam uratowana! Tymczasem Durandean głośno siorbał kawę.

- Na czas szkolenia otrzymasz podstawową pensję. Jeśli twoja pierwsza klientka, w tym przypadku córka hrabiny, będzie zadowolona z twoich usług, wynagrodzenie wzrośnie o dodatkowe prowizje z każdego wykonanego zadania.

Odstawił filiżankę na stolik, podniósł się z krzesła, beknął i podszedł do mnie, jeszcze mocniej zaciskając pasek szlafroka na spasionym brzuszysku. Jego oddech cuchnął kawą, z oczu zionęła pogarda. Resztką sił powstrzymałam odruch wymiotny.

² **Kawa z mlekiem (franc).**

- Mam panią na oku, *mademoiselle* Pichon.

Pojęłam znaczenie jego słów i zmusiłam się do uśmiechu. Nie mogłam sobie pozwolić na najmniejsze potknięcie. Nie przy córce hrabiny.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, *monsieur* Durandeu.

- *Madame* Girard! - krzyknął przez zamknięte drzwi, a chwilę później do pokoju weszła krzepka kobieta ubrana na czarno.

- *Madame* Girard prowadzi szkolenie - oznajmił Durandeu, powracając do śniadania. - Od dzisiaj będzie się tobą zajmować.

Na pierwszy rzut oka *madame* Girard przypominała zakonnice. Jej mysie włosy były upięte w ciasny kok, który podkreślał surowe rysy twarzy. Brakowało tylko czarnego welonu. Podeszła bliżej i bez słowa powitania wbiła we mnie gniewny wzrok.

- Już ja się postaram, żeby nie zawiodła pana oczekiwania - zwróciła się do pana Durandeu.

Ten, zajęty właśnie przeglądaniem gazety, w odpowiedzi jedynie mruknął coś pod nosem, co *madame* Girard odebrała jako sygnał wyprowadzenia mnie z apartamentu.

- Za mną - zakomenderowała w żołnierskich słowach. - Zabieram cię do przebieralni, gdzie bardziej doświadczona koleżanka wprowadzi cię w tajniki profesji. - Jej zdawkowy ton sugerował, że podobną formułkę musiała wypowiadać niezliczenie wiele razy.

Zatrzymała się przed zegarem ściennym, wyciągnęła swój zegarek kieszonkowy i - podobna do pielęgniarki mierzącej puls pacjentowi - porównała godziny wskazywane przez oba czasomierze. Usłyszałam chichot dochodzący z oddali, a zaraz potem dostrzegłam dwie dziewczyny idące korytarzem.

- Hortense, Emilie! - krzyknęła Girard. - Przebierzcie się wreszcie. Klientka przychodzi o dziesiątej!

Dziewczęta zerknęły na mnie przelotnie i pospieszyły w swoją stronę. Przy *madame* Girard czułam się jak nowa uczennica w szkole.

- *Monsieur* Durandeu zdążył opowiedzieć ci o naszej profesji?

- zapytała, kiedy ruszyliśmy korytarzem w tym samym kierunku, w którym chwilę wcześniej podążyły dwie młode kobiety.

- Tak, ale jeśli mam być szczerą, niewiele z tego zrozumiałam

- odparłam ostrożnie, przypominając sobie hrabinę i jej przyjaciółkę, dla których kobiety w salonie były jak dodatki do wieczornej kreacji.

Madame Girard westchnęła zniechęcona.

- Podobnie jak złotnik umieszcza cienką warstwę metalu pod kamieniem szlachetnym, żeby ten pełniej lśnił, tak nasza agencja stawia was u boku szykownych dam, by przydać im więcej blasku.

- Aha. - Udałam, że coś do mnie dociera, choć jej porównanie całkiem zbiło mnie z tropu. Jak moja obecność miałaby wpłynąć na czyjś wygląd?

- Nauczmy cię dobrych manier, eleganckiego jedzenia, podstaw stylu, dbania o siebie, a w szczególności popracujemy nad twoim akcentem. - Wbiła we mnie wzrok. - Musisz brzmieć tak, jakbyś pochodziła z Paryża, nie z dziury zabitej deskami, rozumiałaś?

- Oczywiście, *madame* Girard.

Doszliśmy do końca korytarza i weszliśmy do zatłoczonego pomieszczenia, w którym kłębiło się co najmniej dziesięć, może nawet piętnaście dziewcząt. Wszystkie w jednej chwili zamilkły i odwróciły głowy w moją stronę. Niektóre z nich były w moim wieku, inne miały więcej niż dwadzieścia lub trzydzieści lat. Siedziały ściśnięte między stolikami toaletowymi, lustrami, miskami i dzbankami na wodę.

Wszędzie wokół wisały suknie, a gorsety i turniury leżały porzucane na oparciach krzeseł jak połamane klatki dla ptaków.

- Marie-Josée - rzuciła Girard do ubranej w musztardową suknię kobiety, którą spotkałam pierwszego dnia - twój jarmarczny śmiech słychać aż na korytarzu. Zachowuj się, jak przystało na damę nie tylko w towarzystwie klientek.

Marie-Josée uśmiechnęła się, słysząc podobną reprimendę.

- Sama mogłaby się pani trochę pośmiać - zripostowała. - To dobrze robi na nerwy.

Jej tupet wobec autorytetu *madame* Girard zrobił na mnie wielkie wrażenie. Matrona zmarszczyła brwi i podeszła bliżej.

- Nie wystawiaj mojej cierpliwości na próbę.

Przyglądałam się Marie-Josée, która tylko uśmiechnęła się leniwie, ale pozostała niewzruszona. Czułam, że zdobyła przewagę, bo Girard odwróciła się do reszty grupy.

- Panienki, przedstawiam wam Maude Pichon, waszą nową koleżankę, która wkrótce rozpocznie naukę - oznajmiła.

Spojrzałam na kobiety stłoczone w ciasnej garderobie. Niektóre skinęły głowami na powitanie, inne zaś głośno powiedziały „dzień dobry”.

- Marie-Josée - zwróciła się do musztardowej sukni - powierzam pannę Pichon twojej opiece. Zapoznaj ją z podstawowymi zasadami naszej działalności. A wam przypominam - tu spojrzała na pozostałe - że o godzinie dziesiątej przychodzi klientka. Szkolenie dla nowych rozpoczynamy zaś o jedenastej.

Po jej wyjściu wszystkie wstrzymałyśmy oddech, jednak już po krótkiej chwili pokój wypełnił się gwarem rozmów. Marie- Josée podeszła do mnie, uśmiechając się szeroko. Skończyła już trzydzieści lat i była mocno zaokrąglona, można by nawet powiedzieć, że niemal tak samo wysoka jak szeroka. Miała rumianą twarz, krzywe zęby i niezgrabny nos przypominający kartofel. Mimo to z jej oczu wciąż bił blask.

- Szkieletor już wygłosił ci kazanie? - Widząc moje zagubione spojrzenie, doprecyzowała pytanie: - O naszej pracy. Opisała ci, na czym ona polega? Porównała ją do przyrodniczych sióstr Kopciuszka czy metalowej podkładki pod klejnotem?

Rozmowy przycichły. Rozejrzałam się i zauważyłam, że reszta przysłuchuje się naszej wymianie zdań.

- Powiedziała, że jestem jak warstwa metalu i coś o kamieniach szlachetnych.

Marie-Josée parsknęła śmiechem i wystawiła do przodu otwartą dłoń. Kilka dziewcząt niechętnie wręczyło jej pieniądze. Czyżby robiły zakłady?

- Jak to się dzieje, że ciągle wygrywasz? - zdziwiła się blondynka z obwisłym wolem i malutkimi oczami osadzonymi zbyt blisko siebie.

- Mam talent do rozgryzania jej dziwactw. - Marie-Josée ponownie wybuchła głośnym śmiechem, który zatrzęsł całym jej ciałem.

- Czy ty czasem nie byłaś niedawno na rozmowie? - Świńska blondyna tym razem podeszła do mnie. - Dlaczego wtedy nie zaczęłaś?

- spytała dość agresywnym tonem, jakby chciała sprowokować bójkę.

-Tak, masz rację, ja... - zająknęłam się, nie wiedząc, co jej odpowiedzieć.

- Cécile, podaj wreszcie te ciastka - krzyknęła Marie-Josée, ratując napiętą sytuację. - Chyba że nie jesteś głodna.

Po chwili wszystkie siedziałyśmy na niedopasowanych meblach i zajadałyśmy się słodkościami. Dopiero wtedy nadszedł czas na przedstawienie się każdej z osobna i zwyczajową wymianę uśmiechów między kolejnymi kęsami rogalików. Czulałam się niezręcznie, szczerząc zęby obklejone kawałkami ciasta. Poza imieniem Marie-

-Josée zapamiętałam jeszcze Cécile, ponieważ była złośliwa, a także Hortense, która ze swoją pociągłą twarzą i z wielkimi zębami wyglądała jak koń.

- Próbowałaś znaleźć lepszą pracę? - spytała Cécile, rwąc palcami czekoladowe ciasto. - Ciężko o lepsze zarobki, co? - Unosząc brwi, wsunęła sobie kawałek do ust.

- Zostaw nową w spokoju. - Marie-Josée stanęła w mojej obronie. - Zabaw nas lepiej swoją najnowszą miażdżącą anegdotą. Któraś z klientek przedstawiła cię ostatnio jakiemuś kochankowi ze snu?

Wszystkie wybuchnęłyśmy gromkim śmiechem, a Marie-Josée mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Choć ciężko było w to uwierzyć, po raz pierwszy od wielu tygodni poczułam się odprężona.

Rozdział czwarty

Szczelnie owinięta w warstwy materiału, zapięta pod szyję na ostatni guzik, obuta w przyciasne, niewygodne trzewiki i nauczona nowych manier, po tygodniu od mojego powrotu do agencji znałam już zawrotną liczbę dań serwowanych podczas bankietów; wiedziałam, jak z gracją wsiadać do karety i z niej wysiadać, nie licząc tysiąca innych zasad, reguł i prawideł, jakie wpojono mi na szkoleniu. *Madame* Girard nieustannie powtarzała, że w swoich rolach musimy być nad wyraz przekonujące. Fizyczna brzydota miała skutecznie uwydatniać urodę klientki i sprawiać, by ta lśniła w kontraście do naszych szpetnych twarzy.

Poznałam także niezwykle poczucie humoru, jakim obdarzona była Marie-Josée. W garderobie rozbawiała nas do łez, parodiując zachowania *madame* Girard i pana Durandea. W czasie zajęć natomiast bezceremonialnie lekceważyła wykładowczynię i wyciągała robótki ręczne lub plotkowała szeptem na temat swoich klientek.

- Jakie było twoje najlepsze zlecenie? - zapytałam ją kiedyś w kolejce do budki z naleśnikami. Tego dnia agencyjna stołówka serwowała akurat *langue de bœuf*, potrawę szczerze znienawidzoną przez Marie-Josée.

Ozorek wołowy (franc).

- Moje najlepsze zlecenie? - powtórzyła. - To proste. U Maxime a. Zjadłam wtedy górę ostryg i przegryzłam najbardziej tłustymi ogonami homarów unurzany mi w morzu masła.

- Brzmi apetycznie. Już na samą myśl robię się głodna. - Przyglądałam się, jak sprzedawca rozsmarowuje ciasto na rozgrzanej patelni, a następnie nakłada szynkę i ser. - Jaka ona była? Twoja klientka? - zapytałam i natychmiast ugryzłam się w język. Przelotna myśl o hrabinie przypatrującej mi się od góry do dołu na chwilę odebrała mi cały apetyt.

- Klasa sama w sobie, wysokie progi i *bon ton*. Wymaga wszystkiego, co najlepsze, dlatego też wybrała właśnie mnie. - Marie-Josée parsknęła śmiechem rozbawiona własnym żartem. - Całkiem inaczej niż ostatniej nocy. Zazwyczaj w restauracji Les Ambassadeurs tańczę i popijam szampana przy stoliku na samym przedzie. Ta klientka jednak usadowiła mnie gdzieś w rogu i uraczyła *tisane*⁴. - Na wspomnienie minionego wieczoru potrząsnęła głową. - Nawet nie postawiłam stopy na parkiecie, nie mówiąc o niewykorzystanym talencie tanecznym.

Śmieszyło mnie jej przekonanie, jakoby salony i cała śmietanka towarzyska Paryża istniały tylko po to, aby dobrze się bawić. Marie-Josée uwielbiała tańczyć i przebywać między ludźmi.

Sprzedawca złożył oba naleśniki na pół, następnie jeszcze raz na pół i owinął je w serwetkę. Marie-Josée wręczyła mu pieniądze i wróciła do opowieści o klientkach agencji:

- Nuworyszki. Te są najgorsze. Mają kupę pieniędzy i za grosz ogłady. Choć posiadają wszystkie atrybuty klasy wyższej, zupełnie nie potrafią z nich korzystać.

Usiadłyśmy na pobliskiej ławce. Moja korpulentna towarzyska zajęła większość miejsca, musiałam więc przycupnąć na brzegu.

⁴ Herbatka ziołowa (franc).

- Ja jeszcze nie zaczęłam żadnego zlecenia - oznajmiłam między jednym a drugim kęsem. Na samą myśl o czekającym mnie doświadczeniu czułam obezwładniający strach. - Czy bogate klientki są miłe? - spytałam z ciekawością. - Jak one cię traktują?

- Jak nowe futro, kolejny dodatek do luksusu - odparła z pełnymi ustami; kawałek sera zwisał jej z podbródka. - Musimy być widoczne, nie tak jak wczoraj, kiedy siedziałam w rogu i wysłuchiwałam bajdurzenia o podagrze. Bycie damą dla kontrastu to prawdziwa sztuka. Nie jesteśmy spowiedniczkami, naszym zadaniem jest bycie ozdóbką.

Wytarłam usta wierzchem dłoni. Zuchwałość mojej koleżanki stanowiła dla mnie zagadkę. Marie-Josée całkiem lekceważyła sobie zarówno agencję, jak i jej szefostwo, *monsieur* Durandea oraz *madame* Girard. Jednocześnie głębokim szacunkiem darzyła samą pracę, pyszniąc się przy tym swoją wysoką pozycją w hierarchii. Duma i pogarda emanowały z niej w równych proporcjach. Zastanawiałam się jednak, co tak napawa ją dumą. Nie wstydzi się? Nie jest jej przykro? A może za nic ma wszelkie uwagi na temat swojej brzydoty?

- Co? Powiedz! - poprosiła, kiedy dostrzegła, że bacznie się jej przyglądam.

Zawahałam się, w myślach usiłując dobrać odpowiednie słowa.

- Nie przeszkadza ci, co klientki o tobie myślą? To znaczy... Chodzi mi o główny powód, dla którego jesteś zapraszana do towarzystwa.

- Z tymi pieniędzmi grzechoczącymi w mieszkku? Ani trochę. Dopóki sownie mi płacą, mogą o mnie myśleć jak o najszykardniejszej kobiecie w całej Francji. - Ryknęła śmiechem. - Wiesz, ile tygodni musiałabym harować w pralni czy kawiarni na to, co zarabiam tutaj w jeden wieczór?

W pobliże naszej ławki zleciało się kilka gołębi, które liczyły na poczęstunek paroma okruszkami. Z powodu swoich ruchów głowami, przenikliwych oczu i bulgoczącego gruchania przypominały mi pobratymców Durandea. Spłoszyłam je gwałtownym tupnięciem.

- Pewnie masz rację, ale nasze zajęcie... Dla mnie to wciąż jakiś absurd. To naprawdę tak działa? - zastanawiałam się głośno. Nic, czego dotychczas nauczyłam się na kursach, nie przekonało mnie do tej koncepcji. - Czyż damy z wyższych sfer nie lubią otaczać się pięknymi ludźmi?

- Paryż jest pełen atrakcyjnych kobiet - powiedziała Marie- Josée. - Jakie mają szanse na wyróżnienie się? Wchodząc jako nowa partia w świat balów, rautów, oper i bankietów, masz niewiele czasu na znalezienie męża. W jaki sposób najszybciej kogoś złowić?

Wzruszyłam ramionami. Moje doświadczenie z mężczyznami było żadne.

- Na początku pięknym wyglądem, jak sądzę.

- A kiedy już się uróżujesz, wypudrujesz, misternie upniesz włosy, wystroisz u najdroższych krawców... Co wtedy?

- Nie szata zdobi człowieka - odparłam. - Poza wyglądem liczy się również wnętrze, umiejętność konwersacji, poczucie humoru.

- Nie bądź naiwna, jesteśmy w Paryżu! - Marie-Josée ogarnął śmiech.

- Żeby przyciągnąć czyjąś uwagę, musisz wyjść ponad przeciętność. I wtedy do akcji wkraczamy my.

Przełknęła ostatni kawałek naleśnika i podniosła się; zaskrzypiały deski uwolnione od ciężaru.

- Chodź, coś ci pokażę - powiedziała.

Poszłam za nią przez popołudniowy tłum, aż dotarłyśmy do niewielkiego targu. Tam, na straganach osłoniętych płóciennymi daszkami, piętrzyły się stosy najróżniejszych owoców. Sam ich

zapach przyprawiał mnie o zawrót głowy. Marie-Josée zatrzymała się przed jednym z kramów i wskazała na kosz wypełniony brzoskwiniami.

- Wybierz najładniejszą - poprosiła.
- Wszystkie są piękne. - Nie mogłam się zdecydować.
- Musisz wybrać tę jedną - nalegała.

Wzruszyłam ramionami i wzięłam do ręki dorodny owoc.

- Niech będzie ta. - Pokazałam. Do czego ona zmierza? Następnie pochyliła się, zanurzyła rękę w koszu i wydobyła

pomarszczoną, mocno poobijaną brzoskwinie. Wzięła ode mnie owoc, który wybrałam, w drugiej dłoni dzierżyła zaś swój.

- A teraz? Którą z tych dwóch byś wybrała?

- To proste - powiedziałam. - Naturalnie tę ładniejszą.

- Otóż to! - rozpromieniła się Marie-Josée. - Tę ładniejszą, która teraz wygląda lepiej, niż kiedy była w koszu. W mgnieniu oka z takiej samej jak wszystkie stała się tą najpiękniejszą, choć w rzeczywistości sama się nie zmieniła. Wszystko to kwestia odpowiednio dobranego towarzystwa.

Patrzyłam raz na jedną, raz na drugą brzoskwinie. Moja koleżanka miała rację. Zaśmiała się i odłożyła do kosza dorodny owoc, ten drugi natomiast sprawnym ruchem wsunęła do kieszeni.

- Spójrz jeszcze raz do kosza. Możesz powiedzieć, która z nich była tą najpiękniejszą? Zmieszała się z podobnymi sobie i znowu wyglądała jak pozostałe, czyli przeciętnie.

- Zasada porównania *madame* Girard - powiedziałam głośno. Oczywiście, przecież to proste! Ludzie dokonują wyboru poprzez ciągłe porównania. Sama się o tym przekonałam, kiedy pracowałam w sklepie ojca. Nigdy bym jednak nie pomyślała, że odnosi się to także do wyboru małżonka. Zza straganu wyłonił się sprzedawca i spojrzał na nas krzywo.

- Miłego dnia - odezwała się zdawkowo Marie-Josée. Poszliśmy dalej, całkiem zapominając o brzoskwini, którą wcześniej włożyła do kieszeni.

- Dobieranie sobie akcesoriów dla kontrastu to pomysł stary jak świat - wyjaśniła. - W dawnych czasach urodziwe kobiety na dworach hiszpańskich przechadzały się z małpą na ramieniu, ich cel był jednak dokładnie taki sam. Durandeu należałoby przyklasnąć za to, co robi, gdyby tylko nie był ostatnim leniem.

Kiedy wydostałyśmy się z labiryntu straganów, Marie-Josée chwyciła mnie pod rękę i przeprowadziła na drugą stronę bulwaru, zwinnie unikając bliskiego kontaktu z powozami i przyzmiami końskich odchodów.

- A co z hrabiną? - zastanowiło mnie. - Przecież jest już zamężna, do tego piękna. Nie potrzebuje nikogo dla kontrastu.

- Wprost przeciwnie! - Marie-Josée potrząsnęła głową. - Hrabina to klientka idealna. Choć zamężna, wciąż pragnie uchodzić za najpiękniejszą. W agencji nauczyłam się jednej ważnej rzeczy. Jeśli kobieta spostrzeża, że jej młodość, a wraz z nią także uroda zaczynają przemijać, zrobi wszystko, by się ich kurczowo uczepić.

Hrabina była najpiękniejszą osobą, jaką w życiu widziałam. Jakże mogłaby się martwić swoim wyglądem? Marie-Josée wsadziła rękę do kieszeni i wyciągnęła pomarszczoną brzoskwinię.

- Smakuje wcale nieźle - ucieszyła się, a sok spłynął jej po brodzie. - Obie jesteśmy takimi obtłuczonymi brzoskwiniami, moja droga. - Zaśmiała się serdecznie. Choć wiedziałam, że nie chciała źle, jej słowa trochę mnie zabolowały. Może ona jest nadgniłym owocem, ja bynajmniej tak się nie czułam.

- Ja jestem tylko niedojrzała - rzuciłam bez zastanowienia.

- Ależ oczywiście, skarbie. Myśl pozytywnie - zachęciła mnie. - To cecha niezbędna w naszym fachu. - Znów się zaśmiała, a mnie

ogarnął niepokój, że niechcący mogłam ją urazić. Ona zaakceptowała swoją brzydotę, ja natomiast uparcie próbowałam zrzucić z siebie tę etykietkę.

Ruszyliśmy w drogę powrotną do agencji, przeciskając się między tłumem przechodniów i sprzedawców ulicznych. Marie- Josée, niczym doświadczona przewodniczka miejska, pokazywała mi przytulne kawiarnie i teatry, w których za niewielkie pieniądze można było obejrzeć ciekawe przedstawienie. Czas naszych wzajemnych zwierzeń chyba minął, ja jednak wciąż roztrząsałam to, co mi powiedziała. Nie chciałam być jedynie marionetką w rękach bogatej dziewczyny. Zasługiwałam na dużo więcej.

- No, dość tego gadania, panienki. - *Madame* Girard zastukała laską w podłogę. Podczas każdej lekcji krzesła w salonie były ustawione tak jak w szkole i zwrócone w stronę kominka, gdzie urzędowała nasza nauczycielka.

- Dzisiaj wykonamy pewne ćwiczenie. Dobierzcie się w pary i postarajcie się spisać wszystkie fizyczne wady waszej partnerki.

Jej słowa były dla mnie jak cios w mostek. Czy dobrze ją zrozumiałam? Odwróciłam się do siedzącej obok Marie-Josée, ta jednak tylko westchnęła, jakby chodziło o coś przyziemnego i nudnego zarazem.

- Tylko nie to - szepnęła. Podobnie reagowałam, kiedy ojciec prosił mnie o zrobienie inwentaryzacji w sklepie. Spojrzałam, jak to przyjęły inne dziewczyny, wyglądało jednak na to, że tylko ja jestem tak poruszona.

- Musicie przywyknąć do tego, w jaki sposób *monsieur* Durandea opisuje was klientkom. Powinnyście także przygotować się na gorzkie słowa, które będą padały na wasz temat w towarzystwie. Lepiej z góry wiedzieć, co może was spotkać, by później przyjąć wszystko z podniesionym czołem.

Podeszła do jednej z dziewcząt siedzących w ostatniej ławce.

- Na przykład taka Emilie. - Szturchnęła ją laską po nodze. - Wstań, dziewczę.

Uczennica podniosła się niepewnie ze swojego miejsca. Podobnie jak ja była tu nowa i podobnie jak ja bardzo młoda. Osiemnaście, może dziewiętnaście lat. Do tego spokojna i cicha jak myszka, w garderobie ledwo dało się zauważyć jej obecność. Girard zawiesiła na niej badawcze spojrzenie.

- Ujęłabym to tak - zaczęła swoją analizę - nos długi i haczykowaty, zakrzywione do dołu usta wyrażające wieczne niezadowolenie, cofnięty podbródek uwypuklający godny pożałowania nos, a do tego pieprzyki, wszechobecne jak u jakiejś wiedźmy. Dziękuję, Emilie, możesz usiąść.

Emilie wyglądała tak, jakby *madame* Girard właśnie wymierzyła jej sążnisty policzek. Przygryzłam wargę; słowa nauczycielki zabolowały mnie tak samo mocno jak koleżankę, która milcząco przyjmowała zniewagi. Usiadła na swoim miejscu, a ja odwróciłam wzrok, żeby tylko nasze spojrzenia się nie spotkały.

Marie-Josée wymamrotała kilka obraźliwych słów pod adresem *madame* Girard, ta zaś kontynuowała wykład:

- Pamiętajcie, panienki, musicie zaakceptować swoje wady. - Wykonała ręką teatralny gest. - To dzięki nim klientka poczuje się piękniej. Gdyby nie one, nie byłoby was tutaj. A teraz dobierzcie się w pary i rozpocznijcie ćwiczenie. - Zamachała swoimi patykowatymi rękoma.

Rozpierzchłyśmy się po kątach. Chyba żadna z nas nie chciała niepotrzebnych świadków swojego upokorzenia. Marie-Josée i ja podeszłyśmy do okna. Czy naprawdę potrzebowaliśmy tego ćwiczenia? Czyż każda z nas nie była swoją najkąśliwszą krytyczką?

Prawdę powiedziawszy, większość czasu w agencji upływała w bardzo przyjemnej atmosferze, dopóki nie dopuszczałam do

swojej świadomości powodu, dla którego się tutaj znalazłam. Kar-
miono nas, strojono, opłacano lepiej niż w pralni, a do tego nie była to
praca wyczerpująca fizycznie. Jednakże od czasu do czasu bolesna
prawda uderzała mnie z całą siłą. W takich chwilach wolałabym stać
nad stertą koszul czekających na wyprasowanie.

- Emilie, patrz swojej partnerce w oczy! Nie unikaj konfrontacji, to ci
nie pomoże! - Salonem wstrząsnął przeszywający głos *madame* Girard.

- Chyba powinniśmy zacząć. - Spojrzałam ze strachem na swoją
opiekunkę. Nie wiedziałam, jak mogłabym powiedzieć jej prosto w
twarz tyle przykrych rzeczy.

- Mam własny sposób na to ćwiczenie. - Marie-Josée mnie
szturchnęła. - Najpierw wymienię tylko swoje zalety, a potem kolej na
ciebie.

- A może nawzajem wymienimy swoje zalety? - zaproponowałam z
uśmiechem. - Nie jestem zbyt dobra w dowartościowywaniu się.

- Zgoda - przystała na mój pomysł. - W takim razie ty zaczynasz. -
Sparodiowała ruch ręki *madame* Girard. - Zasyp mnie
komplementami!

Wydawało się, że cała sytuacja niezmiernie ją bawi.

- No, dalej. Nie potrafisz wymyślić niczego miłego? - Zatrzepotała
rękami, udając słodką idiotkę.

Zastanawiałam się jeszcze chwilę.

- Lubisz bronić innych - powiedziałam w końcu. - Dzięki tobie to
miejsce jest znośne, roztaczasz wokół siebie przyjemne ciepło i
wszystko potrafisz obrócić w żart. Jesteś jak czaro...

- Daj już spokój! - ucięła Marie-Josée zawstydzona. Jej oczy
delikatnie zaszyły łzami, ale szybko odegnała wzruszenie. - Teraz moja
kolej. Jak na tak młodą osobę wykazałaś się sporą determinacją,
przyjeżdżając sama do dużego miasta. Jesteś odważna, masz

w sobie dużo radości i zmysł obserwacji, a także bystre, inteligentne spojrzenie.

Ścisnęło mnie w gardle na taką liczbę komplementów. Wcześniej mówiła tak tylko moja matka...

- Jest jeszcze coś - ciągnęła Marie-Josée. - Masz ochotę dokonać w Paryżu czegoś wielkiego. Na razie jeszcze nie wiesz czego, ale z pewnością ci się to uda.

- Co masz na myśli?

- Mam przeczucie co do ciebie. - Popatrzyła na mnie przenikliwie. - Tak, bardzo intensywnie skupiasz się na czymś... I dostaniesz to.

Zmroziły mnie jej ostatnie słowa. Szczerze wątpiłam w to, co powiedziała. Jak mogłam być stworzona do wielkich rzeczy? Na szkoleniu w agencji dla brzydkich kobiet?

Dało się słyszeć bicie zegara i Girard zarządziła koniec ćwiczenia.

- Jutro rano w jadalni mamy zajęcia z tańca połączone z nauką dobrych manier i obyczajów. A na dzisiaj koniec lekcji - poinformowała.

Wieczorem po zajęciach wysiadłam z omnibusu przystanek wcześniej, żeby poszwendać się po sąsiednich uliczkach. Wokół mnie tętniło życie, buzowały kolory, błyszczały wymalowane twarze prostytutek i artystów ulicznych, sprzedawcy zachęcali do kupna towaru, a barwne plakaty zajmowały każdą wolną przestrzeń.

Przystanęłam przed rozświetloną witryną Café Chez Emile. Wystrój był raczej skromny. Podłogi, stoły i krzesła zrobione z jednolitego drewna, na ścianach niewiele ozdób. Nigdy nie odważyłam się wejść do środka. Samotna dziewczyna przy barze nie budzi szacunku. Lubiłam jednak przyglądać się temu, co dzieje się wewnątrz. Zdawało się, że tej nocy w Café bawi się pół Paryża. Ludzie tańczyli, kilka stołów odsunięto na bok, aby zrobić miejsce na parkiecie.

Zaglądałam przez okno w poszukiwaniu Paula. Parę osób siedziało przy ocynkowanym barze. Tak intensywnie wpatrywałam się w ich twarze, że nie zauważyłam kapeli stojącej w głębi. Dopiero gdy muzyka ucichła, a ludzie odwrócili się, aby nagrodzić zespół brawami, powiodłam wzrokiem w róg lokalu. Tam, na niewielkim podwyższeniu, przy pianinie siedział Paul. Śmiał się i mówił coś do swoich towarzyszy, skrzypka i akordeonisty. Na jego znak zaczęli grać kolejny utwór. Przyglądałam im się przez chwilę, aż nagle usłyszałam stukanie w szybę. Nieznajomy mężczyzna ze środka zapraszał gestem, żebym weszła. W jednej sekundzie odwróciłam się i ciemną ulicą poszłam w swoją stronę.

Rozdział piąty

Tego popołudnia w garderobie panowało istne szaleństwo. Część dziewcząt wybierała się wieczorem na bal charytatywny na Champs-Élysées. Pomieszczenie wypełniały głośne śmiechy i gwar rozmów. *Madame* Girard czyniła ostatnie poprawki misternie ufryzowanych włosów, a *madame* Leroux wygładzała niesforne rąbki sukien. W powietrzu unosił się zapach perfum, pudru i słodkiej herbaty.

Kiedy rozczesywałam włosy przed lustrem, kątem oka zobaczyłam zalaną łzami Cécile. Siedziała za mną z czerwoną twarzą opuchniętą od płaczu, jej jasne loki podskakiwały w rytmie szlochów. „Zły znak” - pomyślałam. Wyglądało na to, że praca w agencji może złamać nawet najtwardsze charaktery. Marie-Josée podeszła, aby dodać jej otuchy.

- Och, moje biedactwo - szepnęła. - Już dobrze. Zobaczysz, że nie będzie aż tak źle. - Wyjęła chusteczkę z rękawa i otarła zroszoną łzami twarz młodszej koleżanki.

- To niesprawiedliwe - załkała Cécile. - Nie mogę na niego patrzeć, kiedy jest z nią... - pochlipywała. Zaplatałam włosy, słuchając ich rozmowy z pewnym poczuciem winy, a jednocześnie ciekawa dalszego ciągu.

- Wiem, że jest ci ciężko - pocieszała ją z matczyną troską Marie-Josée. - Ale wepchnięcie go w jej ramiona to twoja praca. Tak to niestety wygląda.

Cécile wzdrygnęła się przed dotykiem koleżanki; łzy płynęły ciurkiem po policzkach.

- Ona nie kocha go tak bardzo jak ja.

Marie-Josée pokręciła głową zrezygnowana i podeszła do mnie. Udawałam, że jestem zajęta zawiązywaniem wstążki we włosach i że nie słyszałam ani słowa z ich rozmowy.

- Z wami, młodymi, zawsze tak samo - rzuciła. - Pomóż mi z suknią. - Odwróciła się do mnie plecami. Z trudem zaczęłam odpinać ciasne haftki. Wymagało to nie lada wysiłku.

- Co się stało Cécile? - spytałam, otwierając ostatnią zapinkę. Marie-Josée rzuciła górną część sukni na oparcie krzesła.

- Teraz rozsupłaj mi gorset, zaraz się w nim uduszę - poprosiła. Odetchnęła z ulgą, kiedy udało mi się uporać ze wszystkimi sznurkami.

- Zawsze znajdzie się jakaś klientka, która nie zna litości, Maude.

Przypomniałam sobie naszą niedawną rozmowę o nuworyszkach.

- Chodzi ci o taką, która nie wie, jak się z nami obchodzić? - upewniłam się.

- Gorzej. - Marie-Josée usiadła na krześle, które trzasnęło pod jej ciężarem. - Taką, która publicznie uśmiecha się do ciebie, żartuje, bierze pod rękę, szepcze do ucha sekrety, by potem wyrzucić cię w złości jak starą szmacianą lalkę. Już wiele serc pękło z tego powodu, zszargano wiele uczuć. Trzeba być silną, unieść się ponad to. - Skinęła w stronę Cécile, która wciąż łkała.

Spojrzałam na płaczącą koleżankę i usiłowałam sobie wyobrazić, co tak naprawdę ją spotkało. Niebezpieczna to rzecz wejść

z klientką w zbyt bliską relację. Trudna to sztuka wyznaczyć sobie granicę nie do przekroczenia. Miałam nadzieję, że nigdy nie doświadczę czegoś podobnego.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi i gwar ucichł.

- Czy wszystkie panie są ubrane? - zapytał spokojny męski głos. - Przyniosłem wypłatę.

W garderobie dały się słyszeć szelest sukien i przyciszone piski. Do pokoju wszedł przystojny mężczyzna, którego poznałam pierwszego dnia podczas przesłuchania. W dłoniach trzymał pudełko wypełnione kopertami. Kiedy przechodził między nami, dziewczyny wyglądały tak, jakby za chwilę miały stracić przytomność.

Marie-Josée wyjaśniła mi, że Laurent odpowiada za rekrutację i księgowość. To dzięki niemu wiele z nas dostało pracę w agencji. Jego wygląd i urok osobisty stanowiły tajną broń pana Durandea. Werbowanie brzydkich kobiet to niewdzięczna praca, jednak żadna z nich nie miała mu tego za złe.

Po kolei wymieniał nazwiska, a dziewczyny z wdzięcznym uśmiechem podchodziły do niego i odbierały kopertę z wynagrodzeniem. Poza Cécile, która ze względu na swój stan postanowiła wyręczyć się koleżanką.

- Maude Pichón!

Choć jego widok był prawdziwą uczcią dla oka, tym razem niepomrotnie większą przyjemność sprawiła mi wręczona przez niego koperta, a raczej jej zawartość, dzięki której moje życie w Paryżu nabierało racji bytu. Potem przyszła kolej na Marie-Josée, która, ubrana w samą bieliznę i z szelmowskim uśmiechem na ustach, podeszła do Laurenta posuwistym krokiem. Fałdy tłuszczu niemal wylewały się spoza cienkiej bawełnianej halki. Oszołomiona tym widokiem zakryłam usta dłonią.

- Wiesz, moją klientkę zmógł potworny kaszel, w najbliższych dniach jestem więc wolna... - szepnęła mu teatralnie do ucha. - W Le Chat Noir grają nowy spektakl. Co ty na to, przystojniaczku?

Dla Marie-Josée nie istniały żadne świętości! Reszką sił powstrzymałam się od parsknięcia śmiechem, obserwując jej zuchwałość. Laurent podjął grę.

- Bardzo bym chciał, kochanieńka, ale werbuję nowe panienki. Biznes się kręci, to i klientek przybywa - odparł z uśmiechem. - A poza tym - zniżył głos - nie chcę, żeby twoje koleżanki były zazdrosne.

Obdarzył ją czarującym uśmiechem, który - chociaż nie był skierowany do mnie - sprawił, że moje serce zabiło mocniej. Patrzyłam na niego, jak podchodzi do Cécile i delikatnie głaszcze ją po wilgotnym policzku.

- Moje biedactwo. Słyszałem, co się stało. On nie jest wart twoich łez. No, już, rozchmurz buziuchnę - pocieszał ją.

Spojrzała na niego podkrążonymi oczami i wydała z siebie ostatnie chlipnięcie.

Głośny dźwięk ciężkich kroków stłumił radosny nastrój. Wszyscy odwrócili głowy w stronę drzwi. Zdawało się, że razem z panem Durandeau do pomieszczenia wdarł się nieprzyjemny chłód. Unikałyśmy jego wzroku. Ja także chciałam pozostać niezauważona, nie mogłam się jednak opanować i spojrzałam na niego. Nienagannie wystrojony we фрак ściągnął usta i poprawił muszkę pod szyją, przygotowując się do zabrania głosu.

- Zacznę od rzeczy przykrych - oznajmił. - *Mademoiselle Carré* - aż skuliłam ramiona, kiedy zawiesił spojrzenie na Cécile - twój atak hysterii poważnie nadszarpnął naszą reputację. Dajemy ci ostatnią szansę na udowodnienie nam, że profesjonalnie podchodzisz do zawodu. Jeśli nic się nie zmieni, będziemy zmuszeni zwolnić cię z przywileju pracy w agencji.

Kątem oka dostrzegłam, jak Marie-Josée stroi głupie miny za jego plecami. Ta dopiero ma tupet!

- *Mademoiselle* Pichon! - Podskoczyłam, kiedy usłyszałam swoje nazwisko. Wlepił we mnie świdrujące oczka tak, że miałam ochotę zapaść się pod ziemię. - Jutro po południu wspólnie z hrabiną Dubern i jej córką masz umówione spotkanie u modystki. To pozwoli hrabinie ocenić, czy stanowisz odpowiedni kontrast dla jej córki.

Serce zamarło mi w piersi. W głębi duszy cieszyłam się, że nie chodzi o reprimendę. Czekало mnie pierwsze zawodowe wyzwanie. I pierwszy prawdziwy strach.

- Rozumiem - wykrztusiłam.

- *Madame* Leroux przygotuje ci odpowiedni ubiór. Odjedziesz spod agencji powozem, który zostanie podstawiony za piętnaście trzecia. - Uniósł połę marynarki i wsadził nos w gardenię zatknietą w butonierce. - Pokładamy w tobie duże nadzieje. Nie zawieź nas. - Po tych słowach odwrócił się na pięcie i ruszył do wyjścia. Laurent podążył za nim.

- Dziękuję paniom! - krzyknął z progu i zanim zamknął za sobą drzwi, posłał nam całusa.

Kiedy zniknęli, dziewczęta odetchnęły z ulgą i wróciły do pogawędek. Tylko ja siedziałam w milczeniu. Na myśl o pierwszym zleceniu czułam świdrowanie w brzuchu. Spotkanie z hrabiną mnie przerażało. To już nie były ćwiczenia na zajęciach. Przysunęłam się z krzesłem do Marie-Josée, która siedziała przed lustrem i nakładała krem na tłustą twarz.

- Nie ma się czego bać, moja droga, pobierałaś nauki od najlepszych. - Zaśmiała się.

Nie pocieszyło mnie to. Wówczas Marie-Josée, już nieco poważniejsza, wyciągnęła pulchną rękę i chwyciła mnie za dłoń.

- Pamiętaj, Maude, musisz mieć grubą skórę. Grubą i twardą jak czerstwa bagietka - poradziła i mocniej ścisnęła moją rękę. -Nie pozwól im wejść sobie na głowę, a wszystko będzie dobrze.

Przytaknęłam, zmuszając się do uśmiechu. Chciałabym wierzyć w jej słowa.

Rozdział szósty

Odkryłam, że w oczekiwaniu na wydarzenie, które spędza sen z powiek, czas płynie szybciej. Poranne lekcje minęły w mgnieniu oka i oto siedziałam w powozie pędzącym ulicami Paryża do miejsca, gdzie miałam spotkać hrabinę i jej córkę. Czułabym się lepiej, gdyby o naszym przejeździe informował przechodniów jakiś dzwonek. Szaleńczy pęd miasta przyprawiał o zawrót głowy. Pragnęłam spokoju. Takiej ciszy, która nadchodzi tylko przed potężną burzą, kiedy ma się wrażenie, jakby ziemia na chwilę zatrzymała swój bieg. Gdybym tylko mogła spokojnie odetchnąć, znaleźć jakiś punkt oparcia. Wytchnienie jednak nie przychodziło. Ulice, domy i przechodnie... Wszystko rozmywało się, zamazywało za oknem gnającego powozu.

Po niedługim czasie zatrzymaliśmy się przy bulwarze Hausсмanna. Woźnica pomógł mi wysiąść i pokazał sklep, w którym miałam spotkanie. Był to zakład kapeluszniczy dla kobiet. Jego fasadę ozdabiały ornamenty kute w metalu, a na witrynie widniał złoty napis „Le Miroir des Modes”⁵. W oknie wystawiono kapelu-

⁵ **Zwierciadło mód (franc).**

sze, które były zatknięte na złotych stojakach, przypominających gałęzie drzewa. Powóz odjechał, a ja zostałam sama na ulicy, próbując zebrać się na odwagę, aby wejść do środka.

W końcu, z duszą na ramieniu, otworzyłam drzwi. Zadźwięczał dzwonek zamontowany nad framugą. Przy ladzie stała tylko jedna klientka, która właśnie regulowała należność. Żadnego śladu hrabiny ani jej córki. Z ulgą wypuściłam wstrzymywane bezwiednie powietrze. Nie spóźniłam się.

Oszołomiona weszłam głębiej. Nigdy wcześniej nie byłam w tak eleganckim sklepie. Pomieszczenie okazało się dużo wyższe, niż się spodziewałam. Ściany obito ciemnym drewnem i wykończono ozdobnymi kremowymi gzymsami. Na środku sufitu wisiał błyszczący kandelabr oświetlający damskie kapelusze w najprzeróżniejszych fasonach i kolorach. W szklanych gablotach wystawiono na pokaz kolejne kreacje, a z półotwartych drewnianych szuflad wylaniały się chusty i szale ułożone w równe rzędkie.

Odwróciłam się i dostrzegłam własne odbicie w wielkim lustrze zajmującym całą ścianę. Widząc siebie w kraciastej wyjściowej toalecie, miałam wrażenie, że obserwuję obcą osobę. Wyglądałam co prawda dużo lepiej niż we własnych ubraniach, mimo to w tak luksusowym otoczeniu wciąż sprawiałam wrażenie kogoś mniej atrakcyjnego, ubranego nijako i bez gustu. Idealnie, by odsunąć od siebie spojrzenia mężczyzn. Po wyjściu klientki sprzedawczyni skierowała uwagę na mnie.

- *Bonjour, mademoiselle.* Proszę się nie krępować, gdyby potrzebowała pani pomocy w doborze odpowiedniego fasonu czy rozmiaru.

Jak dziwnie było znaleźć się w roli klientki.

- Jestem umówiona - oznajmiłam i skierowałam się w stronę szezlongu ustawionego pod oknem. Czułam się zbyt onieśmielona,

by odważyć się dotknąć któreś z owych wytwornych nakryć głowy. Usiadłam więc tylko i oczekiwałam na nadejście hrabiny.

Kiedy przyjechałam do Paryża, marzyłam o pracy w podobnym sklepie, w otoczeniu pięknych przedmiotów. Było to całkowite przeciwieństwo wiejskiego kramu, w którym każdego dnia taszczyłam worki pełne ziemniaków, skrzynki załadowane jabłkami, uzupełniałam zapasy oliwy i lepu na muchy. A wszystko z nieustannym ojcowskim oddechem na karku.

Wpatrywałam się w wykwintne modele kapeluszy, które mieniły się niczym egzotyczne ptaki. Chciałam musnąć dłonią ozdobne pióra, poczuć pod palcami ich miękkość. Już sobie wyobrażałam, jak codziennie stroję się w inny model, i nawet zapomniałam, jaki jest prawdziwy cel mojej wizyty u modystki. Nagle przypomniałam sobie fragment opasłej książki będącej zbiorem reguł naszego fachu. Dostałam ją już w pierwszym dniu zajęć w agencji.

11.2. Alieni Appetens⁶. Zabrania się pożądać przedmiotów do klientki należących, które niezdrową zazdrość wzbudzają. Każda złodziejka przyłapana na niecnym przywłaszczeniu sobie dobra klientki ze służby wydalona zostanie i przed obliczem sądu postawiona będzie.

I stało się tak, jakby wszystkie szykowne nakrycia głowy odwróciły się ode mnie z pogardą, a wyłożone na ladę rękawiczki oskarżycielsko wystawiły palce w moją stronę. Jakby dobrze wiedziały, że nie zasługuję na to, aby je nosić. Jakby ktoś im powiedział, że nie przynależę.

Dźwięk dzwonka przerwał moje rozmyślenia. Spojrzałam w kierunku drzwi i z zaskoczeniem odkryłam, że do sklepu wkroczyła

⁶ „Żądny cudzego” (łac).

przyjaciółka hrabiny, *madame Vary*. W kapeluszu strojnym w pawie pióra poruszała się krokiem dumnym jak sam królewski ptak.

- Ach, tu jesteś, Maude - odezwała się na mój widok. Podniosłam się z szezlongu i podałyśmy sobie dłonie obleczone w rękawiczki.

- *Bonjour* - przywitała się sprzedawczyni, lecz *madame Vary* zignorowała ją i omiotła mnie spojrzeniem od stóp do głów.

- Robię to tylko z czystej przyjaźni do hrabiny. To taka wspaniała kobieta. - Ciepłe słowa, jakie padły z jej ust, stały w całkowitej sprzeczności z pełnym wzgardy tonem głosu. Zdjęła z głowy pawie kapelusz i rzuciła go na stojący za mną szezlong. - Gdyby ktoś pytał, jesteś córką kuzyna mojego nieboszczyka męża - oznajmiła. - Zresztą wyglądasz tak, jakbyś była z jego rodziny - dodała.

Nie wiedziałam, co dokładnie ma na myśli, ale w ostatnim komentarzu wyczułam nutę uszczypliwości. Jak mogła mieć do mnie tak negatywny stosunek, skoro ledwo zamieniłyśmy ze sobą dwa słowa? Przeszła wzdłuż lustrzanej ściany, wpatrując się w swoje odbicie. Nie wyglądała na wdowę. Przynajmniej nie na taką, jakie wcześniej zdarzało mi się widywać. Była zbyt szykowna, nazbyt urodziwa i... za młoda. Nie przypadła mi do gustu.

- Jak zapewne wiesz, jestem *madame Vary*, ale na potrzeby tej maskarady możesz nazywać mnie ciotką - poinformowała.

- Mam udawać, że jest pani moją ciotką? - powtórzyłam z niedowierzaniem.

- Hrabina wszystko ci wyjaśni - odparła, nie odrywając spojrzenia od lustra. - Cokolwiek powiesz Isabelle, ani słowem nie waż się wspominać o agencji. - Wykonała w tył zwrot i podeszła do kolekcji kapeluszy. Jej słowa zbiły mnie z tropu.

Zanim zdołałam rozeznąć się w sytuacji, drzwi się otworzyły i do sklepu weszła hrabina w towarzystwie dziewczyny w moim

wieku. Na pierwszy rzut oka wyglądała jak młodsza wersja własnej matki, te same bujne czarne włosy i blada cera, te same ciemnobrązowe oczy. Jednak po bliższym przyjrzeniu się zauważyłam, że jej rysy są delikatniejsze, a twarz jakby mniej ociosana.

Obie kobiety przywitały się z *madame* Vary, która przedstawiła mnie jako daleką kuzynkę jej zmarłego męża. Hrabina uraczyła mnie życzliwym uśmiechem.

- Maude, jak wspaniale znowu cię widzieć - zaświergotała. Uderzył mnie ten przyjazny ton. W pamięci wciąż miałam jej oschłe zachowanie podczas wizyty w agencji.

Tymczasem jej córka nie grzeszyła życzliwością.

- Miło mi cię poznać, Isabelle. - Wyciągnęłam do niej rękę, szczerząc się w nienaturalnym, spiętym uśmiechu. Mruknęła pod nosem ledwo słyszalne *bonjour*. Byłaby ładniejsza, gdyby się uśmiechała.

Isabelle Dubern opuściła nasze towarzystwo i rozpoczęła przechadzkę po sklepie w poszukiwaniu ciekawych fasonów. Dla mnie nie miało to najmniejszego sensu. Przecież to mnie powinna najpierw dokładnie obejrzeć, nie kapelusze. Wszak jej matka i *madame* Vary były takie skrupulatne, kiedy dobierały jej odpowiednią dziewczynę dla kontrastu.

Hrabina dała mi znać gestem, bym poszła za jej córką. Dołączyłam więc do niej i stanęłam obok jak wierny szczeniak. Isabelle dotykała palcami różnych kapeluszy, ale żadnego z nich nie raczyła przymierzyć. Ze ściśniętym żołądkiem powtarzałam sobie w pamięci wyuczone na zajęciach frazy wspomagające konwersację, mimo to pozostawałam milcząca. Na szczęście córeczka wykazywała wobec mnie całkowitą obojętność.

Tymczasem *madame* Vary i jej przyjaciółka rozpoczęły wybór kapelusza idealnego. Ich głosy wypełniły całe pomieszczenie: „ten mniej zdobiony”, „więcej piór”, „ten, ale w innym kolorze”, „jeszcze

taki z woalką", „tylko bez błyskotek"... Zauważyłam, że hrabina jest śmielsza w swoich wyborach, *madame* Vary natomiast skłania się ku frywolniejszym fasonom. Nigdy wcześniej nie widziałam tak aktywnych klientek.

Minuty mijały, a ja coraz bardziej czułam, że nie wywiążę się ze swojego zadania. Wzięłam jeden z wyeksponowanych kapeluszy i zaczęłam obracać go w dłoniach, chcąc upewnić się, gdzie jest przód, a gdzie tył. Isabelle zainteresowała się zwyczajnym słomkowym nakryciem głowy, przepasanym wstążką. Jak tylko je przymierzyła, przypomniałam sobie zalecenia nauczycielki: nie szczędź swojej klientce komplementów. W końcu nadeszła możliwość odezwania się.

- Wygląda bardzo ładnie - powiedziałam.

- Nie szukam ładnych. - Łypnęła na mnie.

Jej impertynencka riposta niemal ścięła mnie z nóg. Do czego więc jestem jej potrzebna? Zanim zdążyłam odpowiedzieć, podeszła do nas hrabina.

- Isabelle! Zdejmij natychmiast to paskudztwo i wybierz coś odpowiedniejszego. Nie wiem, dlaczego tak bardzo chcesz udawać nędzarkę.

Isabelle z westchnieniem ściągnęła z głowy słomkowy koszmarek i skierowała się do gabloty z kapeluszami przybranymi we wszelkiego rodzaju pióra. Wzięła do ręki artystyczną kreację udekorowaną różowymi i liliowymi stroikami.

- A co sądzisz o tym, mammo?

- Isabelle, litości. Musisz popadać z jednej skrajności w drugą? Nie zamierzasz chyba ujeżdżać słońi w cyrku?

Odwrociłam wzrok, nie chcąc być mimowolnym świadkiem ich prywatnych utarczek.

- Może ten się panience spodoba? - Sprzedawczyni pokazała kapelusz z szarym strusim piórem.

- Ten jest całkiem niezły - zgodziła się hrabina. Dziewczyna podeszła do Isabelle i włożyła jej kapelusz na głowę.

- Stań przed lustrem i przyjrzyj się sobie - zakomenderowała matka. Córka zrobiła to, o co ją poproszono. - W końcu wygląda jak dama, a nie jak chłopka czy inna pensjonariuszka. Co za ulga -zwierzyła się hrabina przyjaciółce.

- Nie pasuje - skrzywiła się Isabelle. - Na ptaku te pióra wyglądałyby lepiej.

Stałam kilka kroków za nią, przypatrując się jej odbiciu w lustrze. Była ładna, choć nie tak piękna jak matka. Ponadto w jej wyglądzie dało się dostrzec pewną dozę prowokacji. Mocno zarysowana szczęka; to, w jaki sposób unosiła głowę. Dla porównania spojrzałam na własne odbicie. Czy efekt kontrastu został w tym przypadku osiągnięty? Czy rzeczywiście przy mnie mogła uchodzić za bardziej urodziwą? Dążenie do tego, aby własna twarz wydawała się szpetna, aby odpychać od siebie męski wzrok, było swoistym sprzeniewierzeniem się naturze.

- Weźmiemy strusia i jeszcze ten - powiedziała hrabina do sprzedawczyni, wskazując leżący na szeszlunku kapelusz, który wybrała wspólnie z *madame* Vary. - Proszę zapakować.

Isabelle zdjęła z głowy model z piórami i podała go modystce.

- Co? - rzuciła kwaśno w moją stronę, spostrzegłszy, że ją obserwuję. Szybko przebiegłam w pamięci porady *madame* Girard. Natychmiast trzeba powiedzieć jakiś komplement.

- Och, tak tylko... Te szare pióra pięknie kontrastują z kolorem twoich włosów - wybrnęłam z sytuacji, uśmiechając się.

- Nie zachowuj się jak małpa. - Przewróciła oczami. - Będziesz mi tak pochlebiać za każdym razem, kiedy przymierzę jakiś kapelusz?

Dlaczego taka była? Przecież wiedziała, na czym polega moja praca. Czego ode mnie oczekiwała? Odwróciłam głowę, nie chcąc pokazywać płonącej wstydem twarzy. Wyglądało na to, że Isabelle

tylko udaje nieświadomą mojej roli. Nagle mnie olśniło. A jeśli nie? Jeśli naprawdę nie wie, dlaczego tu jestem? Serce zabiło mi mocniej, kiedy połączyłam ze sobą kolejne elementy tej tajemniczej układanki. *Madame Vary* udająca, że jestem jej kuzynką, napięcie między matką a córką, niechęć tej drugiej do wyglądu kobieco i pięknie. Byłam pewna, że za wszystkim musiała stać hrabina, która wynajęła mnie, nie mówiąc słowa własnej córce. Gdyby Isabelle Dubern była dla mnie miłsza, mogłabym nawet zacząć jej żałować.

- Mam dla ciebie wyzwanie. Znajdź najbrzydszy kapelusz w tym sklepie. - Na te słowa się odwróciłam. Isabelle patrzyła prosto na mnie.
- Taki, w którym będę wyglądać wyjątkowo głupio.

Rzuciłam okiem w kierunku hrabiny i *madame Vary*, te jednak stały ze sprzedawczynią po drugiej stronie sklepu. Wzięłam głęboki oddech i ruszyłam wzdłuż gablot, półek i stojaków w poszukiwaniu tego jedyne, najbrzydszego modelu. Isabelle deptała mi po piętach. W oczy rzucił mi się egzemplarz ozdobiony niezliczoną ilością jedwabnych różyczek i koronkową woalką.

- Ten. - Pokazałam palcem.

- A dlaczego ci się nie podoba? - zapytała.

- Moim zdaniem ma zbyt dużo ozdób, by uchodzić za gustowny. - Miałam nadzieję, że wyszłam z tego obronną ręką. Czy był to rodzaj sprawdzianu, czy podstęp?

Córka hrabiny podniosła go i obejrzała dokładnie. Jedwabne kwiatki otaczały kapelusz z każdej strony, upodabniając go do różanego krzaka. Nawet woalka miała wyhaftowane na brzegach małe różyczki.

- Kto według ciebie mógłby nosić coś takiego? - zapytała z uśmiechem.

Zadowolona, że w końcu zaczęłyśmy ze sobą rozmawiać, odpowiedziałam entuzjastycznie:

- Może aktorka? Albo artystka z wodewilu?

- A może kurtyzana? - zażartowała Isabelle, wsunęła kapelusz na głowę i zaczęła przechadzać się tam i z powrotem. Zaśmiałam się z jej dowcipu z nieco przesadnym entuzjazmem. *Madame Vary* podeszła do nas.

- Wybrałaś coś jeszcze czy mam już uregulować rachunek?

- Ogromnie spodobał mi się właśnie ten kapelusz, ale twoja kuzynka powiedziała, że wyglądam w nim jak prostytutka. - Isabelle zrobiła smutną minę.

Wstrzymałam powietrze, *madame Vary* poczerwieniała i wbiła we mnie spojrzenie mrożące krew w żyłach. Isabelle z ostentacyjnym obrzydzeniem, jakby dotykając skażonego przedmiotu, zdjęła kapelusz i odłożyła go na półkę. Co za jędrza! Z jaką łatwością kłamstwo spłynęło z jej warg!

- Ale ja... - próbowałam się bronić.

- Maude, przeprosiłabyś w końcu! - Głos *madame Vary* przeszył mnie jak strzała. - Jestem pewna, że nie chciała być niegrzeczna - powiedziała do Isabelle, kładąc jej dłoń na ramieniu. - Wychowywała się w... klasztorze, nie ma więc pojęcia o współczesnej modzie.

- Isabelle, wezwij woźnicę - poprosiła hrabina. - Powiedz, że mamy do przewiezienia trochę pudeł.

- Dobrze, mam - odparła córka i przechodząc obok, rzuciła w moją stronę złośliwy uśmiezek.

Kiedy znikła nam z oczu, *madame Vary* chwyciła mnie za nadgarstek.

- Gdzie podziały się twoje maniery? - syknęła. - Myślałam, że nauczyli cię, co przystoi prawdziwej damie. To nie niziny społeczne, panienko - dodała i pociągnęła mnie do wyjścia.

Stało się dla mnie jasne, że pod żadnym względem nie pasuję do rozpuszczonej hrabianki. Spotkanie zakończyło się katastrofą.

Dlaczego nikt wcześniej nie przygotował mnie na tę farsę? A Isabelle Dubern, bez względu na to, czy wiedziała, w jakiej roli tam występuję, czy też nie, okazała się nad wyraz cyniczna i złośliwa. Przypomniałam sobie słowa Marie-Josée: „Zawsze znajdzie się jakaś klientka, która nie zna litości”.

- Maude! - zawołała hrabina. Podeszłam do niej ze ściśniętym gardłem. Czy słyszała moją rozmowę z Isabelle? Drżałam na myśl, co za chwilę mogę od niej usłyszeć. Wstrzymałam oddech.

- Pasujecie do siebie z Isabelle - oznajmiła, przymierzając ciemnoniebieskie rękawiczki. - Chciałabym, abyś towarzyszyła jej podczas balu u wicehrabiostwa Rochefort. Zanim jednak wejdiesz na salony, jutro wieczorem zjesz z nami kolację. Chcę się upewnić, czy potrafisz się zachować w większym towarzystwie.

Wyciągnęła rękę przed siebie, przyglądając się rękawiczce.

- Chcę, żeby wszystko było jasne - jej ton stał się chłodny i ostry - to nie jest zwyczajne zlecenie. Isabelle nie wie, że jesteś z agencji. Jesteś jej nową przyjaciółką, zapamiętaj to sobie. - Przeszyła mnie bezlitosnym wzrokiem. - Pod żadnym pozorem nie może poznać prawdy, zrozumiałaś?

Przytaknęłam powoli. Rozumiałam ją doskonale. Właśnie dostałam zadanie niemożliwe do zrealizowania.

Rozdział siódmy

To była jedna z moich nielicznych dotychczas wizyt w Café Chez Émile. W sobotę agencję otwierano nie wcześniej niż w południe. Ledwo minęła dziesiąta, a ja sączyłam gorącą czekoladę, udając, że przeglądam poranną gazetę. W rzeczywistości jednak wypatrywałam w tłumie Paula w jego zbyt obszernym garniturze.

„Wieża Eiffla pnie się do góry. Wkrótce jej wysokość przekroczy dwieście metrów". Przebiegłam artykuł wzrokiem, nie czytając go. Czekolada w kubku powoli się kończyła, podobnie jak moja cierpliwość. Już-już miałam się poddać, gdy nagle... Dreszcz emocji! Zobaczyłam, jak przekracza próg lokalu. Był w towarzystwie dwóch przyjaciół. Zajęli stolik przy przeciwległej ścianie. Kelner musiał ich dobrze znać, ponieważ nie pytając o zamówienie, przyniósł im kawę. W przyпіływie nagłej śmiałości podniosłam się z krzesła. Nim jednak zdążyłam dotrzeć do ich stolika, coś mnie powstrzymało. Wszyscy trzej odwrócili się raptownie w jedną stronę. Podążyłam za ich wzrokiem i spostrzegłam szykowną kobietę, która właśnie weszła do kawiarni.

- Suzanne! Suzanne! - przywoływali ją. Ta pomachała do nich i podeszła do stolika, przy którym siedzieli.

Wszyscy, nie wyłączając Paula, wyglądali na zachwyconych tym spotkaniem. Całkiem zmieszana patrzyłam, jak każdy z nich podrywa się z krzesła i wita się z kobietą, całując ją w oba policzki. Miała długie rozpuszczone i falujące włosy, pod pachą trzymała sporych rozmiarów płótno. Niepocieszona wróciłam na swoje miejsce i zapatrzyłam się w mętną resztkę czekolady na dnie kubka. Kiedy ponownie podniosłam wzrok, zobaczyłam, że kobieta siedzi obok Paula, a obraz, który przyniosła, stoi oparty o ścianę. Nie trwało to długo, ponieważ po chwili Paul podniósł płótno i zdjął z niego bawełniany pokrowiec. Z daleka nie widziałam dobrze tego dzieła, zauważyłam jedynie, że dyskusja przy stoliku nagle się ożywiła. Czy ta kobieta jest artystką? Tego nie wiedziałam, ale bez wątpienia znalazła się w centrum zainteresowania wszystkich panów. A im głośniejsze rozmawiali, tym mniej widoczna ja się stawałam. Położyłam na stoliku pieniądze za czekoladę i niezauważona wymknęłam się z kawiarni.

Omnibus zatrzymał się na ulicy de Rennes. Podbiegłam, by zdążyć przed jego odjazdem. Jak zwykle wdrapałam się na górny, otwarty pokład, żeby móc obserwować miasto. Moim ulubionym odcinkiem podróży do pracy był wjazd na rozciągnięty ponad Sekwaną Pont Neuf, z którego jak na dłoni widziałam dwa brzegi Paryża rozpościerające się po obu stronach rzeki.

Mieszkałam w lewobrzeżnej części miasta, tymczasem wszelkie sprawy związane z agencją, jak również z bogatymi klientkami toczyły się po drugiej stronie. Tego dnia jednak, zamiast podziwiać panoramę stolicy, wróciłam myślami do spotkania w kawiarni. Dlaczego nie podeszłam choćby po to, żeby się przywitać? Westchnęłam zrezygnowana. Omnibus szarpnął nagle, spojrzałam na oddalający się brzeg. W oddali pięła się w niebo wciąż nieukończona wieża Eiffla. Niedopasowanie nigdy nie było częścią moich marzeń o życiu w Paryżu.

Wróciłam do wydarzeń, za sprawą których postanowiłam opuścić Poullan-sur-Mer. Znienawidzony przeze mnie sklep ze wszystkimi praktycznymi artykułami, niezbędnymi do życia na wsi. Ani grama zbytku, żadnych dóbr luksusowych, zapachu, piękna, finezji. Kiedy byłam mała, rękę matki wyczuwało się w ułożeniu towarów. Później, gdy umarła, ojciec zabrał mnie ze szkoły. Jego zdaniem wystarczająco dobrze poznałam arytmetykę, by móc przydać się w sklepie. Tak oto zaczęłam sprawować pieczę nad księgami rachunkowymi. I kiedy moi rówieśnicy czytali o Pompejach czy Bizancjum, ja liczyłam butelki z płynem leczniczym lub targałam worki wypełnione mąką. Gdy któryś z moich szkolnych kolegów przychodził odwiedzić mnie w sklepie, ojciec tak długo ostentacyjnie wzdychał, aż ten odchodził. Ojciec mówił, że nie lubi, kiedy przenoszę do pracy życie towarzyskie. Do tego miał węża w kieszeni. Nie było mowy, żebym poczęstowała kogoś choćby kostką czekolady. A może bał się, że przymknę oko, gdy ktoś pokusi się o drobną kradzież?

Ponieważ sklep prosperował dość gładko, zaczęłam napomykać o powrocie do szkoły. Zaproponowałam, że wciąż mogę pomagać popołudniami i w weekendy. Bardzo chciałam się uczyć. Miałam poczucie, że ciężko mi będzie odzyskać straconą szansę na pogłębianie wiedzy. Wkrótce miałam skończyć szesnaście lat. Wtedy ojciec zaczął mnie nakłaniać do wyjścia za mąż. Był to jego sposób na to, aby zachować nade mną kontrolę, a także by położyć kres moim marzeniom.

Powoli dojrzewiała we mnie chęć ucieczki, chociaż na początku niechętnie dopuszczałam do siebie tę myśl. Punkt zwrotny nastąpił, kiedy pewnego dnia zesłam po jabłka do piwnicy, skąd można było usłyszeć trzask desek i stłumione dźwięki rozmów dochodzących z góry. Ojciec akurat był na zewnątrz i ładował towar na wóz

rolnika; w sklepie zostały żona klienta i jej przyjaciółka. Przekonane, że są całkiem same, oddały się namiętnym plotkom.

- Jest taka młoda, a haruje sześć dni w tygodniu - odezwała się jedna.
- Młodziż powinna mieć czas na swoje życie. Bóg jeden wie, ile pracy ją czeka, kiedy dorośnie.

Zmroziło mnie na dźwięk tych słów. Rozmawiały o mnie. Stałam bez ruchu z jabłkiem w ręce.

- Kto będzie dla niego pracował za darmo, kiedy wyda ją za mąż? - zastanawiała się druga.

Wspięłam się na palce i zginając kark, przywarłam uchem do niskiego sufitu, żeby lepiej słyszeć.

- Przecież zamieszka po drugiej stronie ulicy. Słyszałam, że Thierry już rzucał jakieś półsłówka na ten temat. Wspominał coś o młodej żonie, która będzie rodziła mu synów.

Serce załomotało mi w piersi. Chodziło o Thierryego rzeźnika? Tego starego, z parchatą twarzą, który bije swojego psa? Jak mój ojciec w ogóle mógł o nim pomyśleć...

- Wiesz, takie jak ona nie mogą wybierać. Dziewczyna wyraźnie nie odziedziczyła urody po matce.

- Tak, niczym specjalnym się nie wyróżnia. Biedactwo, pewnie bardzo brakuje jej matczynej troski.

Poczułam, jak krew uderza mi do głowy, żołądek się kurczy, a kłykcie bieleją od kurczowego zaciskania jabłka.

- Myślę, że stary Pichon cały czas chce mieć córkę na oku, stąd wybór rzeźnika na męża.

- Albo ubzdurał sobie, że mając takiego zięcia, każdego wieczoru będzie mógł raczyć się pyszną pieczenią. Stary przebiegły wyga.

Nagle wyobraziłam sobie własne nudne życie w wieku czterdziestu lat. Mogłam zapomnieć o Paryżu i jego rozrywkach, po-

znawaniu nowych znajomych, wizytach w operze. Cała wioska skurczyła się do tej ciasnej, wilgotnej, zatęchłej i przytłaczającej mnie piwnicy. Mój los został przesądzony. Nikt niczego więcej ode mnie nie oczekiwał.

Usłyszałam skrzypnięcie drzwi i dźwięk sklepowego dzwonka. Po chwili odezwał się mój ojciec. Prawione przez niego banały o pogodzie i figlarny ton w stosunku do klientek budziły we mnie odrazę. Wbiłam paznokcie w jabłko. To była chwila, kiedy postanowiłam wziąć życie we własne ręce. Nagła jak błyskawica myśl o ucieczce do Paryża przebiegła mi przez głowę, rozpała serce, ogarnęła umysł... Tego płomienia już nic nie zdołało ugasić.

Rozdział ósmy

W sobotni wieczór agencja tętniła życiem. Trwały gorączkowe przygotowania do pełnej wrażeń nocy. Wszyscy poza nowymi dziewczynami i ich mentorkami, które akurat nie miały żadnych planów, zgromadzili się w salonie. *Madame* Girard dawała ostatnie wskazówki.

Wpatrując się w niebo pulsujące złotem i purpurą, puszczałam jej słowa mimo uszu. Nad Paryżem skrzydła rozwijała noc, a we mnie wzbierał lęk jak przed nieuchronnym zagrożeniem, które wkrótce miało nadejść. Gdyby tylko Marie-Josée była przy mnie, mogłaby mnie jakoś pocieszyć, uspokoić. Nie widziałyśmy się od poprzedniego dnia, kiedy to spotkałam się z hrabiną Dubern i jej córką. Tak bardzo pragnęłam opowiedzieć jej o zachowaniu Isabelle, niestety, rano utknęłam w garderobie na przymiarkach sukni wieczorowej, a po południu ona poszła na umówione spotkanie jako dama dla kontrastu.

- Październik to w Paryżu początek sezonu - oznajmiła Girard. - Bogate rodziny wracają wtedy ze swoich wiejskich posiadłości lub podróży zagranicznych i wpadają w wir bujnego życia towarzyskiego.

Marzyłam o tym, żeby już przestała. Jej słowa tylko pogłębiały mój strach.

- Jako pracownice naszej agencji macie szansę zaznać luksusów tego życia. Premiery w teatrach, wystawne bankiety, eleganckie bale... Oczywiście poruszać się będziecie powozami, odziane w olśniewające kreacje, obwieszane najprzedniejszą biżuterią.

W tym momencie przez salę przeszedł stłumiony chichot. Dziewczyny już zakładały się o to, czy nasza krawcowa *madame* Leroux jest ślepa na kolory, czy też po prostu cierpi na wrodzony brak gustu. Jakkolwiek by było, jej talent do czynienia z nas szkarad był niemal legendarny.

- Nie wtajemniczeni nawet nie zauważą, że nie należycie do ich świata - ciągnęła Girard. - Waszym zadaniem jest jedynie dostosować się i jak najlepiej służyć waszej klientce.

Ledwo mogłam wysiedzieć na miejscu. Zresztą większość dziewcząt była równie rozdrażniona jak ja. Wiele spośród nowych pracownic miało już za sobą pierwsze spotkania, toteż wykład pani Girard nie wnosił do ich wiedzy nic nowego. Jej rady okazały się nieprzydatne także w czasie mojej wizyty u modystki, kiedy to poznałam Isabelle Dubern.

- Dzisiejszą lekcję chciałabym zakończyć rozważaniem o pewnym istotnym aspekcie waszej profesji. - Tu Girard znacząco zawiesiła głos, jakby chciała podkreślić ważność tego, co zaraz miałyśmy usłyszeć. W moim odczuciu jednak było to zwykłe marnowanie czasu. Zerknęłam na zegarek. Zostały dwie minuty. - Sukces związku klientki z jej brzydką towarzyszką zależy od zbudowania bliskiej więzi - powiedziała.

Tym razem udało jej się przykuć moją uwagę. Wciąż miałam w głowie słowa, jakie wypowiedziała do mnie hrabina.

- Efekt zostanie osiągnięty, kiedy będziecie dla swojej klientki jak lustro - kontynuowała Girard. - Musicie stać na tyle blisko, by

jak najlepiej wyeksponować jej urodę. Ona będzie odgrywała przy was swoją rolę, śmiała się, dzieliła tajemnicami, przymilała, traktowała was jak przyjaciółkę. Wy macie do odegrania własną.

Chciałam zaprotestować. A co, jeśli nasza klientka jest oszukiwana przez własną matkę? Co, jeśli nie zdaje sobie sprawy, że ma rolę do odegrania? Gdyby pani Girard zachowywała się przystępniej, poprosiłabym ją o radę, wolałam jednak zapytać o to Marie-Josée. Była mi dużo bliższa. Koniecznie musiałam z nią porozmawiać przed wyjściem do hrabiny. Ona z pewnością będzie wiedziała, co robić.

- Pamiętajcie, im bliższe wydacie się klientce, tym lepsze wyniki osiągniecie. - Pani Girard gestykulowała dramatycznie, jedną rękę kładąc na sercu, drugą wyciągając do publiczności. - Wyobraźcie sobie, że jesteście aktorkami na wielkiej scenie teatralnej.

Zanim skończyła swoje płomienne przemówienie, zegar na kominku oznajmił długo wyczekiwane zakończenie lekcji. Wybiegłam z salonu jako pierwsza. Być może kiedy ja tkwiłam na zajęciach, Marie-Josée zdążyła wrócić? Pognałam korytarzem do garderoby, otworzyłam drzwi i dysząc z wysiłku, rozejrzałam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu znajomej pulchnej sylwetki. W środku nikogo jednak nie było. Po chwili nadeszły kolejne dziewczyny i mijając mnie w progu, wchodziły do pokoju. Nie mogłam spotkać się z Isabelle Dubern i jej surową matką, nie poprosiwszy Marie-Josée o poradę. Ona nigdy nie bała się klientek. Była moim dobrym duchem. Koniecznie musiałam się z nią zobaczyć. Wtedy na pewno wszystko by się ułożyło.

- Maude. - *Madame* Leroux skinęła na mnie dłonią i zdjęła z wieszaka moją wieczorową kreację. Była to staroświecka suknia ozdobiona ciemnoszarymi koronkami, do tego rękawiczki utrzymane w podobnym stylu. Szwaczka przyłożyła do mnie toaletę. - Teraz, kiedy nieco ją wydłużyłam i zwężyłam w pasie, powinna pasować jak ulał - orzekła.

- Widziała pani dzisiaj Marie-Josée? - zapytałam, biorąc od niej sukienkę.

- Nie, nie widziałam jej. - Pstryknęła palcami zirytowana. -Przebieraj się, ale już.

Zrzuciłam z siebie swoją codzienną sukienkę, a *madame* Leroux pomogła mi wcisnąć się w przygotowany przez siebie strój. Spojrzałam na swoje odbicie w lustrze. Wyglądałam jak poszarzała od trosk wdowa.

- Usiądź. - Kobieta wskazała na stołek przed lustrem. Rozplotła mi włosy, rozczesała i upięła zwinięte na czubku głowy. Dotknęłam dłonią odsłoniętego karku. Nie przywykłam do takiej fryzury. Czułam się obnażona.

- Jesteś gotowa. Hortense, twoja kolej! - zawołała. Wyszłam z garderoby i spojrzałam na zegar wiszący na ścianie.

Do wyjścia pozostała mi zaledwie godzina. „Marie-Josée, wracaj” - pomyślałam. Usiadłam sama w jadalni, a na kolana położyłam serwetkę, żeby tylko nie poplamić wyjściowej sukni. Reguły były jasne. Wisiały przyklejone do ściany naprzeciw mnie.

IV. 1. Wszystkie anty damy przed udaniem się na bankiet, na którym serwowane jest jedzenie, uprasza się o spożywanie posiłków w stołówce naszej agencji. Zdarzały się bowiem przypadki nieprzyzwoitego objadania się na przyjęciach, jak również chowanie resztek jedzenia do torebek czy kieszeni płaszczy. Podobne zachowania są surowo zabronione i będą skutkować natychmiastowym wydaleniem ze służby.

Nie miałam apetytu. Rozgrzebywałam widelcem rzadką zapiekanekę z mięsa i ziemniaków. Może tego wieczoru Isabelle okaże się dla mnie życzliwsza? A może nie? Od natłoku myśli kręciło mi się w głowie.

- Co ty robisz? - Czyjś głos wyrwał mnie z zamyślenia. Podniosłam głowę i ujrzałam błyszczące oczy Marie-Josée. Odsunęła mój talerz.

-Nie napychaj się przed kolacją. Zabraknie ci miejsca w żołądku.

Uradowana zerwałam się z miejsca i ucałowałam ją w policzek.

- Tak się cieszę, że wróciłaś. Nie było cię całe popołudnie. Zaśmiała się na tak żarliwe powitanie i usiadła przy stole.

- Leroux powiedziała, że idziesz dzisiaj do Dubernów. Mogę skończyć twój obiad? - zapytała.

- Śmiało, ale co z zasadami? Powinnam chyba coś zjeść.

- Bzdury! - zachnęła się. - Korzystaj z tego, czym cię ugoszczą. Masz pojęcie, co oni tam podają? Nie możesz zmarnować takiej okazji. - Zabrała moją serwetkę i wetknęła ją sobie za dekolt. - Po prostu nie daj się złapać. I nie wynoś niczego miękkiego ani płynnego, bo ci się rozleje w torebce. - Mrugnęła porozumiewawczo. -Leroux pewnie nic by nie powiedziała, ale Girard zawsze się dowie.

Na myśl o wystawnej kolacji obleciał mnie strach.

- Wątpię, czy zdołam cokolwiek przełknąć - wyznałam. Marie-Josée wsunęła sobie do ust kawał mięsa.

- Czym się tak denerwujesz? Skoro masz już drugie spotkanie, to wczorajsze musiało pójść śpiewająco.

-Właśnie o tym koniecznie chciałam z tobą porozmawiać. Wcale nie poszło tak śpiewająco. Ta dziewczucha to rozpuszczony bachor, ale nie to jest najgorsze. Mam być jej przyjaciółką, nie żadną antydumą. Prawdziwą przyjaciółką.

- Co to znaczy? - Marie-Josée zmarszczyła czoło. Z kącika ust sterczał jej kawałek ziemniaka.

- Hrabina wynajęła mnie bez wiedzy swojej córki.

- Co? - Marie-Josée wytarła usta serwetką. - Młoda nie wie, że jesteś antydumą? - Po raz pierwszy widziałam na jej twarzy nieklamane zaskoczenie.

- Mam udawać, że jestem kuzynką *madame* Vary, i dyskretnie zaprzyjaźnić się z Isabelle. Muszę jakoś przeżyć tę kolację i bal w przyszłą sobotę.

Marie-Josée przerwała jedzenie.

- Nigdy wcześniej nie słyszałam, żeby klientka nie wiedziała, kim jesteśmy. Zazwyczaj same nas wybierają.

- Właśnie. To czyni moją pracę niemożliwą, ponieważ Isabelle otwarcie pokazuje, że mnie nie lubi.

Marie-Josée zastanawiała się przez chwilę.

- W jaki sposób? Jest nadęta, zarozumiała?

- Nie, raczej butna i pełna rezerwy.

- Nie bądź wobec niej zbyt służalcza, pokaż trochę charakteru. Wiem, że go masz - doradziła, przeżuając ostatni kęs zapiekanki.

- Jak mogę się jej postawić?

Na to pytanie Marie-Josée już nie zdążyła odpowiedzieć. W stołówce rozległ się nosowy głos *madame* Girard. Odwróciłyśmy głowy. W drzwiach stała Cécile i pokazywała palcem na nasz stół. Girard pospieszyła w naszą stronę drobnymi kroczkami.

- *Mademoiselle* Pichon! - zawołała. - Dobrze. Widzę, że zjadłaś już posiłek - odezwała się na widok pustego talerza. - *Monsieur* Durandeu chciałby z tobą pomówić przed wyjściem. Jest u siebie w pokoju.

Przytaknęłam i wymieniłam spojrzenia z Marie-Josée, która poklepała mnie przyjacielsko po dłoni, by dodać mi otuchy. Podniosłam się i poszłam na rozmowę.

Przemierzałam korytarz w stronę drzwi prywatnego apartamentu pana Durandeu, spod których sączyła się smuga światła. Zacisnęłam dłoń w pięść i zapukałam. Stłumione chrząknięcie oznaczało, że mogę wejść. Otworzyłam drzwi. Durandeu właśnie jadł kolację. Na talerzu ujrzałam stek wołowy, żadnej zapiekanki z ziemniaków i mięsa. Posiłek pachniał nieziemsko.

- *Monsieur* Durandeu, chciał mnie pan widzieć? - Młasnęłam od nadmiaru śliny. Stół był zastawiony niczym w ekskluzywnej restauracji; nakryty białym obrusem, na którym połyskiwały srebrne sztuce, obok stała karafka z winem. Nie zabrakło nawet świecznika, który tworzył łagodny nastrój.

- Drugie zlecenie w tygodniu, bal w przyszłą sobotę - oświadczył z pełnymi ustami. - Hrabina musiała cię polubić.

Zastanawiałam się, czy powiedzieć mu o tym, że zaproszenie na dzisiejszy wieczór wynika jedynie z ostrożności hrabiny, która chciałaby sprawdzić, jak poradzę sobie w towarzystwie.

- A jeśli... - zawahałam się. - A co, jeśli nie spodobam się hrabinie i nie zostanę zaproszona na bal?

Odłożone na talerz srebrne sztuce zabrzęczały dźwięcznie.

- Jak możesz mówić coś takiego?

- Pomyślałam tylko, że może jakaś inna klientka byłaby dla mnie odpowiedniejsza... - Przełknęłam głośno ślinę.

- Inna klientka? - huknął. - Wykluczone! Hrabina wybrała ciebie, nikogo innego.

- Ale, *monsieur*, nie sądzę, żebyśmy do siebie pasowały - broniłam się zawzięcie. - Może gdybym miała większe doświadczenie...

- Chcesz otrzymać prowizję, nie zarobiwszy na nią? - Durandeu wymierzył we mnie nóż do mięsa, po czym z zapalem przystąpił do krojenia steku. - Nigdy nie sprzeciwiłbym się życzeniom hrabiny. - Wetknął do ust spory kawałek polędwicy. - Pochodzi z najprzedniejszego rodu w całym Paryżu. Mamy dużo szczęścia, że korzysta z naszych usług.

- Rozumiem, *monsieur* - odparłam, kuląc się w sobie. Następnie Durandeu zrobił mi mały wykład o szlachetnych przodkach hrabiny Dubern, ale już go nie słuchałam. Patrzyłam tylko, jak rozszarpuje mięso nożem, a w głowie przesuwają mi

się obraży. Początki agencji. Durandeu siedzi przy oknie w swojej ulubionej restauracji i pochłania kawał polędwicy wołowej. Na zewnątrz przechadzają się dwie młode kobiety. Z daleka nie odznaczają się niczym wyjątkowym. Zatrzymują się przed witryną i przyglądają karcie dań. Stoją ramię w ramię, śmieją się z czegoś. Jedna z nich jest całkiem przeciętnej urody. Druga natomiast, która właśnie zrobiła krok do przodu, została pokarana tak wielką brzydotą, jaka spotyka tylko nielicznych. „Co za szkarada” - wzdycha Durandeu i patrzy na nią jak zahipnotyzowany.

Wreszcie, kiedy nie może już znieść tego widoku, przerzuca spojrzenie na przyjaciółkę i... doznaje wielkiej ulgi. Uspokaja się, widząc łagodne rysy twarzy, które teraz wydają mu się niemal idealne. „Ona jest piękna, nieprzeciętna” - konstatuje. Doznaje nagłego olśnienia, zastyka z kawałkiem mięsa na widelcu. Brzydkie kobiety! Niewykorzystany potencjał. Krople sosu skapują mu z wąsów na biały obrus. Jego zadumę przerywa kelner. Durandeu robi ruch ręką, jakby przeganiał natrętą muchę. Przenosi wzrok z jednej dziewczyny na drugą. „A gdyby tak odtworzyć to doświadczenie w innych okolicznościach? Zacząć sprzedawać piękno?”

- *Mademoiselle Pichon* - Jego głos wyrwał mnie z rozmyślań.

- Musisz poradzić sobie na dzisiejszej kolacji i przygotować się na przyszłotygodniowy bal. - Przetarł usta wykrochmaloną serwetką.

- Co więcej, bądź gotowa na udział w kolejnych wykwinnych uroczystościach. Przed nami cały sezon.

Z trudem skinęłam głową. Presja, by podołać zadaniu, była jak dłoń zaciskająca się na moim gardle. Z każdym kolejnym wyzwaniem coraz mocniej i mocniej. Zaczynałam tracić oddech.

Rozdział dziewiąty

Konie zatrzymały się na podwórzu przed rezydencją hrabiostwa Dubern. Wsiadłam z powozu *madame Vary* i oniemiałam z wrażenia. Nie potrafiłam ogarnąć wzrokiem tak wielkiej liczby rozświetlonych okien. Kiedy otworzyły się drzwi wejściowe, odniosłam wrażenie, jakby właśnie uniosła się kurtyna. Wkroczyłam w światła rampy niemal sparaliżowana tremą. Następnie przeszliśmy marmurowym westybulem do ogromnego holu. Nigdy wcześniej nie byłam gościem w tak okazałym domu. Jeden służący zabrał nasze płaszcze, drugi poprowadził nas na szerokie kręcone schody. Wspinając się, patrzyłam na wiszące na ścianach ponure portrety rodzinne. Odbijający się w nich blask kandelabrow dodał im nieco życia.

Dalsza droga prowadziła korytarzem wyłożonym dywanami. Tam *madame Vary* przyglądała się poły sukni i uśmiechnęła się do własnego odbicia w lustrze. W jej przypadku próżność była brzemieniem, które wymagało nieustannej troski. Wielką zaletą mojej sytuacji okazało się to, że nie musiałam nadmiernie się martwić, czy dobrze wyglądam. Swoją uwagę skupiałam na służącym, który otworzył przed nami dwuskrzydłowe drzwi prowadzące do głównego salonu. Gdy przekroczyłam próg, omal nie rzuciło mnie na kolana; głos uwiązł mi w gardle. Obrazy i gobeliny, aksamitne

zasłony, kanapy obite pluszem, ogień płonący w kominku i lśniące lustra odbijające blask lamp. Nie był to zwykły mieszczański salon, lecz luksus w czystej postaci.

Mężczyzna, który w moim przekonaniu musiał być hrabią, rozmawiał z dwiema starszymi parami. Wszyscy siwowłosi i sączący koktajle, kobiety obwieszane perłami. Na nasz widok hrabia poderwał się z miejsca i przywitał z *madame Vary*. Ujął jej dłoń, skłonił się nisko i ucałował ją z szacunkiem. Miał na sobie elegancki frak, białą muchę i skórzane buty. Nie był wysoki, lecz niezmiernie czarujący, wyglądał na co najmniej dziesięć lat starszego od hrabiny. Po chwili zauważył także mnie, trzymającą się w cieniu *madame Vary*, skinął oschle głową i natychmiast powrócił do mojej towarzyszki, zawieszając na niej spojrzenie znacznie dłużej, niż wymagałoby tego przyzwoitość. Paryskie umizgi, obyczaje salonowe...

Zostałam każdemu przedstawiona, jednak zapamiętanie wszystkich tych wieloczłonowych imion, tytułów oraz koneksji rodzinnych okazało się niewykonalne. Pozostały mi w głowie jedynie kalejdoskop wymuskanych twarzy i nic nieznaczące strzępy rozmów.

- Okropna sprawa, doprowadził na skraj nędzy całą rodzinę, tak szlachetne imię w rynsztoku... - doszły mnie szepty od strony siwowłosego, obwieszonego perłami towarzystwa.

- Wieża Eiffla nabiera kształtów potworka, jest jak skaza na paryskim niebie - odezwał się mężczyzna o wojskowej posturze.

- To nie potrwa długo - zapewniła kobieta z mieniącym się szafirem na szyi. - Rozbiorą ją w ciągu roku, a miasto odzyska dawny blask.

Siedząc na kanapie obok *madame Vary*, zastanawiałam się, dlaczego hrabina z córką jeszcze się nie pojawiły. Zapewne chciały wykonać spektakularne *entree*⁷. Patrzyłam, jak schodzą się kolejni

Tu: wejście (franc).

goście, a hrabia odgrywa rolę gospodarza. Być może Isabelle pałała do sukien wieczorowych podobnym entuzjazmem jak do kapeluszy.

W końcu, w szeleście falban, hrabina wpłynęła do salonu jak łabędź. Za nią podążała jej córka. Ich nadejście było dla mnie sygnałem, że oto na poważnie zaczął się spektakl, w którym ja odgrywam jedną z głównych ról. Przez głowę przemknęły mi podręcznikowe formułki, złote myśli z wykładów *madame* Girard, porady Marie-Josée. Hrabina witała gości. W zachwycającym szmaragdowym stroju bezsprzecznie dzierżyła tytuł najpiękniejszej kobiety w całej rezydencji. Isabelle wystąpiła w purpurowych jedwabiach. Wyglądała na mniej pewną siebie, choć nie sposób było odmówić jej urody. Obie lśniły niczym kamienie szlachetne. Onieśmielona obserwowałam je ze swojego miejsca, a koronkowe wykończenia mojej niechlujnej sukni zaczęły mnie uwierać.

Wkrótce potem, kiedy udało im się pokonać salon, panie Dubern podeszły do naszej kanapy. Hrabina spojrzała na mnie z błyskiem w oku.

- Isabelle - powiedziała - dotrzyмай towarzystwa Maude, ja w tym czasie porwę na chwilę jej ciotkę.

Madame Vary z wyraźną ulgą poderwała się z kanapy. Hrabina poprowadziła ją przez salon.

- Koniecznie musisz poznać naszego przyjaciela, lorda Blackwooda. Jest z Anglii - usłyszałam jeszcze głos hrabiny.

Jak tylko zniknęły w tłumie, Isabelle zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów.

- *Madame* Vary zgodziła się na ten strój, czy może jesteś w żałobie? Była uszczypliwa, jak zwykle, ja zaś siłłam się na uprzejmość.

- Moda średnio mnie interesuje - szepnęłam.

- To dziwne, że jesteście rodziną. Moda to jej cały świat. Ale zaraz... Zdaje się, że was chyba nie łączą więzy krwi?

Czyżby wiedziała więcej, niż przypuszczałam? Jej uwagi o nieatrakcyjnym ubiorze i relacjach rodzinnych zachwiały moim poczuciem spokoju. Postanowiłam jednak, że nie dam się zastraszyć. Przypomniałam sobie cenne rady Marie-Josée.

- Nie pozwoliłabym, żeby ciotka mnie ubierała, nie jestem dzieckiem - odcięłam się.

Wbiła we mnie wzrok. Najwyraźniej musiałam poruszyć jakąś czułą strunę. Aby jeszcze bardziej podkreślić swoją niezależność, omiotłam jej suknię przelotnym spojrzeniem.

- A ciebie ubrała matka? Ładnie, tak kobieco.

Odwróciła głowę. Czekałam na odwet, lecz Isabelle siedziała z nadąsaną miną i udawała, że przypatruje się gościom. Czyżby oznaczało to zawieszenie broni?

Oczywiście podczas kolacji przydzielono nam miejsca obok siebie. Stół mienił się wypolerowaną na błysk zastawą, a wokół krzątał się cały zastęp kelnerów. Pierwszy błąd popełniłam, gdy podziękowałam jednemu z nich za nalanie mi wina do kieliszka. Kilka par oczu zwróciło się na mnie po tym odstępstwie od normy. Niestety, dopiero ponieważ przypomniałam sobie rozemocjonowany głos *madame Girard*, która napominała nas, żeby nigdy nie wchodzić w kontakt ze służbą. Ona ma być niewidoczna. Kolejne *faux pas* nadeszło wraz z podaniem zupy - wybrałam nieodpowiednią łyżkę. Zerknęłam przelotnie na sąsiada i poprawiłam się, mając nadzieję, że nikt nie zauważył. Kiedy jednak podniosłam głowę, dostrzegłam, że Isabelle uważnie obserwuje moje potknięcia.

W głębi duszy cieszyłam się, że w czasie kolacji nie muszę z nią rozmawiać, bardziej interesujące było dla nas podsłuchiwanie dorosłych. Mój względny spokój został jednak zburzony, kiedy z drugiego krańca stołu odezwała się pewna kobieta w średnim wieku:

- *Mademoiselle Pichon*, czy to pani pierwszy sezon w Paryżu?

- Tak - odrzekłam, przełykając pospiesznie kawałek wędzonego pstrąga. Czułam, jak kęś zatrzymał mi się w przełyku, mimo to mówiłam dalej: - Korzystam z zaproszenia ciotki. - Jeszcze w powozie ustaliłyśmy z *madame Vary*, że tak właśnie odpowiem.

- A skąd pochodzi pani rodzina? Mówisz z delikatnym akcentem. Tym jednym zdaniem zdemaskowała moje prowincjonalne korzenie.

- Urodziłam się w niewielkiej wiosce pod... - Szaleńczo próbowałam sobie przypomnieć, skąd wywodzi się rodzina *monsieur Vary*'ego. - Dieppe... - Zaczęłam się jąkać. Na szczęście w porę uratowała mnie *madame Vary*.

- Rodzinne strony mojego męża to Deauville w Normandii.

- Ależ oczywiście, teraz sobie przypominam - odpowiedziała nieznajoma. Zagrożenie minęło, a rozmowa zesłała na temat pogody. Powinnam być wdzięczna paryskiej klasie wyższej, pełnej pogardy dla prowincji, że nie rozróżnia lokalnych akcentów. Dla niej wszyscy poza stolicą mówią tak samo.

Marie-Josée nie myliła się co do jedzenia, które było isticie królewskie: zupa z rzeżuchy, pasztet z gęsich wątróbek, wędzony pstrąg, pieczona gęś i kotlet jagnięcy skąpany w sosie, którego nazwy nawet nie potrafiłam wymówić. Bogato i bez ograniczeń. Na stół wjeżdżały kolejne dania, a służba z zapałem zmieniała zastawę. Zauważyłam, że moje talerze jako jedyne były wyskrobane do czysta, na pozostałych zalegały resztki niedojedzonych dań. I choć lord Blackwood poprosił o dokładkę pieczonej gęsi, ukroił sobie tylko mały kawałek, po czym odsunął talerz. Z tego, co zostawiali, z powodzeniem można by urządzić kolejną ucztę. Rzuciłam okiem na pulchną twarz lorda, wydęty brzuch i gładkie, wypiełgnowane dłonie. Zdałam sobie sprawę, że był to człowiek z rodzaju tych, którzy nie odmawiają sobie przyjemności w życiu. Jego spizarnia z pewnością nigdy nie świe-

ciła pustkami. Jeśli czegoś chciał, dostawał to za jednym skinieniem ręki. Przygryzłam wargi i spuściłam wzrok na swój talerz. Czy to źle zjadać wszystko do końca? Czy to kolejna z zasad obowiązujących w tym świecie, o której Girard zapomniała nam powiedzieć?

Po kolacji umościłam się razem z Isabelle na jednej z kanap stojących w rogu salonu. Z ulgą przyjełam zakończenie posiłku; jak obliczałam, musiała już minąć połowa wieczoru. Pomieszczenie zaczynało zapełniać się gośćmi, którzy teraz raczyli się trunkami. Hrabina była w swoim żywiole. Niczym latarnia morska roztaczająca szmaragdowe światło przyciągała do siebie żeglujące po salonach tłumy. Miałam wrażenie, że każdy pragnie choć przez chwilę znaleźć się w jej blasku. Isabelle westchnęła ciężko. Pomna na lekcje *madame* Girard, zebrałam się na odwagę i postanowiłam nawiązać rozmowę:

- Ci wszyscy ludzie są przyjaciółmi twojej rodziny?

- Przyjaciółmi? - Zniosła się śmiechem. - Wiedz, że w takim towarzystwie przyjaźnie nie istnieją. Liczą się kontakty.

W jej ustach zabrzmiało to jak maksyma wojenna.

- A Anglik?

- Lord Blackwood jest przyjacielem księcia Walii, przynajmniej tak twierdzi. Jego koneksje z rodziną królewską w oczach mojej matki czynią z niego bóstwo. Na szczęście dla mnie jest już żonaty.

Spojrzałam przed siebie. Hrabina rzeczywiście rozprawiała o czymś z lordem Blackwoodem. Wyglądała na urzeczoną jego osobą, on zaś z każdą minutą coraz bardziej pochylał się w jej stronę.

- Chodź. - Isabelle zerwała się z kanapy i pociągnęła mnie do góry. - Są tak zajęci sobą, że nawet nie zauważą naszego zniknięcia.

Zerknęłam na hrabinę w obawie, czy wypada nam bez pozwolenia opuszczać bankiet. Ta jednak, pogrążona w rozmowie, nie zwracała uwagi na otoczenie. Wyszliśmy z jasno oświetlonego salonu. Isabelle poprowadziła mnie przez hol, następnie wąskim

korytarzem, a później schodami w dół. Ta część posiadłości sprawiała wrażenie bardziej funkcjonalnej, być może zamieszkiwała ją służba.

- Dokąd idziemy? - zapytałam i spojrzałam za siebie, zastanawiając się, czy zdołałabym wrócić sama do sali bankietowej. - Jesteś pewna, że twoja matka się na nas nie zezłości?

- Nie marudź, Maude. Wolałabyś tam zostać i przysłuchiwać się ich banalnym pogaduszkom?

- Chyba nie.

Znalazłyśmy się na parterze w ciemnym korytarzu, który przemierzyłyśmy po omacku. Po niedługim czasie dotarłyśmy do szklanych drzwi. Isabelle otworzyła je i weszłyśmy do oranżerii pełnej egzotycznych kwiatów i woni pleśni unoszącej się w powietrzu. Wszystkie lampy były pogaszone, ale do wewnątrz przez szklane ściany sączył się blask księżyca, ukazując nam grządki obsiane roślinami, a także meble kute w żelazie. Były tam róże, lilie i gardenie. Słodki zapach miodu i pomarańczy zniewalał, a pąki kwiatów w srebrnej poświacie wyglądały olśniewająco.

Z dala od dorosłych mogłyśmy poczuć się swobodniej. Isabelle ściągnęła rękawiczki i rzuciła je na stolik.

- Jak ja nie znoszę tych długich przyjęć - oznajmiła i całkiem obojętna na otaczające nas piękno opadła na krzesło, gniotąc sukienkę. - A teraz będzie ich tylko więcej. - Wyglądała jak przywiedły, zwisający z okna kwiat. Nie rozumiałam jej zniechęcenia. Byłam pewna, że większość bogatych dziewczyn nie posiadałaby się z radości na myśl o szansie brylowania wśród śmietanki towarzyskiej Paryża. Zaczęłam się przechadzać między grządkami.

- Jak one się nazywają? - Pochyliłam się nad łacińską nazwą wyrytą na tabliczce. - *Paphio*... coś tam.

Isabelle podniosła się i podeszła do mnie. Zerknęła na opis gatunku.

- Storczyk. *Paphiopedilum*⁸ - rzuciła ze znawstwem. Musnęłam palcami delikatne płatki w kolorze kości słoniowej.

- Brzmi jak nazwa jakiejś choroby - skomentowałam.

- Ojciec ma obsesję na punkcie rzadkich gatunków. - Zaśmiała się, by po chwili niespodziewanie przybrać poważny wyraz twarzy. - Rodzice traktują mnie jak jedną z tych roślin trzymanyh pod kloszem. Hodują mnie dla piękna; wychowują, bym służyła jako ozdoba w domu bogatego mężczyzny.

Zaskoczyły mnie jej zwierzenia.

- Czyż nie po to te wszystkie przyjęcia? Żeby znaleźć odpowiedniego męża?

Popatrzyła na mnie z powagą, zaciskając zęby. Dobrze już znałam to zawzięte spojrzenie.

- Męża, którego wybierze mi matka? Nie, dziękuję.

Tym razem jednak nie wzięłam tego do siebie. Gniew Isabelle wycelowany był w rodziców. Porzuciłam storczyki i ruszyłam w głąb oranżerii. Skręciłam w grządkę obsianą różami i przystanęłam, pełna podziwu dla piękna ich pąków. Isabelle została na swoim miejscu; oddzielał nas parawan z kwiatów.

- Tak naprawdę nie jesteś daleką krewną męża *madame* Vary, mam rację? - spytała znienacka. Zamarłam z przerażenia.

- O czym ty mówisz? - W panice odpowiedziałam pytaniem na pytanie. W jaki sposób zdołała przejrzeć mnie tak szybko?

- Jesteś z jej strony rodziny, prawda? Tej biedniejszej...

W tym momencie poczułam wielką ulgę, a moje napięte mięśnie się rozluźniły. Jak to dobrze, że miała na myśli co innego!

- A czy to ma jakieś znaczenie? - podjęłam temat, nie przestając krążyć po oranżerii.

Sabotek, rodzaj roślin z rodziny storczykowatych (Iac).

- Dla twojej ciotki tak. - Przyłączyła się do mnie. Nasze buty stukały o kamienną posadzkę w równym tempie.

- Mama mówi, że *madame* Vary wydała się za mąż za człowieka z wyższej klasy społecznej, ale pewnie o tym wiedziałaś.

Jej wiara w moje niskie pochodzenie działała tylko na moją korzyść. W końcu miałam grać ubogą krewną. Ona drążyła jednak dalej:

- Może z pomocą ciotki znajdziesz dla siebie jakąś odpowiednią partię?

Zatrzymałam się.

- Nie po to przyjechałam do Paryża. - Słowa wyleciały z moich ust szybciej, niż zdążyłam pomyśleć.

- W takim razie po co?

- Zobaczyć kawałek świata. - Odwróciłam się do niej. W końcu zaczęłam mówić własnym głosem. Po raz pierwszy tego wieczoru zapomniałam o obowiązujących mnie regułach, co było wyzwalające. - Zawsze marzyłam o czymś więcej niż życie na wsi.

- Co takiego chciałabyś tu przeżyć? - dopytywała, a jej ciemne oczy błyszczały w świetle księżyca.

Cofnęłam się myślami do wiejskiego sklepiku i plotkujących o mnie kobiet.

- Chciałabym osiągnąć coś więcej, niż ludzie się po mnie spodziewają.

- *Mademoiselle* Isabelle. - Zwróciłyśmy głowy ku służącemu stojącemu w progu. - Hrabina prosi, by panienki raczyły w końcu wrócić do salonu.

Isabelle westchnęła i chwyciła rękawiczki pozostawione na stoliku.

- Dzisiaj mam zostać przedstawiona potencjalnym teściom, zanim rodzice pokażą mnie ich synom.

Nim wyszliśmy z oranżerii, podbiegła szybko do grządki ze storczykami, zerwała dwa kwiaty i wpięła nam we włosy.

- Ojciec dostanie ataku, jak to zobaczy!

Poszliśmy za służącym na główne schody i wróciliśmy do sali balowej. Trudno mi było zrozumieć Isabelle. Zastanawiałam się, czy podarowanie mi kwiatka z hodowli jej ojca było wyrazem sympatii czy też czystą złościwością.

Spojrzałam na wskazówki zegara stojącego na kominku. Było po północy, goście już się rozeszli. Isabelle w jadalni pomagała *madame Vary* w poszukiwaniach kolczyka, który ta zgubiła gdzieś między deserem a *digestif*. Zostałam sama z hrabiną. Siedziałyśmy naprzeciwko kominka i wpatrywałyśmy się w dogasający z wolna ogień. Słaby blask z czerwonych węgielków i jednej palącej się lampy oświetlał jej mocno zarysowane kości policzkowe i wysokie czoło.

Zmęczenie ukoło moje nerwy. W ciepłej ciszy salonu rozmyślałam o swoich stosunkach z Isabelle. Może nie powinnam była mówić o sobie aż tak szczerze? Być może wyjawiałam zbyt dużo?

- Bardzo dobrze sobie dzisiaj poradziłaś - odezwała się hrabina. - Zdaje się, że moja córka cię polubiła. Widzę to.

Teraz, kiedy wszyscy już poszli, cisza, w jakiej pograżył się pałac, stała się niemal namacalna.

- Dziękuję.

Uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę do kwiatka, który wciąż tkwił w moich włosach.

- Cóż za szczęście, że hrabia był dzisiaj zajęty wyłącznie zabawianiem *madame Vary*.

Mocny napój alkoholowy na poprawienie trawienia, najczęściej wódka, likier ziołowy lub nalewka (franc).

Spuściłam wzrok. Nie chciałam, aby nasze spojrzenia się spotkały. Zdumiewało mnie tylko, że wcale nie przejmowała się mężem flirtującym z jej przyjaciółką.

- O czym rozmawiałyście w oranżerii? - zapytała.

Jej pytanie było boleśnie proste, co sugerowałoby, że moja odpowiedź powinna być równie swobodna. Najgorsze, że nie wiedziałam, czego ode mnie oczekuje.

- Rozmawialiśmy o nowym sezonie towarzyskim w Paryżu - odrzekłam cicho. Moja odpowiedź nie była dość jednoznaczna. Zerknęłam ukradkiem na hrabinę.

Odpięła bransoletkę z przegubu i odłożyła ją na stolik.

- I co ci powiedziała? - Pociągnęła za palce rękawiczki i ściągnęła ją z dłoni. To samo zrobiła z drugą.

Dlaczego wzbraniałam się przed ujawnieniem tego, co usłyszałam od Isabelle? Hrabina była moją pracodawczynią. Powinnam była mówić jej prawdę.

- Isabelle nie chce wyjść za mężczyznę, którego państwo dla niej wybrali - wyrzuciłam z siebie.

- Coś jeszcze? - Jej głos był spokojny.

- Powiedziała, że jest traktowana jak jeden z kwiatów szklarniowych pana hrabiego.

Na te słowa dama uśmiechnęła się nieznacznie. Jej reakcja sprawiła mi niemałą ulgę, byłam bowiem przekonana, że wybuchnie gniewem. Wyciągnęła rękę i chwyciła moją dłoń.

- Masz szczupłe nadgarstki. To tak jak ja - powiedziała. Jej niespodziewana poufałość mnie onieśmieliła. - Przymierz moją bransoletkę. - Wzięła biżuterię ze stolika.

- Jesteś, pani, pewna? - spytałam, obserwując, jak zapina ją wokół przegubu mojej dłoni. Jej gest wydał mi się zbyt wspaniałomyślny. Zaśmiała się.

- To tylko na chwilę. Nosiłaś kiedyś prawdziwą biżuterię? Potrząsnęłam przecząco głową. Bransoletka była cięższa, niż sądziłam. Szmaragdowe kamienie przywodziły na myśl morską toń, a drobne diamenty na brzegach lśniły jak gwiazdy. Nigdy wcześniej nie miałam na sobie czegoś tak wyjątkowego.

- Jest przepiękna - wydusiłam z siebie w końcu. Chciałam, żeby należała do mnie.

Hrabina oparła się o krzesło i wystawiła nogę w kierunku dogasającego ognia. Wyglądała teraz na dużo bardziej odprężoną w mojej obecności niż kiedykolwiek przedtem. Czyżby zaczynała mnie lubić?

- Pierwszy bal to dla Isabelle decydujący moment w życiu - powiedziała. - To czas podejmowania ważnych wyborów, które zaważą na całej naszej rodzinie. - Jej głos był miękki, a ostatnie słowo wypowiedziała z nieukrywanym szacunkiem. - Mogę na ciebie liczyć, prawda?

- Oczywiście - szepnęłam i spojrzałam na bransoletkę. Odpięłam zatrzask i oddałam jej ozdobę. Szlachetne kamienie błysnęły w skąnym świetle kominka.

Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek będę mogła sobie pozwolić na takie kosztowności.

Rozdział dziesiąty

Następnego dnia rano obudziłam się w swoim wąskim łóżku z poczuciem błogiego zadowolenia. Jednakże już po chwili, otulona miękkimi kocami, ponownie osunęłam się w objęcia snu. Z drzemki wyrwały mnie dopiero kościelne dzwony, stukot końskich kopyt na bruku, dzwonięcie ozd oraz krzyki sprzedawców. Paryż budził się do życia. Było tego dnia coś, z czego powinnam się cieszyć, lecz przez poranny zamęt w głowie nie mogłam sobie przypomnieć niczego konkretnego. Otworzyłam oczy i spojrzałam przez okno. Między rozsuniętymi zasłonami ujrzałam słońce wychodzące zza chmur. Po chwili jego blask padł na drewnianą podłogę w pokoju. Ukojenie - to właśnie czułam. Kolacja u hrabiostwa Dubern minęła, zaczynał się mój wolny dzień.

Wygrzebałam się spod kilku warstw koców i rozpałam w piecyku. Poranek był chłodny, więc w oczekiwaniu na to, aż pokój się ogrzeje, na powrót wskoczyłam do łóżka. Rozejrzałam się po skromnej, zniszczonej mansardzie. Jakież kontrast z wczorajszym bankietem w rezydencji! Kiedy temperatura stała się całkiem znośna, wyszłam z łóżka, nalałam do miski wody z dzbanka i szcękając zębami, przystąpiłam do porannej toalety. Następnie się ubrałam.

Nawet nie zerknęłam w lustro. Po tym, jak zostałam antydumą, okleiłam je wielkimi pocztówkami i obrazkami, które przywiozłam ze sobą z domu. Moja posada w agencji tylko potwierdzała to, czego od zawsze się obawiałam. Najpierw ojciec, później Durandeu na każdym kroku wpajali mi, że jestem brzydka, nie dość dobra, nieatrakcyjna, odpychająca... Wraz z innymi przykrymi przeżyciami, takimi jak śmierć matki, schowałam wszystko głęboko w zakamarkach swojego serca. I zamknęłam je na cztery spusty.

Usiadłam, by utrefić włosy. Od czasu do czasu rzucałam okiem na swoje odbicie ukryte między ilustracjami Paryża, które zostały mi po mamie. Kiedy po jej śmierci ojciec pozbywał się należących do niej drobiazgów, udało mi się ocalić litografie przedstawiające katedrę Notre Dame, nieistniejący już pałac Tuileries z Luvrem w tle i widok na miasto z Łuku Triumfalnego. Te obrazy karmiły moją wyobraźnię na długo, zanim tu przyjechałam. Mama zawsze powtarzała, że kiedyś wybierze się do Paryża i na własne oczy zobaczy te wszystkie miejsca. Nie zdążyła.

Skończyłam układać włosy i spojrzałam na jedyne zdjęcie matki, jakie miałam. Była na nim zwrócona profilem. Piękna kobieta o mocno zarysowanych kościach policzkowych i inteligentnych oczach. Jakżebym chciała, żeby odwróciła głowę i spojrzała na mnie swoim matczynym wzrokiem. Umarła na zapalenie płuc, kiedy miałam dziesięć lat. Lekarz musiał jechać z sąsiedniej wioski. Gdy przekraczał próg naszego skromnego domostwa, niewiele już można było zrobić. Wyciągnęłam rękę i dotknęłam fotografii. Odcienie sepii jaśniały w stronę krawędzi, jakby uwieczniona na niej postać promieniała jakimś magicznym światłem, wydobywającym się z głębi duszy. Po raz kolejny ostry sztylet żalu przekłuł mi serce. Z całych sił powstrzymałam napływający smutek. Nie chciałam dźwigać jego ciężaru. Nie tego dnia.

Chwyciłam wiszący na haku płaszcz, na głowę wcisnęłam wyjściowy czepek. „W końcu zobaczysz Paryż - powtarzał mój wewnętrzny głos. - Nareszcie odwiedzisz wszystkie miejsca, które ona chciała poznać”. Zabrzmiało to niemal jak wyzwanie. Dotychczas na prawy brzeg przemieszczałam się tylko do pracy.

Wyszłam z pokoju, zatrzasnęłam za sobą drzwi i wbiegłam na kamienne schody. Pędziłam, pokonując po dwa stopnie naraz, a potem skacząc z kilku na półpiętro. Przyjechałam do Paryża całkiem sama, dlaczego nie mogłabym go zwiedzić? W końcu miałam dzień wolny. Żadnych obowiązków, tylko przyjemności.

Wysiadłam z omnibusu przy Sekwanie, na prawym brzegu miasta. Na mapie rzeka wyglądała jak niebieska wstążeczka rzucona niedbale przez jakiegoś lekkoducha. W rzeczywistości jej mętna woda była koloru brązowego. Pływały po niej liczne łodzie, w górze ciągnęły się mosty.

Porwana przez tabun niedzielnych spacerowiczów, podążyłam wzdłuż nabrzeża, następnie przecięłam ulicę, przemaszerowałam pod rzędem kamiennych łuków, aż w końcu znalazłam się na rozległym placu przed Luvrem. Kiedy podniosłam wzrok, uświadomiłam sobie, że ilustracja stojąca na mojej komodzie nawet po części nie oddaje wielkości tego niegdysiejszego pałacu.

Wnętrze porażało bogactwem, korytarzami przetaczały się tłumy zwiedzających, chcących na własne oczy zobaczyć najprzedniejsze kolekcje sztuki w całej Europie. Mdławy katedralny zapach unoszący się w powietrzu i wiekowe sklepienia wsparte na złotych kolumnach przeniosły mnie do czasów, kiedy Francja była monarchią. Wyobraziłam sobie, że jestem księżniczką na królewskim dworze. Jakże inną od tej dziewczyny, którą byłam naprawdę.

Za kilka centymów¹⁰ kupiłam plan muzeum. Budynek przytłaczał mnie swoją wspaniałością. Ogromne klatki schodowe, przestronne hole z malowanymi sufitami i niekończący się labirynt sal podzielonych na poszczególne epoki i style w sztuce. Odkryłam, że poza malarstwem są tam także inne dzieła: rzeźby, przedmioty pochodzące ze starożytnego Egiptu i Rzymu, tkaniny dekoracyjne, a nawet biżuteria i ceramika. Snułam się przez kolejne sale w otoczeniu innych zwiedzających - mieszczańskich rodzin, eleganckich par i wykwintnie odzianych turystów z Europy. Obserwowałam zorganizowane grupy, które niczym ławice ryb przemieszczały się z prawa do lewa i z otwartymi ustami słuchały opowieści przewodnika.

W końcu znalazłam się w niewielkiej galerii z pejzażami morskimi. Malownicze fale wzburzonego oceanu przeniosły mnie z powrotem do rodzinnej Bretanii. Nagle z zamyślenia wyrwał mnie jakiś dziwny dźwięk. Ktoś chrapał. Oderwałam wzrok od obrazów i się rozejrzałam. Dopiero wtedy na jednej z drewnianych ławek dostrzegłam pochylonego mężczyznę. Włóczęga? Bezdomny? Zastanawiałam się, czy powinnam do niego podejść, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, że jego twarz wygląda znajomo. Po chwili poznałam źle dobrany garnitur i bujną, zmierzwioną czuprynę. Serce zabiło mi mocniej. Nieprawdopodobne, ale to był on! Mój artysta z rozwichrzonymi włosami, Paul Yillette.

Setna część franka, jednostki monetarnej obowiązującej w ówczesnej Francji.

Rozdział jedenasty

- *Monsieur* Villette - powiedziałam na tyle głośno, na ile starczyło mi odwagi. Podeszłam do niego. Stukot moich kroków na twardej posadzce odbijał się echem w przestrzennej sali. Paul siedział z otwartymi ustami, oparta na ramieniu głowa unosiła się i opadała lekko w rytmie miarowych oddechów.

- Paul? - odezwałam się. Nie otworzył oczu. Łagodne rysy twarzy świadczyły o spokojnym śnie. Przyjrzałam mu się uważnie. W przytłumionym świetle jego zmierzwiłe włosy wydawały się ciemniejsze, miał podkrążone oczy. Pochyliłam się i dotknęłam jego ramienia. Żadnej reakcji. Zastanawiałam się, co robić. Pochyliłam się ponownie i tym razem szturchnęłam go nieco mocniej. Oszołomiony otworzył oczy. Powstrzymałam się od uśmiechu. Wydawał się całkiem nieobecny; jakby wyrwany brutalnie z kojącego snu próbował się teraz odnaleźć w twardej rzeczywistości. Kilkukrotnie zamrugał oczami i ponownie zamknął powieki.

- Moja głowa - jęknął, pocierając skronie. Po chwili spojrzał na mnie wyraźnie zmieszany. Ponad wszelką wątpliwość było jasne, że mnie nie poznaje. Poczułam się, jakbym dostała obuchem w głowę. Z drugiej strony - czy powinno mnie to dziwić? Rozmawialiśmy

tylko raz w życiu, byłam dla niego jedynie zwykłą praczką, a nie intrygującą artystką pokroju tamtej kobiety z kawiarni, Suzanne. Ziewnął przeciągle.

- Przyszedłem odnaleźć ją w świątyni sztuki, ona zaś upoiła mnie i uciekła, kpiąc ze mnie okrutnie - rzekł.

- Odnaleźć kogo? - spytałam. Czyżby mówił o Suzanne? - Zasnął pan - stwierdziłam to, co było oczywiste.

- Muzę - powiedział rzeczowo, jak gdybym doskonale wiedziała, co ma na myśli. - Szukałem inspiracji.

- Och... - Poczułam się taka nieokrzesana. Paul westchnął ciężko. Pachniał dobrze mi znaną kawiarnią Café Chez Emile, którą co rano mijałam w drodze do pracy.

- Odwiedziłem każdą współczesną wystawę od Montmar-tre'u po Montparnasse - zwierzył się. - Dzisiaj chciałem otoczyć się dziełami starych mistrzów.

Mówił tak, jakby kontynuował przerwana przed chwilą rozmowę, ja tymczasem zupełnie nie nadążałam za jego słowami. Może wziął mnie za kogoś innego?

- Nie wiem, czy mnie pan pamięta. Restauracja L'Académie kilka tygodni temu. - Staralam się zabrzmieć bardziej oficjalnie. Podniósł się powoli, jedną ręką wspierając się na ławce.

- Absynt to piekło - powiedział i nareszcie jego wzrok padł na mnie. Miał łagodne, ciepłe spojrzenie.

- Chciałabym zwrócić dług. - Wyciągnęłam portmonetkę i wyjęłam z niej kilka monet.

- Ach, ciężko pracująca praczka. Teraz sobie przypominam. - Popatrzył na mnie intensywnie, jak gdyby miał problemy z koncentracją. - Napiwków się nie oddaje.

- A jednak bardzo bym chciała. - Wyciągnęłam do niego dłoń z monetami.

- Wykluczone. - Pokręcił głową i odsunął moją rękę.
- Dziękuję zatem. - Schowałam pieniądze z powrotem. Paul lekko ślaniał się na nogach. - Nie wygląda pan zbyt dobrze -zauważyłam, powstrzymując się przed podaniem mu ręki.
- Nie jestem prawdziwym artystą. - Zaśmiał się. - Ich styl życia za bardzo daje mi w kość.
- Ma pan na myśli przepicie? - Zabrzmiałam jak nauczycielka ze szkółki niedzielnej. Swobodne zachowanie Paula sprawiało, że z jakiegoś powodu przybierałam zbyt formalny ton.
- Niedługo poczuję się lepiej, muszę się tylko trochę przejść -powiedział i zamasztył gestem wskazując otaczające nas obrazy. - Może pooglądamy razem malarstwo?
- Dobrze - zgodziłam się natychmiast, szarpiąc za kokardy przy czepku. Kiedy rano się ubierałam, nie miałam w planach żadnych spotkań. Dysponowałam tylko jedną wyjściową sukienką i jednym bardziej eleganckim kapelusikiem. Żałowałam, że nie mam ich w tej chwili na sobie. Zresztą czym ja się przejmowałam? On wyglądał bardziej niechlujnie.
- Zaczęliśmy się przechadzać wzdłuż wiszących obrazów.
- Proszę mi powiedzieć, *mademoiselle*...
- Maude - przerwałam mu.
- Pamiętam to imię. - Uśmiechnął się. - Powiedz mi, Maude, wciąż strofujesz niewinnych klientów w restauracjach?
- Już tam nie bywam. Nie pracuję już w pralni - powiedziałam, zdejmując czepkę. Sekundę później zorientowałam się, że prawdziwa dama tak się nie zachowuje.
- Wyrzucili cię za kilka brudnych obrusów? Gdzie się podział twój waleczny bretoński duch?
- Właściwie to sama odeszłam. - Mój głos zabrzmiał bardziej wyzywająco, niż się spodziewałam. Paul spojrział na mnie zasko-

czony. - Znalazłam lepszą posadę - wytłumaczyłam. Tylko jak miałam mu opisać, gdzie pracuję? Szukałam najlepszego wyjścia z sytuacji. Nie mogłam przecież powiedzieć, czym naprawdę się trudnię. Wstydziłam się przyznać do tego nawet sama przed sobą. - Dotrzymuję towarzystwa pewnej młodej damie - wyrzuciłam z siebie, zagryzłam wargi i zerknęłam na niego w oczekiwaniu na reakcję. Widać było, że coś ukrywam?

- Ach, guwernantka!

- Właśnie - przytaknęłam z ulgą, nie wyprowadzając go z błędu.

- A ta młoda dama bardzo jest rozpieszczona?

- O tak - odparłam szczerze. - Ale daję sobie z nią radę. - Nie przywykłam do brnięcia w kłamstwa, postanowiłam więc skierować rozmowę na inny tor: - Był pan wcześniej w Luwrze?

- Kiedyś bywałem regularnie, dopóki nie odkryłem galerii sztuki współczesnej. Miło jest odwiedzać takie miejsca, nieprawdaż?

Udzielił mi się jego luźny sposób bycia. Zapragnęłam poznać go bliżej.

- Co miał pan na myśli, mówiąc o muzie? - zapytałam, zdobywając się na odwagę.

- Jestem muzykiem. Kiedy dopada mnie kryzys twórczy, lubię zanurzyć się w inne dziedziny sztuki.

Ten człowiek coraz bardziej mnie intrygował, ale jego odpowiedzi pozostawiały wiele niedomówień.

- Chciałem popatrzeć na impresjonistów - kontynuował. - Zastanowić się, przeciwko czemu występowali. Poza tym mają tu wygodne ławki i jest bardziej wytwornie niż w LAcademie. - Zaśmiał się. - Nikt przed południem nie chodzi pijany.

Kiedy przeszliśmy już prawie całą salę, zatrzymałam się przed jednym z obrazów. Nie dlatego, że szczególnie przyciągnął moją uwagę, chciałam jedynie przedłużyć nasze spotkanie. Staliśmy

ramię w ramię przed rozmytym, sztormowym pejzażem morskim. Czuję, jak rękaw płaszcza Paula muska moją dłoń.

- Dlaczego malarstwo pana inspiruje? - spytałam, ledwo chwytając oddech. - Nie lepiej posłuchać muzyki?

Zastanawiał się przez chwilę.

- Lubię patrzeć na obrazy. To przypomina mi, że malarze także tworzą w bólach.

Nie przywykłam do tak bliskiego obcowania z mężczyzną, mimo to starałam się zachować spokój i okiełznać zżerające mnie od środka nerwy.

- W pewnym sensie wolę malarstwo niż symfonię. - Wzruszył ramionami. - Nie muszę porównywać swojego talentu z innymi. Albo też jego braku. - Zaśmiało się.

Paul był inny niż pozostałe osoby, które dotychczas poznałam w Paryżu. Nie wykazywał się ani ogładą charakterystyczną dla bogaczy, ani podejrzliwością klasy robotniczej. Cechowała go pewna otwartość, rodzaj spontaniczności, która mnie pociągała.

- A więc przeszkodziłam panu w poszukiwaniu inspiracji... - Chyba zaczęłam się z nim droczyć, co samą mnie zaskoczyło.

- Chodźmy. - Chwytał mnie za rękę. - Może znajdziemy gdzieś tę zaginioną muzę.

Wyszliśmy z galerii. Ciepło naszych splecionych dłoni powodowało, że serce waliło mi jak młotem. Byłam oczarowana jego towarzystwem.

- Większość portretów to ułuda. Tędy. - Przebiliśmy się przez zwartą grupę zwiedzających, wspięliśmy po marmurowych schodach i weszliśmy do długiej galerii oświetlonej promieniami słońca wpadającymi przez niewielkie okna na suficie.

W pomieszczeniu zgromadziło się kilka osób, a w jednym rogu jakaś kobieta, z pewnością artystka, rozstawiła sztalugę z płótnem. Na podłodze rozłożyła parę szmat, żeby nie zachlapać posadzki.

- W niektórych obrazach słyszę dźwięki. - Paul odwrócił się do mnie.
- Kobiety również wyzwalają we mnie muzykę. Pejzaże morskie i rzeki to sekcja smyczkowa, a sceny batalistyczne to talerze.

Po tych słowach uśmiechnął się nieznacznie, jakby poczuł się skrępowany swoją teorią.

- To wszystko ma sens - przytaknęłam w zamyśleniu, choć moja uwaga skupiała się głównie na nim. Kiedy się uśmiechał, dreszcz przeszywał moje ciało. Na kości policzkowej miał niewielką bliznę. Gestykulował zawzięcie; jego dłonie przypominały mi dzieło rzeźbiarza, masywne i silne, lecz ze smukłymi palcami. Pod gładką skórą odznaczały się żyły.

- To jest *Kąpiąca się Ingres*¹¹ - powiedział, wskazując zamasyżście na portret nagiej kobiety siedzącej plecami do obserwatora, z tylko częściowo widoczną twarzą. - Na początku nie zwrócił niczyjej uwagi, ale gusta się zmieniają. Teraz wisi w Luwrze.

Przez chwilę nie byłam pewna, czy powinnam poczuć się niezręcznie. Czy było coś niestosownego w tym, że w towarzystwie obcego mężczyzny przyglądałam się nagiej kobiecie? Rumieniec wystąpił mi na twarz. „Przecież to dzieło sztuki” - pomyślałam szybko i się uspokoiłam.

- Co o tym sądzisz? - spytał Paul i popatrzył na mnie wyczekująco, jakbym miała powiedzieć coś niezwykle oryginalnego, błyskotliwego. Czyżby nie wiedział, że jestem zwykłą dziewczyną z prowincji, niemającą pojęcia o sztuce? Przyglądałam się obrazowi.

- To interesujące, że artysta z tak prostej czynności jak kąpiel uczynił coś niezwykłego.

- Mów dalej - zachęcał.

Jean Auguste Dominique Ingres (1780-1867) - francuski malarz historyczny i portrecista.

- Kobieta jest obnażona, a jednocześnie zakryta. - Zrobiłam krok do przodu. - A kolory, gdy przyjrzeć im się bliżej, były nakładane niedbale, trochę przypadkowo. - Cofnęłam się, jakbym chciała spojrzeć na dzieło z oddali, w rzeczywistości jednak pragnęłam ponownie znaleźć się bliżej Paula. - A teraz znowu, kiedy patrzy się na całość, wszystko do siebie pasuje.

Odwróciłam się do niego zaskoczona własną pewnością siebie, jednocześnie próbując ostudzić płonące we mnie emocje.

- Masz to - oznajmił. ,

- Mam co? - zapytałam, licząc na jakiś komplement.

- Masz zdolność przeżywania sztuki, poddawania się jej pięknu. Piękno. To słowo zabręczało niczym przykrywka spadająca z garnka, która z hukiem uderza o podłogę. Przesunęłam się do następnego portretu. Kolejna zachwycająca urodą kobieta. Jej pomalowane oczy wpatrywały się we mnie beznamietnie, a spomiędzy uróżowanych warg skapywały słowa: „Szpetoto, brzydoto, odpychasz wszystkie spojrzenia”. Nie! Nie mogłam pozwolić, żeby niezdrowe lęki zrujnowały mi popołudnie.

Strząsnęłam z siebie negatywne myśli i odwróciłam się do Paula.

- Proszę opowiedzieć o swojej muzyce - odezwałam się radośnie, nie chcąc dać poznać po sobie urażonej dumy.

Rozmawialiśmy o jego karierze. O szemranych knajpach, w których obecnie grywał, a także o wymarzonej akademii, do której miał nadzieję się kiedyś dostać. Czas pędził nieubłaganie. Zwiedzający wchodzili i wychodzili, artystka złożyła sztalugę i zapakowała farby do skrzynki. Wreszcie i my opuściliśmy galerię. Zeszliśmy po marmurowych schodach, które prowadziły na parter, następnie minęliśmy rozległą salę i znaleźliśmy się na zewnątrz. Słońce rzucało na dziedziniec długie cienie, a październikowy chłód orzeźwiało przyjemnie po wyjściu z dusznych pomieszczeń muzealnych.

Usiedliśmy na jednej z ławek w cieniu potężnego gmachu. Było późne popołudnie i na dziedzińcu błąkało się zdecydowanie mniej osób. W oddali rozległ się dźwięk zegara na wieży kościelnej.

- Dzisiaj wieczorem mam przesłuchanie - rzekł Paul z westchnieniem.
- Powiniennem już iść.

- Rozumiem, ja także muszę wracać do domu - powiedziałam z nutą rozczarowania w głosie. W jego oczach odbijało się przygasające światło kończącego się dnia.

- W sobotę gramy koncert w Le Chat Noir. Wstąp koniecznie. Uśmiechnęłam się na jego propozycję.

- Bardzo chętnie - odparłam, by po chwili zdać sobie sprawę, że nie mogę. W sobotę jest bal Isabelle Dubern. W jednej chwili uśmiech zniknął z mojej twarzy. - Niestety, nie będę mogła... Zapomniałam, że mam zobowiązania. - Jak wielką torturą stało się dla mnie wypowiedzenie tych kilku słów!

- Szkoda, ale pewnie będą kolejne. - Uśmiechnął się i wstał. Uścisnęliśmy sobie dłonie. - Przyjemnego tygodnia - powiedział. - I nie pozwól podopiecznej wejść sobie na głowę.

Podopieczna. Niemal zapomniałam o swoim oszustwie.

- Powodzenia na koncercie, Paul. - Wypowiedzenie na głos jego imienia sprawiło mi ogromną przyjemność.

- Do zobaczenia - rzucił przez ramię. Widziałam, jak kroczy przez dziedziniec pośród garstki osób opuszczających muzeum.

Czar prysł, ale magia naszego spotkania nadal otaczała mnie niczym delikatna mgiełka. Również opuściłam dziedziniec i podążyłam w stronę rzeki. Oparłam się o kamienny murek, mimo wieczornego chłodu wciąż rozgrzany od słońca. Rudawe liście szeleściły pod moimi stopami. Jesień obejmowała miasto we władanie, zmieniając barwy topoli i kasztanowców.

Statki wycieczkowe kursowały po rzece tam i z powrotem. Właściciele barek wyładowywali towar na nabrzeżach. Łodzie wykrztuszały z siebie kłęby dymu, które ulatywały w niebo i mieszały się z białymi chmurami. Prawy brzeg, lewy brzeg, bogaci i biedni... A rzeka należała do wszystkich.

Wybrałam most Pont Neuf, może nie najbliższy, ale lubiłam roztaczający się z niego widok na Paryż i jego tętniące życiem ulice. W takich chwilach, które chciałabym zatrzymać na zawsze, miasto dodawało mi skrzydeł, jednak te wkrótce miały zostać podcięte. Moja samotna mansarda szybko przywróciła mnie do rzeczywistości.

Rozdział dwunasty

Czajnik na kuchence zagwizdał przeciągle. Jego piskliwy, przeszywający dźwięk nie potrafił jednak zwrócić uwagi dziewcząt, które - zebrane w garderobie - namiętnie rozprawiły o ostatnich spotkaniach z klientkami.

- On jest kapitanem w Gwardii! Mówię wam, jak nieziemsko prezentuje się w mundurze! - Cécile zebrała wokół siebie tłumek ciekawskich. Tryskała niespotykanym humorem, odkąd ostatnia klientka nieświadomie podsunęła jej nowy obiekt westchnień. Tłusty podbródek drżał jej od emocji, a kartoflany nos marszczył się, kiedy opowiadała o kolejnych medalach swojego kapitana. -To niemal pewne, że niebawem zostanie majorem. Według mojej klientki to po prostu nieuniknione.

Marie-Josée pojawiła się później i torując sobie drogę między dziewczętami, rzuciła mi przelotny uśmiech. Następnie zdjęła z siebie płaszcz i ściągnęła kapelusz.

- Widzę, że hrabina nie pożarła cię w całości podczas kolacji. - Gwar ożywionych rozmów nagle ucichł, oczy wszystkich spoczęły na mnie.

- Hrabina Dubern? - spytała Cécile. W jej głosie wyczułam wrogą nutę.

- Wynajęła mnie na bal swojej córki - wyjaśniłam. - W sobotę miałam próbną kolację.

- Ty szczęściaro - wtrąciła się Hortense.

- Dokąd cię zabrała? - dopytywała Cécile.

- Donikąd. Byliśmy u niej w pałacu. - Wzruszyłam ramionami, udając obojętność. Ich natrętna ciekawość wywoływała we mnie zakłopotanie.

Marie-Josée zajęła się czajnikiem i przygotowała nam wszystkim herbatę.

- Coś takiego, spokojna kolacja. Hrabina wie, jak stopniować napięcie

- powiedziała, po czym otworzyła pudełko z magdalenkami i wyłożyła je na talerzyk. - Co podali? Ile było dań?

Przez nią znalazłam się w centrum zainteresowania, czego wyjątkowo nie lubiałam. Natychmiast poczułam się onieśmielona.

- Już nie pamiętam - starałam się ją zbyć.

- Kochana, szczegóły! Prosimy o szczegóły! - dopominała się Marie-Josée, zajmując miejsce i stawiając przed nami tacę z ciasteczkami i herbatą.

- Kto jeszcze był? - naciskała Cécile.

- Jak była ubrana hrabina? - ciągnęła mnie za język Emilie, aż drżał jej długi włos na pieprzyku.

W tym momencie ku mojej wielkiej uldze rozległo się pukanie do drzwi i przesłuchanie zostało przerwane wejściem Laurenta.

- *Bonjour* panienom. - Dziewczęta wbiły spojrzenia w jego przystojną twarz.

- *Bonjour*, Laurencie - odpowiedziały chórem.

Laurent rozejrzał się po garderobie, aż jego wzrok spoczął na mnie.

- Tu jesteś, Maude. Mam dla ciebie wiadomość od pana Durandau. Zamarłam na dźwięk tego nazwiska. Dziewczyny, zadowolone, że to nie o nie chodzi, odwróciły głowy w moją stronę.

- Prosi, żebyś odwiedziła panią Leroux, która chce zrobić parę przymiarek przed bale.

Kamień spadł mi z serca, że chodziło tylko o krawcową, nie o wizytę w apartamencie Durandau. Podniosłam się z miejsca.

- Suknia balowa? Jak cudnie! - zaćwierkała Emilie.

- Tak, zaiste - dodała Cécile z szyderczym uśmiechem. - Jestem pewna, że Leroux wybrała dla ciebie coś naprawdę wyjątkowego.

Podeszłam do drzwi przytrzymywanych przez Laurenta.

- Właściwie to suknię przysłała ci sama hrabina od swojego krawca - oznajmił z uśmiechem, a przez garderobę przebiegł przytłumiony jęk. - Ma bardzo specyficzne instrukcje.

Zerknęłam na koleżanki, niepewna, jak powinnam zareagować. Niektóre szturchały się porozumiewawczo i wymieniały wymowne spojrzenia. Pomyślałam, że musi to być coś dobrego. Spojrzałam na Marie-Josée, która skinęła zachęcająco głową.

- A jak wiadomo - ciągnął Laurent, kładąc mi dłoń na plecach i z wolna wyprowadzając z pokoju - klientka ma zawsze rację. - Zanim drzwi zamknęły się za nami, usłyszałam jeszcze szepty dziewcząt.

Madame Leroux w grobowej ciszy wbijała szpilki w suknię. Kiedy po raz pierwszy ujrzałam ją wiszącą na haku, natychmiast się zorientowałam, że ten satynowy szary strój to dzieło samo w sobie. Zerknęłam na górną część toalety oraz na jej poły, chcąc przyjrzeć się uważnie wyborowi hrabiny.

- Nie ruszaj się, bo wbiję szpilkę w ciebie - zagroziła Leroux. Stałam na taborecie i nie mogłam nawet spojrzeć w lustro.

Krawcowa mi zabroniła. Rozległo się pukanie do drzwi i po chwili w garderobie pojawiła się Marie-Josée.

- Vivienne? - zawołała do krawcowej po imieniu. - Mają dzisiaj specjalne menu w Chartier. Chcesz się przyłączyć?

Marie-Josée potrafiła oczarować wszystkich, nawet tę piekielnicę Leroux.

- Poszłabym, gdybym tylko miała czas. - Uniosła ręce i szerokim gestem wskazała piętrzącą się stertę sukien. Z każdym kolejnym wymachem z jej koka wysuwały się pojedyncze kędziory. - Przez te ciągle przymiarki nie mogę zrobić nic innego.

Nożyczki przywiązane na tasiemce kiwały jej się przy pasie niczym wahadło zegara. Marie-Josée westchnęła na znak zrozumienia dla jej niedoli i skierowała uwagę na mnie.

- No proszę, wystrojona w najprzedniejszą kreację, a wyjść nie ma z kim. - Obróciła mnie, oceniając ubiór. Usilnie walczyłam o zachowanie równowagi na chybotliwym stołku, nie mając pojęcia, skąd to nagłe zamieszanie wokół kogoś takiego jak ja.

Marie-Josée uniosła brwi.

- Vivienne, po raz pierwszy widzę coś podobnego! - wykrzyknęła.

- Jeszcze nigdy, przenigdy się nie zdarzyło, żeby klientka wysyłała do nas suknię - przyznała *madame* Leroux wyraźnie rozeźlona.

- A hrabina Dubern jest wyjątkowo wybredna - dodała Marie-Josée.

- Zażyczyła sobie czegoś klasycznego, ale nie pospolitego - wyjaśniła Leroux. - Co za policzek. Jakbym kiedykolwiek uszyła coś zwyczajnego! Gdzie się podział ten przekłety igielnik? - złorzeczyła, przerzucając skrawki materiałów na stole krawieckim.

- Święta prawda! - Marie-Josée spojrzała na mnie znacząco. - Za kogo ona się ma?

- Zawsze jestem na bieżąco z najnowszymi fasonami. Jak każda ceniąca się krawcowa! - *Madame* Leroux machnęła starczą dłonią w stronę stosu pożółkłych żurnali „Le Petit Echo de la Mode”.

Kiedy tak rozprawiała w najlepsze, skorzystałam z okazji i zeskoczyłam z taboretu, żeby rzucić ukradkowe spojrzenie w lustro.

Góra

sukni była uszyta z bladoszarej satyny, dół natomiast wydymał się jak puszysty obłok obsyty na brzegach tiulową koronką. Był to piękny odcień szarości, rzec by nawet można, że z delikatną domieszką różu. Nic dziwnego zatem, że Leroux omal nie, pękła ze złości. Kreacja hrabiny biła na głowę wszystko, co wyszło spod ręki naszej krawcowej. Co więcej, w nowej sukni czułam się zupełnie inaczej. Zakiełkowało we mnie ziarno nadziei: może hrabina nie postrzega we mnie jedynie antydamy? Może naprawdę pragnie znaleźć przyjaciółkę dla swojej otoczonej czcią córki? W przeciwnym razie po co przysyłałaby suknię balową specjalnie dla mnie? Przecież to niedorzeczne, by stroić kogoś, komu płaci się za bycie brzydkim.

Rozległo się kolejne pukanie do drzwi i zanim Leroux zdążyła otworzyć usta, w progu pojawiły się trzy postacie: najpierw Cécile, a tuż za nią Emilie i Hortense.

- Patrzcie tylko na tę suknię. - Emilie westchnęła. - Czy to jedwab? Cécile podeszła bliżej i taksując mnie wzrokiem, oznajmiła:

- O jedenastej przychodzi klientka, będzie wybierać. Laurent prosi, żebyśmy zebrały się w salonie. Wszystkie.

Hortense wyciągnęła dłoń, by dotknąć materiału. *Madame* Leroux wpadła w złość.

- Co to za zbiegowisko? - zrzędziła.

- Emilie, Hortense, Cécile! Już czas! Na co czekacie? - Z korytarza doszedł głos Laurenta. On sam pojawił się w pracowni chwilę później.

- Co tu się dzieje? Potajemne zgromadzenie pracownic? - zapytał, dostrzegając jeszcze Marie-Josée. - Durandeu dostanie palpacji, jeśli zaczniecie się zreszać.

- Ja tylko próbuję w spokoju skończyć przymiarę - poskarżyła się krawcowa.

- Wszystkie wyjść. Pozwólcie *madame* Leroux pracować - zarządził Laurent.

W proteście dziewczęta wydały z siebie jęk zawodu i ociągając się, gęsiego opuściły pracownię krawiecką.

- Niedługo przyjdę, muszę się tylko przebrać - powiedziałam. Kiedy znalazłam się przed salonem, ubrana w prostą sukienkę

z agencji, zastałam zamknięte drzwi. To oznaczało, że klientka jest już na miejscu. Najciszej jak potrafiłam, nacisnęłam na klamkę. Nie chciałam robić zamieszania swoim późnym przyjściem.

Deski podłogowe skrzypiące pod moimi stopami szybko mnie zdradziły. Durandeu gwałtownie odwrócił głowę.

- Proszę wybaczyć, *madame*, wracam za sekundę - powiedział do klientki, która przechadzała się między dziewczętami, oceniając ich aparycję.

Z twarzą nabrzmiałą jakby od zbyt ciasno zapiętego kołnierzyka ruszył w moją stronę.

- Wynocha! Wyjdź stąd! - syknął przez zęby. Zmieszałam się. Czyż nie powinnam stać teraz w jednym rzędzie z pozostałymi dziewczętami?

Durandeu wybałuszył oczy.

- Nie powinnaś się tu pokazywać!

Cécile, Marie-Josée i Emilie stały nieopodal. Choć wcale nieźle udawały obojętność, dobrze wiedziałam, że wytężają słuch, byle tylko nie stracić niczego z rozgrywającej się obok sceny.

- Wiem, że się spóźniłam, *monsieur*, ale...

- Hrabina zażyczyła sobie, żebyś pracowała wyłącznie dla niej - przerwał mi.

Spojrzałam na niego w osłupieniu. Piers miał wypiętą do przodu, nozdrza unosiły się ze zdenerwowania.

- Przed zakończeniem balu nie możesz pokazywać się innym klientkom. Idź już stąd!

Przytaknęłam niemrawo i zakłopotana ruszyłam z powrotem do drzwi. Na plecach czułam wwiercający się we mnie wzrok koleżanek. Minęłam korytarz i weszłam do garderoby, gdzie usiadłam, wpatrując się w porozrzucane tu i tam przedmioty. W ciągu dnia pracownice nosiły zwykle sukienki robocze. Przebierałyśmy się dopiero przed wieczornym wyjściem, do tego czasu nasze płaszcze, kapelusze i suknie wisały na hakach. Przebiegłam wzrokiem przez rzędy butów, rzucone na stół rękawiczki, stojącą w rogu parasolkę. Wszystkie te rzeczy czekały na powrót swoich właścicielek. Nic nie wskazywało na to, że przedmioty owe stanowią własność kobiet brzydkich. Ot, raczej zwyczajnych, takich jak ja, które po prostu potrzebowały pracy i miały odrobinę szczęścia (lub nieszczęścia), żeby się do niej nadawać.

Wróciłam pamięcią do pierwszego dnia, do chwili przesłuchania. Początkowy wstrząs na widok salonu pełnego szpetnych kobiet w końcu minął. Z czasem udało mi się przebić przez ich zewnętrzną, zniekształconą powłokę i poznać prawdziwe oblicze każdej z nich. Jak w przypadku wszystkich, wygląd brzydkiej kobiety ulegał przemianie, gdy tylko na pierwszy plan wysuwały się poczucie humoru, umiejętność konwersacji, inteligencja i urok osobisty. Wszystko jednak znikało, kiedy rozpoczynał się proces selekcji, a do salonu wkraczała klientka. W jednej chwili roześmiane, sympatyczne dziewczyny przybierały pozę antydamy. Zamieniały się w zimne, bezduszne posągi z oczami pozbawionymi blasku. Skrywały prawdziwe oblicza za nieatrakcyjną maską bez emocji, która podlegała ocenie. Do czasu, aż prześladowczyni opuści agencję.

Nigdy o tym głośno nie rozmawiano, ale ja widziałam wszystko; czułam, jak dokonuje się każda przemiana. W głębi duszy słyszałam podbite buty Durandea stukające miarowo o salonową posadzkę i jego przyprawiający o mdłości głos.

Oplukałam czajniczek do herbaty i sprzątnęłam porcelanową zastawę. Minuty wlokły się jedna za drugą. Dopiero teraz, kiedy zostałam sama, dotarło do mnie, jak bardzo przywiązałam się do tego miejsca. I jak bardzo, pomimo udręki związanej z wykonywaniem tego zawodu, agencja stała się moim drugim domem. W codziennej rutynie potrafiłam odnaleźć ukojenie, a we współpracownikach - bratnie dusze. Teraz jednak zostałam od nich odsunięta, a słowa wypowiedziane przez Durandea powracały natrętnie i odbijały się echem w moich uszach: „Hrabina cię wybrała. Wybrała, wybrała...”.

Rozdział trzynasty

- Panienki, dzisiaj czeka was wyjątkowa lekcja. Lekcja tańca!
-oznajmiła Girard z właściwą sobie egzaltacją.

Zebrałyśmy się w jadalni, gdzie krzesła i stoły zostały wcześniej przesunięte pod ściany. Dobrałyśmy się w pary. Ja, ma się rozumieć, byłam z Marie-Josée, która uwielbiała zajęcia taneczne. Co więcej, mimo swej słusznej postury poruszała się zadziwiająco lekko i płynnie.

- *Mademoiselle* Pichon jako pierwsza z was wszystkich weźmie udział w balu rozpoczynającym nowy sezon towarzyski w Paryżu.
-Girard posłała mi promienny uśmiech. Poczułam się skrępowana, a moją radość z nowej sukni przyćmiła ogromna presja związana z tym wydarzeniem.

Kiedyś w mojej wiosce zorganizowano zabawę w sali parafialnej. Chłodne wnętrze budynku nie było przystosowane do tego typu rozrywek. Mimo to z niecierpliwością wyczekiwałam wielkiego wieczoru, który - w moim przekonaniu - miał szansę choć na parę godzin odmienić spokojne, nudne życie naszego sennego zaścianka. Byłam pewna, że wówczas stanie się coś doniosłego. Salę udekorowano kwiatami, ja zaś wystroiłam się najpiękniej, jak tylko

umiałam. To znaczy przerobiłam swoją starą sukienkę, doszywając do niej kokardy i koronki. Popijałam cydr, kiedy podszedł do mnie chłopak z sąsiedniej wioski i poprosił do tańca. Pomyślałam, że moje proroctwo właśnie się spełnia. Dopiero później przyznał, że się założył, czy uda mu się wyciągnąć na parkiet dziewczynę podpierającą ściany. Moje nadzieje się rozprysły, obietnica magicznego wieczoru zniknęła, a resztę zabawy spędziłam jako widz.

- Panienki, zaczynamy! Proszę do walca! - Głos Girard robił się skrzekliwy, kiedy go podnosiła. Salę wypełniło głośnie szuranie butów o posadzkę.

Odwróciłam się do Marie-Josée, która położyła dłoń na moim ramieniu i ścisnęła mnie w pasie. Roześmiałam się.

- Gotowe i... Ruszamy!

Nie było żadnej muzyki, jedynie rytm wybijany o podłogę laską Girard.

- Raz, dwa, trzy; raz, dwa, trzy - odliczała na bezdechu, punktując stuknięciem każdy krok.

Kiedy znalazłyśmy się w pobliżu Cécile i Hortense, poczułam wbijający się w moje plecy łokieć.

- Uważaj, gdzie leziesz - syknęła Cécile.

Marie-Josée cmoknęła zniecierpliwiona i poprowadziła nas z dala od nich.

- To zwykła zazdrość, moja droga - powiedziała, wirując ze mną po sali. - Dostajesz śliczne dodatki, nie musisz brać udziału w selekcji.

Poczułam się winna. Czy ona nie rozumie, że na mnie nie robi to wrażenia? Nie chciałam być ani lepsza od pozostałych, ani inaczej traktowana. Pomyliłam kroki i nadepnęłam jej na palec.

- Przepraszam - powiedziałam. Zatrzymałyśmy się.

- Zacznijmy jeszcze raz. Głowa do góry, *chérie* - pocieszała mnie. - I patrz na mnie, nie na swoje stopy. - Poczułam się odro-

binę lepiej, kiedy się uśmiechnęła. - Tak to już jest w branży usługowej. Są klientki ważne i ważniejsze. Nasza agencja nie jest tu żadnym wyjątkiem - ciągnęła. - Ty od razu wpadłaś w śmietankę towarzyską. Zaczęłaś wysoko.

- Ale nie chcę skupiać na sobie uwagi innych.

- To tak nie działa. Pomyśl tylko, nie wszystkie dziewczęta będą miały okazję wziąć udział w takim wydarzeniu. Daj im coś z tego, moja droga.

- To znaczy? - spytałam zaskoczona. - Nie mam zamiaru się przechwalać.

- Nie chodzi o przechwalanie się, lecz o podzielenie się wrażeniami. Jeśli tego nie zrobisz, pomyślą, że zadzierasz nosa. Podrzuc im kilka anegdotek z balu i cierpliwie odpowiadaj na pytania.

- Panienki, zmiana tempa - zarządziła Girard, ja jednak byłam zbyt roztargniona. Nie potrafiłam złapać rytmu. Marie-Josée niestrudzenie prowadziła nas mimo moich potknięć.

- One chcą szczegółów. Imion gości, opisu podawanych dań, opowieści o sukniach i biżuterii - tłumaczyła, wykonując obrót. Jej twarz poczerwieniała z wysiłku.

- Emilie, ramiona wyżej! Plecy proste! - strofowała Girard.

- Na przykład taka Emilie. Ona ogląda wyłącznie wnętrza kawiarni lub spaceruje po parku, w dodatku zawsze z klientkami o niższym statusie. Nie miała dziewczyna tyle szczęścia co ty.

- Ale to nie jest żadne szczęście - upierałam się. - Taki bal wyższych sfer to czyste przekleństwo. Dużo bardziej wolałabym przechadzki po parku i przesiadywanie w rogu kawiarni z dala od wścibskich spojrzeń.

- Na to już za późno. Hrabina dokonała wyboru. Czy tego chcesz czy nie, idziesz na bal, Kopciuszk.

- Ale ja właśnie nie jestem żadnym Kopciuszkiem. Mam uchodzić za brzydką siostrę przyrodnią. Wszystkie jesteśmy pasierbicami pana Durandea.

Girard głośno stuknęła laską o podłogę, by zwrócić naszą uwagę.
- Dostyc tych pogaduszek! Skupcie się na krokach, szczególnie *mademoiselle* Pichon, która za kilka dni weźmie udział w wielkim balu. Chcesz się tam ośmieszyć?

Wróciłyśmy do tańca pod czujnym okiem *madame* Girard i przy bezlitosnych dźwiękach laski uderzającej o posadzkę.

Rozdział czternasty

Lokaj wprowadził mnie na schody rezydencji hrabiostwa Dubern. Zanim Leroux wypchnęła mnie za drzwi pracowni, miałam zaledwie trzy sekundy, by rzucić okiem na swoje odbicie w lustrze. Kiedy opuszczałam progi agencji, Marie-Josée była akurat na spotkaniu z klientką, nie mogłam więc pokazać jej efektów mojej przemiany, w tym elegancko utrefionych włosów. Leroux zaś nie kwapiła się, aby obdarzyć mnie choćby drobnym komplementem; z ciasno zaciśniętymi ustami pomogła mi włożyć suknię. Brzmi to pewnie niedorzecznie, ale kiedy ujrzałam się w lustrze, prawie poczułam się ładna.

Szkoda, że mama nie mogła mnie zobaczyć.

Spojrzenia krewnych z rodziny Dubern ciągnęły się za mną, kiedy kroczyłam schodami pokrytymi dywanem. Przypatrywali mi się bacznie z chłodnym wyrazem twarzy. Surowi mężczyźni i wyniosłe kobiety. Moja suknia nie zwiodła ich czujności. Przechodząc, wyobrażałam sobie, że postacie z portretów wiszących na ścianach zerkają na siebie pytająco: „Dlaczego nasza najcudowniejsza na świecie prapraprawnuczka miałaby się zaprzyjaźnić z tak nieokrzesanym dziewczęciem?”

Lokaj poprowadził mnie przez kolejną kondygnację schodów. Umierałam z ciekawości, która wersja Isabelle powita mnie tym razem. Diaboliczna kocica strosząca grzbiet w sklepie z kapeluszami, nadąsana panienska ignorująca moją obecność w sali balowej czy też efemeryczna powiernica z oranżerii, która - niczym jeden z tamtejszych kwiatów - swe zaciśnięte w ciągu dnia płatki otwiera jedynie przy blasku księżyca.

Jej podniesiony głos rozpoznałam już na korytarzu. W pierwszej chwili miałam ochotę odwrócić się i uciec.

- Nie włożę tego. Już raz ci powiedziałam. To nie nadaje się do noszenia!

Szybko uzyskałam odpowiedź na nurtujące mnie pytanie. Lokaj wskazał mi otwarte drzwi prowadzące do pokoju.

- Nie mogę oddychać. - Isabelle położyła dłonie na klatce piersiowej, podczas gdy służąca zmagająca się z haczykami przy jej sukni. Młoda panna Dubern tupnęła nogą na znak protestu i odtrąciła rękę kobiety. Hrabina usadowiła się na brzegu wielkiego łóża z baldachimem, skąd obserwowała furię córki.

Stojąc nieopodal drzwi, zwlekałam z wejściem do środka; czekałam, aż lokaj oznajmi moje przybycie. Inaczej wyobrażałam sobie ten pokój. Ściany były przystrojone dziewczęcymi pąkami róż, gdzieś wisiły obramowane obrazy przedstawiające rumiane dziecięce buzie, a ze szklanej gabloty spoglądały porcelanowe lalki.

- Tego właśnie chcesz? Żebym zemdląca na oczach wszystkich? - ciskała się Isabelle.

- Dość tych dasów! Cochet! - Hrabina pstryknęła palcami na służącą, która zdążyła zająć się uprzątnieniem sukien rzuconych na krzesło. - Poluzuj odrobinę gorset i sprawdź, czy kreacja wciąż pasuje.

Kobieta podeszła do Isabelle i rozpięła haczyki w górnej części ubioru, następnie poluzowała sznurki gorsetu. Hrabina przyglądała się temu uważnie.

- Wystąpisz w tej sukni, Isabelle - oznajmiła. - Jeśli będzie trzeba, poproszę Cochet, żeby cię w nią wszyła.

Zapadła cisza, w której można było usłyszeć jedynie tykanie zegara na kominku i służącą poprawiającą wiązanie gorsetu.

- Hrabino - odezwał się lokaj, wykorzystując okazję - *mademoiselle* Pichon przybyła.

Podeszłam do hrabiny i dygnęłam. Spojrzała na mnie.

- Dobry wieczór, Maude. Jak pięknie wyglądasz - powiedziała bez cienia emocji, jakby nie prawiała mi komplementu, lecz zwracała się do mnie z przyziemną prośbą, na przykład „zamknij drzwi” albo „podaj masło”. - Jaka szkoda, że ciotka zaniemogła - dodała po chwili, posyłając mi znaczące spojrzenie.

Nie wiedziałam, że właśnie z tego powodu znalazłam się sama w hrabiowskiej rezydencji, podjęłam jednak grę.

- Och, tak. Ostatnio bardzo słabo się czuła. - Przypomniałam sobie, co po kolacji mówiła hrabina o umizgach swojego męża do młodej wdowy. To nasunęło mi wątpliwości, czy *madame* Vary rzeczywiście jest chora, czy też może wcale jej nie zaproszono.

Spojrzałam na Isabelle. Stała w milczeniu, podczas gdy służąca kończyła zapinać jej suknię. Śnieżnobiała satyna z szyfonowymi plisami okalała jej głęboki dekol, a wokół zgrabnej talii jedna za drugą narastały warstwy materiału tworzącego dolną część kreacji. Diamentowe kolczyki zwisały niczym wielkie łzy, które błyszczały w świetle lampy. Wtedy zrozumiałam, że wybór mojej szarej sukni został starannie zaplanowany.

I jak piękna wydawałam się sobie w agencji, tak teraz - patrząc na Isabelle - zdałam sobie sprawę, że jestem zaledwie jej bladym

cieniem, przywiedłym pakiem u boku bujnie rozwiniętego kwiatu. Zmysł hrabiny do tego typu subtelności był dużo bardziej wyrafinowany niż naszej szwaczki. Pani domu podniosła się z łoża i podeszła do córki, przesywając ją wzrokiem niczym wyższy rangą oficer robiący przegląd oddziału.

- A gdzie naszyjnik? - spytała. - Załóż go jej - poleciła służącej.

- Mamo, proszę, kolczyki naprawdę wystarczą.

- Kochanie - odparła hrabina lodowato - biżuteria podkreśli jasność twojej pięknej twarzy, wydobędzie jej zacny blask.

Isabelle skrzywiła się niezadowolona. Pochlebstwo matki nie osłabiło jej dąsów. Spojrzała na mnie oskarżycielsko.

- A Maude nie ma na sobie żadnych ozdób, dlaczego? Hrabina łypnęła na mnie kpiąco-litościwym wzrokiem.

- Maude prezentuje się lepiej w skromniejszej toalecie. Gdyby była tak szczęśliwa jak ty, z pewnością doceniłaby możliwość noszenia klejnotów. Prawda, Maude?

- Ja... Tak... Z pewnością - zająknęłam się zachrypniętym głosem. - Naszyjnik na twojej szyi będzie nieziemsko piękny, Isabelle.

Służąca wyciągnęła biżuterię ze szkatułki stojącej na toalecie i zawiesiła ją na poblądłej szyi swojej młodej pani. Kolia z rubinów w kolorze pestek granatu przeplatanych połyskującymi diamentami. Isabelle zacisnęła zęby.

- Pójdę w tym pod warunkiem, że Maude również coś założy.

-Odwróciła się do matki. - Tylko wtedy będzie sprawiedliwie.

Zdjęta niepokojem zrobiłam zapobiegawczo krok w kierunku hrabiny.

- Nie mogłabym. - Potrząsnęłam zdecydowanie głową.

- Doprawdy, Isabelle, nie utrudniaj - odezwała się hrabina. -Cochet, ułóż jej włosy. Nie chcę, żeby opadały na plecy w ten sposób. - Robiła wszystko, by zignorować prośbę córki.

- Nie utrudniam, mam, staram się być wspaniałomyślna -upierała się Isabelle. - Nalegam, abyśmy pożyczyły Maude coś ślicznego. Ona wygląda naprawdę banalnie.

Nieświadomie odgadła prawdziwy cel mojej obecności. Hrabina musiała płonąć wewnętrznym gniewem. Antydama nie powinna dostawać żadnych ozdób.

- Tak się nie godzi, Isabelle.

- Twoja matka ma rację - przytaknęłam. - Nie potrzebuję żadnej biżuterii. - Błagałam w głębi duszy, by Isabelle porzuciła ten pomysł.

- Dlaczego nie, mam? Przecież możemy jej coś pożyczyć. Mam pełną szkatułkę biżuterii.

Hrabina spojrzała w dal na swoje odbicie w lustrze i pogładziła dłonią naszyjnik wiszący na jej ciemnej aksamitnej sukni.

- Dobrze więc. Jeśli chcesz, możesz czymś przyozdobić swoją przyjaciółkę. - Pokręciła głową. - Zawsze musisz postawić na swoim.

Isabelle zaczęła przeszukiwać zawartość szkatułki.

- Cochet, gdzie podziały się perły babci? - spytała. - Będą pasować do sukienki Maude.

Służąca wysunęła szufladę w toalecie i wyciągnęła z niej puzderko z kości słoniowej. Kiedy okazała, pięciorzędowa kolia z pereł znalazła się na mojej niegodnej szyi, Isabelle obróciła mnie, aby ocenić efekt.

- Bardzo ładnie, tylko spójrz.

Na skórze czułam chłód i ciężar klejnotów. Zerknęłam w lustro nad toaletką i wstrzymałam oddech. Perły były duże, olśniewające i całkowicie nie na swoim miejscu. Spojrzałam przelotnie na hrabinę. Nie dało się nie zauważyć, że z trudem skrywa niesmak. Nie chciałam jej gniewać, ale jak mogłabym sprzeciwić się woli jej córki? Gdybym to zrobiła, jeszcze bardziej zwróciłabym uwagę na swoją przeciętną aparycję.

- Twój ojciec pewnie już na nas czeka - oznajmiła hrabina. - Zawsze jest nieprzyzwoicie punktualny, nawet jeśli szczerze nie znosi tego typu wydarzeń. - Przechodząc, zmroziła mnie oskarżycielskim spojrzeniem. - Rzucanie pereł przed wieprze - syknęła ledwo dosłyszalnym głosem.

Z trzeszczącego ogniem kominka wyturlał się rozżarzony węgielek. Zmartwiona niezadowolaniem hrabiny bez namysłu podeszłam do paleniska i schyliłam się, by sięgnąć po szczypce.

- *Mademoiselle!* - usłyszałam głos Cochet. Zerknęłam za siebie i dostrzegłam jej przerażoną minę. - Geneviève się tym zajmie. Proszę tego nie robić w tej eleganckiej sukni.

Natychmiast odłożyłam szczypce i zrobiłam krok do tyłu, przeklinając się w duchu.

- To wszystko, Cochet - powiedziała Isabelle. Służąca dygnęła i wyszła z pokoju. Drzwi się zamknęły, a my zostałyśmy same. Isabelle popatrzyła na mnie.

- Dlaczego w sprawie pereł trzymałaś stronę mojej matki? Skoro mamy być przyjaciółkami, nie możesz zachowywać się jak jej pacholek.

- Wystraszyłam się. Nie chciałam się jej sprzeciwić. - Struchlałam na myśl, że moja szczerść przyniesie mi zgubę. Czy naprawdę nie potrafiłam wymyślić bardziej uprzejmej odpowiedzi?

Isabelle zamarła zaskoczona, a po chwili zaczęła się śmiać. Zrozumiawszy swe niepewne położenie, dotknęłam naszyjnika zdobiącego mój dekolt.

- Nie powinnaś była nalegać, żebym go założyła. To zbyt wiele. Ledwo znam twoją rodzinę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Że masz zamiar ulotnić się nocą z kosztownościami? - Nie przestawała się śmiać, widząc moje osłupienie. - Żartuję przecież.

Wraz ze zniknięciem hrabiny Isabelle momentalnie poweselała. Zastanawiałam się, jak duży wpływ ma na jej nastrój matka.

- Jestem zaskoczona, że matka pozwoliła nam razem iść na bal - oznajmiła.

- A dlaczego miałyby się nie zgodzić?

- Zazwyczaj jest wybredna, jeśli chodzi o moje przyjaciółki. - Isabelle bawiła się jednym z kolczyków. - Zależy jej na kimś utytułowanym. Wiesz, im dłuższe nazwisko, tym lepiej. Wszystko dla zachowania pozorów.

- Tak, rozumiem - wymamrotałam. - Tymczasem ja jestem nikim... - Spojrzałam na nią nieufnie. Czy wciąż mnie sprawdza? Nadal wątpi w moje pokrewieństwo z *madame Vary*?

- Nie obrażaj się. Uważam, że jesteś bardziej interesująca niż inne debiutantki.

- Dlaczego? - Byłam szczerze zaciekawiona.

- Masz w sobie taką ożywczą szczerłość. I nie masz obsesji na punkcie sezonu. Wyraźnie widać, że jesteś nie z tego świata. - Wzruszyła ramionami. - Zadziwia mnie, że moja matka akceptuje cię w naszym kręgu.

- To chyba ze względu na moją ciotkę, której chce wyświadczyć przysługę - odparłam beztrąsko po szybkim zastanowieniu.

- Ona nigdy nikomu nie idzie na rękę, chyba że sama coś z tego ma. - Potrząsnęła głową, po czym wzięła futrzaną narzutkę i otuliła nią ramiona. - Idziemy? - spytała.

Przytaknęłam, w głębi duszy dziękując Isabelle, że nie musiałam się jej tłumaczyć z nadmiernej dobroduszości hrabiny względem mnie. Wyszłam za nią z pokoju. Mimo nieprzyjemności z naszymi kolegami czułam się dzięki niemu mniej typową antydamą z agencji Durandeanu. Kolejna myśl przemknęła mi przez głowę: a co, jeśli któryś z mężczyzn na balu weźmie mnie za prawdziwą debiutantkę?

Natychmiast jednak odsunęłam ją od siebie. Nie powinnam sobie pozwalać na tego rodzaju niebezpieczne rozważania. Nic dobrego z tego nie wyniknie.

Krocząc szerokimi schodami, ponownie rzuciłam okiem na portrety wiszące na ścianach.

- Czy wszyscy oni należą do rodziny Dubern? - szepnęłam do Isabelle.

- Tylko ci martwi.

Zacisnęłam usta, żeby nie parsknąć śmiechem. Isabelle również nie była zwykłą debiutantką. Miała w sobie zarzewie buntu. Przy drzwiach czekał na nas lokaj z moim płaszczem w dłoni. Włożyłam go i wraz z hrabiostwem Dubern opuściłam pałac. Wyszłam prosto w noc.

Rozdział piętnasty

Powóz mknął przez oświetlone bulwary Paryża. Mgła otulała nisko wiszący księżyc, obdarzając latarnie uliczne nieziemską poświatą. Myślałam o perłach schowanych pod płaszczem oraz o panu Durandeau, który nigdy nie zgodziłby się, abym je założyła. Bez wątpienia było to złamanie reguł panujących w agencji.

Obok mnie zniecierpliwiona Isabelle delikatnie stuknęła stopą o podłogę i pociągała za palec rękawiczki, wyszarpując z niego nitkę. Nie potrafiłam odgadnąć, czy to z nerwów, czy może z pod-ekscytowania zbliżającym się balem.

- Pamiętaj, żeby podczas rozmowy w męskim gronie napomknąć o polowaniu - upomniała męża hrabina.

- Wiesz, że nienawidzę strzelać - odparł, gładząc wąsy kciukiem i palcem wskazującym.

- Nie dbam o to. Musimy zostać zaproszeni na polowanie. To dla dobra twojej córki.

- Jesteś taka śliczna, córeczko - odezwał się z uśmiechem hrabia do Isabelle, ignorując naciski żony.

- To prawda, biorąc pod uwagę, przez co musiałam przejść, efekt jest całkiem zadowolający - potwierdziła hrabina, przypisując sobie całą zasługę.

- Każda wymówka jest dobra, żeby wydać pieniądze - zripostował hrabia. - Choćby nawet codziennie wkładała inną suknię, za którą zapłaciłem, nie starczyłoby dni w roku.

Z pewnością nawet nie domyślał się, że płacił także za moją kreację.

- Isabelle ma jeden sezon na zrobienie dobrego wrażenia - denerwowała się hrabina. - Chcesz, żeby wyglądała jak uboga krewna?

Na jej uwagę hrabia łypnął okiem na mnie. Odwróciłam twarz do okna, by uciec przed jego spojrzeniem. Nie, nie chciałby córki podobnej do mnie.

- Jakich adoratorów miałyby wtedy przyciągnąć? - drażyła hrabina.

O Isabelle rozmawiali tak, jakby była inwestycją lub częścią majątku; pionkiem na szachownicy, którym należy wykonać strategiczne posunięcie. Przypuszczałam, że podobnych dyskusji musiało być dużo więcej, co zresztą potwierdzała znudzona mina samej zainteresowanej.

Przejechaliśmy pod amfiladą kamiennych łuków. Konie zwolniły, a nasz powóz znalazł się przed jasno oświetlonym budynkiem, który okazał się bardziej przypominał pałac. Wzdłuż podjazdu płonęły pochodnie, a liczba karoc przywodziła na myśl zatłoczony paryski bulwar.

- Co to za miejsce? - spytałam Isabelle. - Jakiś zamek?

- Zwykły dom - odparła znudzonym głosem. - Należy do wicehrabiego Rochefort.

- Jaka szkoda, że jego starszy syn bawi właśnie na Wschodzie - westchnęła hrabina. - Młodszy zaś... Jak mu było?

- Xavier - podpowiedział jej małzonek.

- Naturalnie, Xavier. Ten wydaje się bardziej ujmujący, choć, rzecz jasna, nie dziedziczy tytułu.

Isabelle westchnęła w odpowiedzi.

Zanim bezwiednie zdążyłam dosięgnąć klamki, odziany w liberię lokaj otworzył mi drzwi, czym ocalił mnie przed kolejną kompromitacją. Przy jego pomocy wyszłam z powozu i zapatrzyłam się na fasadę rezydencji, próbując zdławić niespokojne pulsowanie w żołądku.

- Doszły mnie słuchy, że swoją obecnością uraczy nas dzisiaj książę d'Avaray. Słyszałaś mnie, Isabelle?

- Tak, mamó. - Hrabianka przewróciła oczami.

Trudno mi było pojąć, skąd u niej takie opanowanie, podczas gdy mój niepokój zdążył przerodzić się w czysty strach. Nie potrafiłam nawet wyjść z karety bez poczucia wstydu, oni tymczasem swobodnie rozprawiali o fortunach i tytułach. Kręciło mi się w głowie, gdy zbliżaliśmy się do wytwornego gmachu. Czy będę potrafiła poprawnie zatańczyć, swobodnie poprowadzić grzecznościową konwersację? Czy znowu palnę coś głupiego, a akcent ponownie mnie zdradzi?

Weszliśmy na kamienne schody i przeszliśmy przez misternie rzeźbione drzwi. Czekająca w holu służba odebrała wierzchnie okrycia dam; laski, kapelusze i płaszcze panów. Zastanawiałam się, w jaki sposób dojdą później, która rzecz należy do kogo.

Rodzice Isabelle ani przez chwilę nie mieli wątpliwości, co trzeba robić i dokąd kierować kroki. Wraz z pozostałymi gośćmi wspięliśmy się szerokimi schodami z białego marmuru, a następnie przez obszerne drzwi wkroczyliśmy do sali balowej. Usłyszałam, jak chwytam powietrze w płuca. Jeśli rezydencja hrabiostwa Dubern była luksusowa, ten budynek okazał się odzwierciedleniem największego

przepychu, którym nie pogardziłby sam król czy cesarz. Wypolerowana posadzka lśniła niczym skórka młodego kasztana, kilka par płynęło po niej w tańcu równym rytmem. Suknie kobiet przywodziły na myśl wirujące motyle z jedwabiu, panowie zadawali szyku ciemnymi frakami. Błado-miętowe ściany zwieńczał zdobiony gzyms, a kinkiety z brązu wydawały się splątanymi gałęziami różanych krzewów, między którymi płonęły świece.

Wielkie, sięgające od podłogi aż do samego sufitu lustro w pozłacanych ramach wisiało w przestrzeniach pośród szerokich okien, pod ścianami stały cukierkowo-różowe kanapy. Pomieszczenie tonęło w złotym świetle. Ten widok zaparł mi dech w piersiach. Poczułam się tak, jakbym wstąpiła do krainy bajek.

Cudnej urody dziewczęta, szelest sukien, tłumiony chichot... Myślałam, że moja towarzyszka wygląda imponująco, patrząc jednak na jej konkurentki, zrozumiałam lekcję, którą niegdyś dała mi Marie-Josée. Jakie Isabelle miała szanse na wyróżnienie się z tłumu jej podobnych?

- Znasz tych wszystkich ludzi? - szepnęłam jej na ucho. Musiały być tam setki osób, a każda pełna blasku, promieniująca urodą, oszałamiająca przepychem.

- Ze słyszenia - odparła bez emocji. -1 ostrzegam, że nie wymigasz się od tańca. Inteligentną konwersacją nikt cię tu nie zabawi.

Potrząsnęłam głową zbita z tropu.

- Plecy prosto! - Hrabina, sama będąc uosobieniem wdzięku i gracji, przesunęła palcem po kręgosłupie córki, ta zaś, posłuszna jej poleceniu, wyprostowała się. -1 uśmiech - dodała. - Ale nie szczerz się tak - złażała ją natychmiast, a Isabelle poddała się jej woli.

Hrabiostwo podeszło do starszego małżeństwa, które kojarzyłam z kolacji. Teraz to oni pełnili honory domu i witali przybywających gości. Obok nich stał przystojny młodzieniec z grubymi

brwiami i zrozumiiałym wyrazem twarzy. Miał też wąsy - zapewne po to, by dodać sobie powagi.

- Panie wicehrabio - odezwał się hrabia do starszego mężczyzny - imponująca liczba gości. - Uścisnęli sobie dłonie, kobiety zaś skinęły głowami.

- Trudno w to uwierzyć, że nasza Claire i wasza Isabelle już debiutują na balu - odezwała się wicehrabina do *madame* Dubern. - Pamiętasz, pani, mojego młodszego syna Xaviera? - Wskazała dłonią na młodzieńca przy swym boku.

- Ależ oczywiście - odparła miękko hrabina, wyciągając rękę w stronę kawalera.

- Pani hrabino - odparł Xavier, ujmując jej dłoń - jak zawsze wygląda pani olśniewająco. Proszę uważać, aby mężczyźni nie wzięli jej za tegoroczną debiutantkę.

Hrabina zaśmiała się, uderzając go kokieteryjnie po ramieniu na znak udawanego sprzeciwu.

- Doprawdy, Xavier - rzekła oczarowana jego szarmanckością. Młody Rochefort emanował czymś, co niektórzy nazwaliby

może urokiem, jednak wyglądało to bardziej na zwykłą butę. Nadeszli kolejni goście; wicehrabiostwo skierowali na nich swoją uwagę, Xavier zaś został z nami. Zwrócił się do Isabelle.

- *Mademoiselle* Dubern, miałem nadzieję panią dzisiaj zobaczyć. Isabelle wygięła usta w kurtuazyjnym uśmiechu.

- Wystawne przyjęcie - powiedziała.

- Niestety, nie ja powinienem zbierać pochwały. Wystrojem zajęły się matka i Claire. Tylko kobiety mają ten wyjątkowy dar aranżowania balów, czyż nie?

Jeśli starał się jej zaimponować, marnie mu to wychodziło. Isabelle ostentacyjnie zignorowała jego uwagę na temat roli kobiet. W zamian za to przedstawiła mnie:

- To moja przyjaciółka, Maude Pichon.

W jednej chwili, czując na sobie uwagę otoczenia, zamieniłam się w posąg, ciężki i niemy, jakbym została odlana z brązu. Oddech mi osłabł, a przyklejony do twarzy uśmiech zamarł. Xavier chłodno ujął moją rękę.

-Rodzina Pichonów z... - zaczął, próbując wyznaczyć mi miejsce w hierarchii. - Skąd pani pochodzi?

Serce załomotało mi w piersi, kiedy uświadomiłam sobie, że z nikim nie rozmawiałam o swoim pochodzeniu. Z drugiej strony było to tylko zwykłe pytanie, formułka grzecznościowa. Przecież nie będzie posądzał mnie o oszustwo.

- Pochodzę z Normandii - odparłam. Niewiele minęłam się z prawdą; Normandia graniczyła bezpośrednio z moim rodzinnym regionem, Bretanią. - Z niewielkiego miasteczka obok Deauville. Z pewnością nie skojarzy pan jego nazwy.

- Rzeczywiście, nie skojarzę - odparł lekceważącym, obcesowym tonem, unosząc brwi. Uciekłam wzrokiem przed jego przeszywającym spojrzeniem.

- A pan skąd pochodzi, *monsieur de Rochefort*? - zapytałam.

- Z Paryża - rzucił z pogardliwą wyższością. - Skądże by indziej? - W jednej chwili odwrócił się do Isabelle, całkowicie ignorując moją obecność. - Proszę ze mną zatańczyć, nalegam.

- Dobrze - odparła, choć widziałam, że nie pała entuzjazmem. Kiedy młody Rochefort prowadził ją na parkiet, odwróciła głowę i rzuciła mi znaczące spojrzenie, jakby chciała oznajmić: „A nie mówiłam?”.

Wypuściłam powietrze z ulgą, spokojna, że ominęła mnie przymusowa integracja z wyższymi sferami. Jednak pozostanie w towarzystwie hrabiostwa było dla mnie równie krępujące. Sam hrabia najwyraźniej pomyślał to samo, ponieważ chwycił żonę pod rękę.

- Chodź, najdroższa, zostawmy parkiet młodemu. Poszukajmy lepiej generała.

- Jak możesz myśleć dziś o czymś poza swoją córką? - Hrabina wyglądała na zirytowaną.

Pierwszy taniec Isabelle był dla jej matki doniosłą chwilą. Podążała wzrokiem za młodymi, jakby obserwowała konia po raz pierwszy wystawionego do gonitwy.

- Nie grozi jej śmiertelne niebezpieczeństwo - sprzeciwił się hrabia. - To tylko taniec.

Hrabina pochyliła się nade mną. Jej idealne rysy twarzy nagle stężały.

- Masz trzymać się blisko Isabelle, kiedy akurat nie będzie tańczyć - szepnęła. Czulałam zapach jej perfum: drzewo sandałowe z korzenną nutą. - I nie wychodź na parkiet, jeśli i ona nie będzie miała partnera.

Przytaknęłam z ulgą, że nie zmusza mnie do tańca.

- Cokolwiek zrobisz, nie zostawiaj jej samej - doprecyzowała, lecz hrabia jej przerwał, nim zdążyła wydać kolejne instrukcje.

- Edwigo! - zawołał zniecierpliwiony. - Chodź już, widzę generała.

Zebrało mi się na śmiech, kiedy zwrócił się do niej po imieniu, które zupełnie do niej nie pasowało. Gdy odchodzili, usłyszałam jeszcze komentarz hrabiego:

- Dziwaczna dziewczyna, a jaka powaga na twarzy. Puściłam tę uwagę mimo uszu, nie było sensu się obrażać.

„Zaakceptuj swoje wady” - powtarzałam sobie. Kiedy wreszcie zostałam sama, mogłam dokładnie przyjrzeć się tańczącym. Byli wspaniali. Poruszali się precyzyjnie niczym mechanizm zegara, zresztą nie tylko na parkiecie. Obserwowałam grupki znajomych, wyłapywałam strzępy rozmów, wychwytywałam drobne gesty.

Prawdziwy, pełen swobodnego wdzięku pokaz etykiety i dobrych manier. Panowie wiedzieli, w jaki sposób podejść do kobiety, jak rozpocząć konwersację. Panie zaś do perfekcji opanowały sztukę słodkiego śmiechu w najodpowiedniejszych chwilach. Potrafiły też z gracją oddalić się od towarzystwa, i robiły to w taki sposób, aby nikogo nie urazić. A przecież w pobliżu nie było nikogo takiego jak *madame Girard*, kto podpowiedziałyby, jak należy się zachować. Wszystko robili instynktownie, jakby już z tą wiedzą przyszli na świat.

Wieczór trwał w najlepsze, po pierwszym tańcu Isabelle nastąpiły kolejne. Oddaliłam się od zgiełku i spoczęłam na jednej z kanap ustawionych pod ścianą. Zdałam sobie sprawę, że oto znalazłam się w położeniu najbardziej typowym dla antydamy. Sama na uboczu, przypatrująca się, jak klientka skupia na sobie całą uwagę. Powinnam się cieszyć, że wieczór przebiega zgodnie z planem, a jednak nie potrafiłam pozbyć się uczucia rozczarowania. Mimo otaczającego mnie piękna z każdą godziną bal tracił swój blask. Jakże naiwna byłam, robiąc sobie nadzieje tylko dlatego, że wystrojono mnie w wyborną suknię, a na szyję nałożono sznur pereł. Między tańczącymi postaciami, w lustrze po drugiej stronie sali, dostrzegłam własne odbicie. Wiedziałam, że mój szykowny strój nie może w żaden sposób poprawić urody, jaką obdarowała mnie natura. To była granica mojej atrakcyjności, postanowiłam jednak się nie zadręczać.

- Tu jesteś! - Mych uszu doszedł jakiś głos. Spojrzałam do góry, nade mną stała Isabelle. Była w towarzystwie najprzystojniejszego mężczyzny, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

- Dobry wieczór, *mademoiselle* - odezwał się, chwytając moją odzianą w rękawiczkę dłoń, na której złożył delikatny pocałunek. - Diuk dAvaray - przedstawił się. Moje serce przyspieszyło, a policzki poczerwieniały. Przypatrywałam się jego nieskazitel-

nemu wyglądowni. Ciemne blond włosy, głębokie niebieskie oczy, pięknie zarysowany nos i delikatna szczęka. W odróżnieniu od większości obecnych mężczyzn miał na sobie mundur wojskowy. W granatowym surducie z czerwonymi epoletami zdecydowanie odstawał od otoczenia. Najbardziej zaskakujące było jednak to, że Isabelle wykazywała wobec niego całkowitą obojętność. Nie zdradzała najmniejszych oznak podekscytowania ani drżenia serca na widok tego Adonisa.

Po chwili dołączył do nas Xavier w towarzystwie ślicznej dziewczyny o kręconych jasnorudych włosach. Okazało się, że to jego siostra Claire. Dygnęła lekko, kiedy zostałyśmy sobie przedstawione, i wbiła wzrok w księcia.

- Zatańczmy raz jeszcze - powiedziała, próbując zwrócić na siebie jego uwagę.

- Mamy problem, jest nas pięcioro - zauważył Xavier, zerkając na mnie przelotnie, po czym odwrócił się w drugą stronę. Zrozumiałam, że nie chce mnie jako partnerki. Udałam obojętność, przybierając wyuczoną do perfekcji sympatyczną minę. Jednocześnie złościło mnie, że ktoś taki jak on może zachowywać się aż do tego stopnia nieuprzejmie.

Księżę odwrócił się do Isabelle, by zaproponować jej taniec, lecz uprzedziła jego słowa:

- Tym razem usiądę i odpocznę trochę. Zatańcz, proszę, z Maude. Nalegam. Ani razu nie była dzisiaj na parkiecie.

Żołądek podszedł mi do gardła na myśl, że mogłabym sprzeniewierzyć się żądaniom hrabiny, o samym tańcu nie wspominając. Już wyobrażałam sobie, jak depczę księciu po palcach lub niechcący podstawiam mu nogę. Odwróciłam się do niego z gotową wymówką i napotkałam czarujący uśmiech. Diuk nie zdradzał żadnego niezadowolonia, że miałabym zostać jego partnerką. Wyciągnął rękę.

- A zatem, czy mogę prosić? - zapytał swobodnie głębokim, gładkim głosem.

Zawahałam się, omiatając wzrokiem salę w poszukiwaniu hrabiny.

- Nie jestem najlepsza w tańcu - szepnęłam.

- Ależ Maude, przestań - odezwała się Isabelle. - Nie możesz cały wieczór podpierać ścian.

Już miałam ponownie zaprotestować, ale się powstrzymałam. Prawda była taka, że nie chciałam mu odmawiać. Przeszedł mnie dreszcz, kiedy księżę chwycił moją dłoń i poprowadził mnie na środek sali. W głowie bębnił mi rytm wybijany o podłogę laską Girard. Raz, dwa, trzy; raz, dwa, trzy... Musiałam wyglądać na naprawdę zdenerwowaną, ponieważ księżę odezwał się:

- To pani pierwszy bal?

- Sądzę, że to nazbyt oczywiste - odpowiedziałam, płoniąc się.

- Proszę nie patrzeć na stopy, tylko na mnie. Jestem tutaj.
-Uśmiechnął się.

Gdy tylko rozpoczął się taniec, ruszyliśmy przez parkiet. Księżę mocno trzymał mnie w objęciach. Orkiestra grała głośno, a moje ciało przeszywały wibracje skrzypiec i wiolonczeli. Zdenerwowanie ukojone muzyką powoli ustępowało miejsca radosnemu uniesieniu. Opanowanie mojego partnera sprawiło, że poczułam się rozluźniona. Wirując dookoła, wbijałam spojrzenie w tę nieprawdopodobnie piękną twarz, podziwiałam jego lekkość i postawę w tańcu.

- Dobrze pani idzie - pochwalił mnie. Był jedną z tych rzadko spotykanych osób, które potrafiły przelać swoją pewność siebie na innych. Każdy gest wykonywał naturalnie, konwersował płynnie; niezręczność była mu obca.

Pomimo onieśmielenia zapragnęłam dowiedzieć się o nim czegoś więcej. Obserwowałam rysy jego twarzy. O czym mogłabym

rozmawiać z księciem? Moją uwagę przyciągnęły złote guziki na jego uniformie, mieniające się w blasku świateł.

- Służy pan w armii! - wykrzyknęłam i od razu tego pożałowałam.

- Już niedługo - odparł. - Wkrótce wracam w rodzinne strony. - W jego głosie usłyszałam nutkę żalu.

- Wolałby pan zostać w wojsku? - zadałam kolejne pytanie, drążąc temat.

- Aż tak to po mnie widać? - Uśmiechnął się i westchnął jednocześnie.

- Mój ojciec zmarł, jestem jego najstarszym synem. To on był prawdziwym księciem dAvaray. Ja jestem zaledwie kandydatem.

Jego skromność sprawiła, że polubiłam go jeszcze bardziej. Zapragnęłam odwzajemnić się jakoś i podzielić z nim własną historią.

- Kiedy miałam dziesięć lat, zmarła moja matka - rzuciłam i natychmiast poczułam się fatalnie, że wykorzystałam jej śmierć jako pretekst do podtrzymania konwersacji.

- To okropne uczucie stracić rodzica - odpowiedział, spoglądając na mnie litościwie.

- Nie można się do tego przygotować - szepnęłam.

- Ma pani rację - przyznał. Nasze spojrzenia skrzyżowały się, a jego przyjazny, promienny uśmiech wypełnił mnie przyjemnym ciepłem. Dzięki niemu poczułam się jak błyszczący klejnot, nie zaś podłożony pod spód kawałek metalu, który ma jedynie wzmacniać jego blask. Przestało się liczyć, z jakiego powodu się tu znalazłam. Najważniejsze było, że ja, Maude Pichon z Poullan-sur-Mer, tańczę w ramionach samego diuka.

Kiedy orkiestra zamilkła, książe dołączył do Xaviera i Claire. To jednak nie miało dla mnie znaczenia. Szczęśliwa z powodu chwili, jaka została mi darowana, wróciłam do Isabelle. Przemierzałam

salę, rozkoszując się każdym szczegółem wystroju, kotarami, kieliszkami, świecznikami, niemymi świadkami mojego uniesienia. Ja także byłam częścią tego wszystkiego. Prawdziwy świat dzielnicy Montparnasse, codzienna rutyna w agencji, samotność i upokorzenie rozplynęły się w mrokach niepamięci. Moja mansarda, *monsieur Durandeu* i pozostałe antydamy - wszystko to zdawało się fikcją. Prawdziwa była tylko bajka, w której właśnie się znajdowałam.

Nagle ktoś ścisnął mnie za ramię i gwałtownie wyrwał z rozmyślań. Odwróciłam się i tuż przed nosem ujrzałam twarz hrabiny.

- Nie mitręż czasu księcia, Maude. - Uśmiechnęła się do znajomej przechodzącej obok, jednak jej mocny, nieprzyjemny uchwyt zdradzał gniew.

- Ale... - usiłowałam się tłumaczyć.

- Nie próbuj usprawiedliwiać swojego niedbalstwa - przerwała mi, by sięgnąć po kieliszek szampana z tacy przechodzącego obok kelnera. Upiła łyki natychmiast jakby nieco się uspokoiła. - Odciągnij tę blondynkę, siostrę Rocheforta, od księcia. Wyraźnie ma na niego oko. Nie pozwolę, aby Isabelle znalazła się w jej cieniu.

- Ale jak? - spytałam przejęta.

- Rozlej szampana na jej suknię. - Wcisnęła mi kieliszek w dłoń. -Zrób cokolwiek, żeby zniknęła stąd na kilka tańców. Moja córka musi mieć dosyć czasu dla księcia. Wszyscy widzą, na kogo on zwraca uwagę.

Jej słowa całkiem wyrwały mnie z niedawnego zamroczenia. Podeszłyśmy do Isabelle, uśmiechając się, jakbyśmy właśnie odbyły przemiłą pogawędkę. Kelner zaproponował jej kieliszek szampana.

- Dobrze się bawisz, *chérie*⁷. - zwróciła się hrabina do córki.

- Tak, mamó - odpowiedziała Isabelle, sącząc trunek.

- Dlaczego więc nie tańczysz? - zdziwiła się. - Nie chcę, żebyś się nudziła. Powinnaś być na samym środku parkietu, gdzie wszyscy będą cię podziwiać.

Zanim ta zdążyła odpowiedzieć, do hrabiny podeszła pewna korupulentna kobieta i odciągnęła ją do grupki stojącej w drugiej części sali. Uśmiechnęłam się z ulgą.

- Twoja matka jest bardzo bezpośrednia - skomentowałam, siadając na kanapie.

- Jest męcząca. - Isabelle parsknęła śmiechem. - Myśli, że jestem na scenie, toteż aby być lepiej widziana, muszę wystawać ponad resztę. Stąd te wszystkie błyskotki, zbyt ciasne gorsety, nakazywanie tańca.

„I wynajęta specjalnie na tę okazję brzydula” - nieomal powiedziałam to na głos. Isabelle sączyła szampana, wodząc wzrokiem po sali.

- Zdaje się, że księżę tańczy właśnie z *mademoiselle* de Rochefort, jeśli to jego szukasz - oznajmiłam.

- Antoine dAvaray to obsesja matki, nie moja.

„A więc Antoine” - pomyślałam i powtórzyłam kilka razy w myślach jego imię.

- Marzy, żebym została księżną. Poczułam dziwne ukłucie, cierń zazdrości.

- Niedawno odziedziczył tytuł - ciągnęła. - Jestem pewna, że to dlatego matka kazała mi tak wcześnie debiutować. Osiemnaście lat skończę dopiero latem.

Wyobraziłam ich sobie razem. Idealnie dobrana para. To sprawiło, że mój taniec z nim stał się zupełnie nieistotny.

- Jest taki czarujący. - Spojrzałam na podłogę, a uczucie zawiści prześlizgiwało się po powierzchni moich myśli, by po chwili utonąć w otchłani wstydu. Jakie to żalosne. Brzydka siostra przyrodnia w szponach pożądania.

- Jest dość miły, ale ja nie jestem księżną, Maude. - Isabelle powiedziała to z taką szczerością w głosie, że natychmiast zrobiło mi się mniej żal samej siebie. Spojrzałam w jej piękną twarz, pod

której pozornym spokojem kryła się zapalczywość. Isabelle Dubern była dla mnie istną zagadką.

- Dlaczego nie miałabyś nią zostać? - spytałam.

Postukała palcem o ściankę kieliszka, ale dłoń obleczona w rękawiczkę nie wydała żadnego dźwięku.

- Poza tym balem istnieje cały świat, widać już świt nowego stulecia, ale dla mnie najważniejsze ma być aranżowane naprędce małżeństwo.

Jak mogła aż z taką niechęcią patrzeć we własną przyszłość? Przecież nikt nie zmusza jej do poślubienia starego rzeźnika.

- Czy to taki zły los? - zapytałam.

- Dlaczego w ogóle muszę wychodzić za męża? - Spojrzała na mnie uważnie. - Nie zastanawia cię to, że sto lat temu przez Francję przetoczyła się rewolucja, a tak naprawdę nic się nie zmieniło? Przynajmniej nie dla takich jak ja. - Opróżniła kieliszek do końca i zapatrzyła się przed siebie.

Skołowana potrząsnęłam głową.

- Potrafię sobie wyobrazić gorsze rzeczy niż poślubienie któregoś z obecnych tu dżentelmenów.

- Dla matki liczą się przede wszystkim status i uwaga towarzyszące zajmowanej pozycji społecznej. Ten sezon jest głównie dla niej i dla całej rodziny, o mnie nikt nie myśli.

- Naprawdę nie widzisz, jaką jesteś szczęściarą? - nie dawałam za wygraną.

- Tak sądzisz? - Gwałtownie obróciła głowę w moją stronę. - Myślisz, że mam wszystko? - Wydawała się zagniewana.

- A nie masz?

Isabelle westchnęła, dając mi do zrozumienia, że niczego nie pojmuję. Już chciałam ją poprosić, żeby mi to wyjaśniła, kiedy podeszli do nas książę i Claire.

- Chyba się starzeję - oznajmił ten pierwszy, po czym spoczął na sofie obok Isabelle. - Taniec potrafi wyczerpać bardziej niż musztra wojskowa.

Kiedy oboje wdali się w konwersację, ja przesiadłam się na krzesło, aby zapewnić im odrobinę prywatności. Claire nie była na tyle subtelna. Niemal wisiła nad nimi, tylko czekając na okazję, by wtrącić się do rozmowy. I nie była jedyna. Nieco dalej stał Xavier, który umizgi-wał się do piersiastej brunetki. Mimo pozornie żywego zaangażowania w rozmowę od czasu do czasu rzucał ukradkowe spojrzenie na Isabelle i księcia. W końcu *mademoiselle* de Rochefort straciła cierpliwość i zaczęła namawiać księcia na kolejny taniec. Czułam, jak hrabina obserwuje mnie z oddali. Wiedziałam, że muszę zadziałać. Należało odciągnąć uwagę Claire od obiektu jej westchnień.

Wzięłam łyk szampana, bąbelki zakręciły mi w nosie, w głowie zaszumiało. Spojrzałam na kieliszek. Hrabinie z pewnością nie chodziło o to, abym dosłownie oblała Claire alkoholem. Zaczęłam bacznie ją obserwować... Co by kupiła, gdyby była klientką w sklepie mojego ojca? Na jaki temat dałaby się zagadnąć? W końcu mnie olśniło: włosy!

Były nieprawdopodobne. Burza upiętych wysoko loków opierających się sile grawitacji. Jak wiele czasu musiało zająć ułożenie tak misternej konstrukcji? Znalazłam idealny temat do rozmowy! Podniosłam się z krzesła i podeszłam do panny Rochefort.

- Jakie śliczne włosy. - Uśmiechnęłam się i od razu zaczęłam się niepokoić, czy zabrzmiałam wystarczająco naturalnie. - Są... niesamowite.

Claire ożywiła się i zrobiła krok do przodu.

- Och, dziękuję. - Rozpromieniła się i delikatnie dotknęła dłonią fryzury, jakby sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu. - To dzieło znajomego mojej matki, najlepszego fryzjera w Paryżu.

- Och, doprawdy? - starałam się udawać zdumienie.

- Owszem, a tę koafiurę wymyślił specjalnie dla mnie. Spójrz, są tu dwie treski, jedna z przodu, druga z tyłu. Dodają objętości.

Przytakiwałam, a ona w najlepsze świergotała o układaniu włosów, kręceniu loków, mocowaniu tresek... Tymczasem za jej plecami Isabelle z księciem powstali z sofy i ruszyli na parkiet.

- To niewiarygodne! - powiedziałam z odpowiednią dozą entuzjazmu.
- Treski idealnie wplotły się w naturalne włosy. - Pociągnęłam łyk szampana, zadowolona ze swojego małego zwycięstwa.

Grałam na zwłokę, dopóki do tańca nie poprosił jej inny konkurent. Wtedy ponownie zostałam sama, po raz kolejny tylko obserwując, jak wszyscy wokół mnie dobrze się bawią. Bycie widzem stało się moją dola. Wraz z drugim kieliszkiem szampana zrobiło mi się ciepło, a blask świec zaczął mętnieć, aż w końcu stał się rozmytą plamą złotego światła. Podałam się wspaniałości otoczenia. Wciąż nie wierzyłam, że tutaj jestem.

Było już po północy, na stole walały się porozrzucone resztki jedzenia, opróżnione do połowy kieliszki z szampanem i stopione kikuty świec. Tłum pięknych ludzi rzedniał coraz bardziej. Nie docierało do mnie, że poza salą balową istnieje zwyczajny świat, moja obskurna mansarda w brudnej dzielnicy Montparnasse. Za wszelką cenę pragnęłam pozostać w tym pięknie, którego przez jeden wieczór byłam częścią. Wiedziałam, że kiedy po powrocie będę rozczesywać włosy przed lustrem, miniona noc stanie się tylko dawnym wspomnieniem.

W towarzystwie hrabiostwa Dubern zesłam szerokimi schodami do głównego holu, gdzie służba oddała nam płaszcze. Spod pałacu prosto pod dom miała mnie zabrać „kareta ciotki”, a raczej wynajęty przez agencję powóz. Czułam ucisk w stopach. Na prośbę hrabiny jeszcze przed wejściem na schody oddałam naszyjnik z pereł. Domyślałam się, że zbyt dużym ryzykiem byłoby dla niej pozostawienie go w moich rękach.

Wyszliśmy na zewnątrz. Chłodne powietrze wdzierało się w każdy kawałek mojego zmęczonego ciała, w głowie wciąż szumiały bąbelki szampana. Powinnam była się cieszyć, że udręka balowej nocy już minęła, a jednak przez to osobliwe poczucie ulgi niestrudzenie przesączały się krople goryczy.

Czy udało mi się sprostać oczekiwaniom hrabiny? Czy będzie jeszcze chciała mnie zatrudnić? Przypomniałam sobie słowa Durandeu: „Hrabina zażyczyła sobie, żebyś pracowała wyłącznie dla niej”. W moim sercu zapłonęła nadzieja na kolejny bal.

- To była magiczna noc - odezwałam się do Isabelle.

- Była znośna. - Wzruszyła ramionami. - Cieszę się, że ci się podobało.

- Skąd w tobie taka obojętność? - zaśmiałam się. - Wszystko było wspaniałe, wręcz idealne.

- Idealnie sztuczne. A co z prawdziwym życiem? Pomyślałam o powrocie do obmierzłej mansardy. Czy właśnie

na takim życiu jej zależy? Czy w ogóle wie, czym jest prawdziwe życie? Moje upojenie natychmiast przysłonił cień rozgoryczenia. Potrząsnęłam głową.

- Dla mnie wybór byłby oczywisty.

Pierwszy podjechał powóz państwa Dubern i hrabia z hrabiną weszli do środka. Odwróciłam się do Isabelle.

- Czego więc byś chciała, skoro tańce z arystokratami i picie szampana śmiertelnie cię nudzą?

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - Para z jej oddechu tworzyła na mroźnym powietrzu upiorne kształty. Isabelle mocniej zacisnęła płaszcz na ramionach.

- Kochanie, wsiadaj już - ponagliła hrabina. - Zmarzniesz na kość.

Isabelle popatrzyła na mnie uważnie.

- Przyjdź we wtorek na herbatę, to ci pokażę - zaproponowała i zniknęła w karecie.

Nie miałabym nic przeciwko przyjęciu jej zaproszenia, obawiałam się jednak, że nie jest to coś, czego pan Durandeu by sobie życzył. Drzwi się zatrzasnęły, a Isabelle pomachała do mnie zza szyby. Nie wiedziała, że wspólna herbata będzie kosztować jej matkę pięć franków za godzinę.

Rozdział szesnasty

W poniedziałkowy poranek agencja jak zwykle tętniła życiem, wszędzie panował harmider, zewsząd dochodził gwar. Zanim otworzyłam drzwi do garderoby, wiedziałam, że będzie w niej pełno dziewcząt. Nie miałam nic przeciwko temu, ponieważ byłam spragniona towarzystwa, a potrzeba podzielenia się przeżyciami z magicznej nocy paliła mnie już od powrotu z balu. Wcześniej przygotowałam sobie opisy gości, ich strojów oraz pałacowych dekoracji. Zamierzałam podarować swoim koleżankom smakowitą relację, która rozświetliłaby nieco ich dzień. Ale bez chęłpienia się, a przynajmniej bez stwarzania wrażenia, że się czymś chęłpię.

Powiesiłam płaszcz i kapelusz na haku, po czym uśmiechnęłam się, próbując wychwycić spojrzenia dziewcząt. Tym razem byłam gotowa na plotki. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Marie-Josée, która z pewnością pierwsza poprosiłaby mnie o szczegóły, jej jednak nie było. Zawiedziona osunęłam się na krzesło. Cécile ostentacyjnie ignorowała moją obecność. Odwrócona do mnie plecami głośno rozmawiała z innymi. Przebrałam się w codzienny strój i czekałam. Mijały minuty, a one wciąż rozprawiały o banałach. Miałam wrażenie, że dłużej nie wytrzymam w milczeniu. Wresz-

cie, kiedy przesłodka Emilie przysiadła się do mnie, otrzymałam możliwość podzielenia się moją opowieścią.

- I co? Jak bal? - zapytała z szeroko otwartymi oczami.

- Było tak, jakby bajka stała się rzeczywistością - odparłam, nie mogąc opanować uśmiechu. W swoim głosie słyszałam podniecenie, ale nie zamierzałam go ukrywać. - Tańce, suknie, przystojni mężczyźni...

- A co do jedzenia? - spytała Emilie.

- Dziesięć rodzajów deserów, a do picia różowy szampan - powiedziałam, szczerząc zęby.

- *Oh là là!* Spróbowałaś wszystkiego? - dopytywała. Przytaknęłam w odpowiedzi.

- Z kim tańczyłaś? - przyłączyła się głodna szczegółów Hortense. W miarę jak opowiadałam, kolejne dziewczęta podnosiły wzrok

i nie przejmując się niedopiętymi sukniami oraz nienaciągniętymi pończochami, przysłuchiwały się mojej relacji. Nawet Cécile się poddała i podeszła bliżej, żeby wyłapać więcej szczegółów. Nie wspominałam o chwilach, w których byłam odstawiana na boczny tor, lekceważona przez moją klientkę. Te sytuacje wszystkie dobrze znałyśmy i żadna z nas nie miała ochoty ich sobie przypominać.

W końcu pojawiła się Marie-Josée. Wpadła zdyszana do garderoby, a widząc mnie w otoczeniu wianuszka dziewcząt, rzuciła:

- Jeśli właśnie opowiadasz o balu, to przerwij natychmiast. - Ściągnęła z siebie płaszcz. - Ani słowa więcej, dopóki nie otworzę pudełka z ciastkami, potem możesz zaczynać od nowa.

Kiedy wreszcie usiadła między nami i wyłożyła na talerz przekrojone na pół ciasteczka, zaczęłam od początku. Opowieściom o księciu dAvaray towarzyszyły ochy i achy młodszych koleżanek. Diuk bez wątplenia był znany ze swej urody, tak jak Xavier de Rochefort zasłynął na cały Paryż dzięki legendarnemu urokowi osobistemu.

- Jego siostra, Claire, jest częstą bohaterką rubryk towarzyskich
- dorzuciła Cécile. - To najbardziej pożądana debiutantka tego-
rocznego sezonu.

- A jak zachowywała się twoja klientka? - wtrąciła się Marie-Josée. -
Była rozpieszczona i arogancka tak jak ostatnio?

- Tym razem Isabelle pokazała się z dość sympatycznej strony
- przyznałam.

- Powiedz, z kim tańczyła - poprosiła Marie-Josée.

- Wielu prosiło ją na parkiet - powiedziałam. - Bardzo zainteresowany
był Xavier, ale hrabina wolała widzieć swoją córkę z Antoineem,
księciem dAvaray. - Ponownie użyłam jego pełnego imienia i
nazwiska, jako że rozmowa i myślenie o diuku sprawiały mi wielką
przyjemność.

- Pewnie, że wolała - oznajmiła Marie-Josée, przełykając ostatni kęs
ciastka.

- Tylko sobie wyobraźcie jej ślub z księciem - zapaliła się Emilie. - Co
za cudowna para!

Zazdrość, jaka gryzła mnie podczas balu, nagle powróciła. Zdusiłam
ją w sobie, zanim cokolwiek można było po mnie poznać. W moim
przypadku było to uczucie bezcelowe, poza tym nie chciałam być jak
Cécile, wiecznie zadurzona w którymś z konkurentów do ręki swoich
klientek. To byłoby niepoważne.

- To prawda, dobrze razem wyglądają - przytaknęłam.

- Dlaczego hrabina woli dla swojej córki księcia, a nie Xaviera de
Rocheport? - zdziwiła się Hortense. - Przecież on także musi być
bardzo bogaty, wnioskując po tym, jak wspaniały jest pałac jego ojca.

Dobre spostrzeżenie, nad którym do tej pory nie zastanawiałam się
zbyt intensywnie.

- Bogaty to bogaty, prawda? - zauważyłam. W moich oczach obaj byli
tak samo uprzywilejowani.

Cécile wyciągnęła talię kart i rozłożyła ją na stole.

- Księżę wart jest więcej niż wicehrabia - oznajmiła. Znalazła króla kier i położyła go grzbietem do dołu. - Król kier to księżę. Ktoś taki jak hrabina Dubern jest w hierarchii o stopień niżej - tłumaczyła, kładąc obok damę kier. - Wicehrabia zatem będzie jeszcze niżej, to walet. - Obok króla i królowej umieściła trzecią kartę.

- A to jest Xavier de Rochefort - przerwała jej Marie-Josée, kładąc na blacie dziesiątkę kier.

- Nie rozumiem, dlaczego zrobiłaś z niego dziesiątkę, a nie waleta - odezwałam się.

Marie-Josée dotknęła karty pulchnym palcem.

- Xavier jest drugim synem. Po śmierci ojca wicehrabią zostanie jego starszy brat, w związku z czym odziedziczy nie tylko tytuł, lecz także lwią część majątku. Dziesiątka kier musi zadowolić się mniejszym kawałkiem tortu.

Popatrzyłam na rozłożone karty.

- Nie zdawałam sobie sprawy, ile reguł się za tym kryje. - Przypomniałam sobie słowa Isabelle o statusie społecznym i jego znaczeniu dla całej rodziny. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi, a po chwili do garderoby wszedł Laurent.

- Dzień dobry paniom. *Monsieur* Durandeu życzy sobie rozmawiać z Maude. Natychmiast - oświadczył.

Zadrżałam z nerwów. A może był to przypływ ekscytacji? Z niecierpliwością czekałam na wieści od hrabiny. A jeśli poskarżyła się Durandeu, że musiała pożyczyć mi sznur pereł, a ja sama, zamiast stać u boku Isabelle, tańczyłam z księciem?

- W jego biurze? - spytałam Laurenta.

- Nie, jest w salonie, gdzie czyni przymiarki do nowego stroju. Otaczający mnie wianuszek dziewcząt rozstał się i Laurent wyprowadził mnie na zewnątrz. Zanim zamknęłam za sobą drzwi,

rzuciłam okiem na koleżanki. „Jak miło było chociaż raz znaleźć się w centrum zainteresowania” - pomyślałam. Już na korytarzu naszły mnie wątpliwości.

- Wiesz może, z jakiego powodu mnie wezwał? - zapytałam Laurenta, chcąc rozwiać je jak najszybciej.

- Nie mam zielonego pojęcia, moja piękna - odparł. Dotarliśmy przed drzwi prowadzące do salonu. - Ale kiedy przyjmuje krawca, zazwyczaj ma dobry humor. - Laurent mrugnął do mnie porozumiewawczo, a kosmyki włosów opadły mu na czoło, przykrywając długie rzęsy. Otworzył mi drzwi i weszłam do środka.

Durandeu stroszył się przed lustrem sięgającym do podłogi. Miał ręce rozłożone na boki, a krawiec zdejmował z niego miarę. Obok na fotelu leżały tweedowa tkanina i wełniany materiał w szkocką kratę. Obiegłam salon wzrokiem, nieprzywykła do pustej przestrzeni, w której klientki dokonywały swoich wyborów.

- *Mademoiselle* Pichon, za chwileczkę do pani podejść - odezwał się Durandeu na mój widok. - Polowanie wymaga odpowiedniego stroju. Może nie jestem strzelcem wyborowym, ale przynajmniej potrafię zadać szyku.

Czekałam cierpliwie, aż krawiec skończy to, co do niego należało. Myślałam, że podczas polowania liczy się przede wszystkim celne oko, ale cóż mogłam wiedzieć o zwyczajach wyższej klasy?

- Szkocki tweed będzie idealny na luźną marynarkę z paskiem, *monsieur* Durandeu - oznajmił krawiec, zdejmując z fotela próbki materiału, po czym wskazał mi siedzenie. Durandeu, myśląc, że gest jest skierowany do niego, ochoczo zajął miejsce. Gdy krawiec wychodził z salonu, rzucił mi porozumiewawcze spojrzenie.

- A więc... Dokonałaś tego, panno Pichon! - Durandeu zapadł się w miękkich poduchach, ja zaś w tej samej chwili zeszywniałam.

- Dokonałam czego?

- Właśnie otrzymałam kilka słów od hrabiny. - Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął list i pomachał mi nim przed nosem. - Życzy sobie, abyś przez cały sezon pracowała wyłącznie dla jej rodziny. Co za wyczyn!

Z emocji serce załomotało mi w piersiach.

- Przez cały sezon? - powtórzyłam zdumiona. - To znaczy do kiedy?

- Od teraz do przyszłego lata. - Jego przenikliwe oczka się zaświeciły. Nagle wszystko, o czym byłam zdolna myśleć, sprowadziło się do przystojnego księcia i do tego, z kim jeszcze będę miała okazję zatańczyć w tym sezonie.

- Czy wiesz, ile wydarzeń towarzyskich przed tobą? - spytał Durandeu, a jego tłusty podbródek się zatrzęsł.

- Nawet nie potrafię sobie wyobrazić - odrzekłam, kręcąc głową.

- Kilka tygodniowo! Koncerty, opera, bankiety, polowania, a nawet wyścigi konne, jak tylko zrobi się cieplej.

- Kilka tygodniowo... Do przyszłego lata - powtórzyłam. Byłam pewna, że Durandeu liczy w myślach zyski. - Czy to oznacza, że skończyłam już szkolenie? - zapytałam w przyпіywie odwagi.

- Owszem. Sądzę też, że zasłużyłaś na regularne uposażenie. Mecenat hrabiostwa Dubern to dla nas dobrodziejstwo.

Stałam jak oniemiała - tak nagła zmiana dokonała się w moim życiu. Przy takiej liczbie spotkań z Isabelle być może będę mogła sobie pozwolić na wygodniejsze mieszkanie i parę nowych ubrań.

- Pozwól, że przytoczę kilka słów hrabiny z listu, jaki do mnie napisała. - Durandeu przebiegł wzrokiem korespondencję. - Aha, doszło do drobnych perturbacji w związku z *madame Vary*.

- W towarzystwie uchodzi za moją ciotkę.

- Hrabina twierdzi, że jest niechętna do pomocy. Podobno miały jakąś nieprzyjemną sprzeczkę.

Zastanawiałam się, jak blisko w rzeczywistości są ze sobą hrabina i *madame Vary*. Czy ta pierwsza po prostu ją wykorzystwała, żeby przedstawić mnie w swoich kręgach?

- To siłą rzeczy stwarza problem, w jaki sposób dotrzesz do jej córki, nie mając wstawiennictwa swej opiekunki. - Przerzucił kilka stron wypełnionych starannym pismem. - O, mam! *Monsieur Durandeu*, uważam, że powinniśmy przede wszystkim odwołać się do tak zwanego zdrowego rozsądku - czytał na głos. - *Skoro madame Vary jest niedysponowana z powodu swojej rzekomej choroby, pomyślmy logicznie, w jaki sposób mademoiselle Pichon mogłaby uniknąć posądzenia o świadczenie usług na rzecz agencji. Będę ją zatem zapraszała, aby spędzała czas z moją córką. Obie są wszakże w tym samym wieku, dla obu też tegoroczny sezon jest czasem debiutu towarzyskiego. Obecność Pańskiej pracownicy w naszej rodzinie wkrótce stanie się codziennością. W ten sposób będzie mogła przebywać u boku Isabelle oraz brać udział w najprzedniejszych wydarzeniach sezonu bez pośrednictwa madame Vary.* - Przewrócił kartkę i kontynuował: - *Co więcej, nakazuję, by mademoiselle Pichon ubierała się tylko w suknie, które sama jej zapewnię. Powiadomiłam już mojego krawca, aby przed każdym kolejnym wyjściem dostarczał jej specjalną kreację, odpowiednią do rangi wydarzenia.*

- Specjalne kreacje tylko dla mnie ? - zapytałam z westchnieniem.

- *W odpowiedzi na Pańskie pytanie uprzejmie informuję, że w bieżącym sezonie nie będę korzystała z usług pozostałych pracownic Pańskiej agencji. Jako matka muszę przedkładać dobro własnej córki ponad swoje. Z wyrazami szacunku, hrabina Dubern.* - Po przeczytaniu ostatniej frazy *Durandeu* uśmiechnął się i westchnął ze wzruszeniem, choć grzecznościowa formuła, w żaden sposób niewyrażająca

prawdziwego szacunku do jego osoby, była jedynie konwencjonalnym zakończeniem listu. Tak przynajmniej uczono mnie w szkole. Następnie złożył list i podniósł na mnie wzrok.

- No proszę, *mademoiselle* Pichon. I pomyśleć, że na początku nie pokładałem w tobie wielkich nadziei. Udało ci się przewyżżyć moje oczekiwania. Od dzisiaj jesteś naszą stałą pracownicą.

Wydawało się, że powinnam oblać się rumieńcem wstydu na wieść o stałym zatrudnieniu w agencji brzydkich kobiet, ja jednak poczułam przyływ radości. Być może moje dotychczasowe podejście do pracy nie było odpowiednie? Zamiast trząść się ze strachu, raczej powinnam wykorzystać otwierające się przede mną możliwości.

Durandeu jakby czytał w moich myślach. Podniósł się z fotela, podszedł bliżej i wlepił we mnie swoje małe gołębie oczy.

- Tylko teraz, skoro już nam zapewniłaś tak intratny kontrakt, lepiej niczego nie popsuj. - Jego oddech był kwaśny. - Jeśli usłyszę od hrabiny choćby jedno gorzkie słowo na twój temat, choćby delikatny pomruk niezadowolenia...

- Rozumiem, *monsieur* Durandeu.

Wyglądał na nieprzekonanego, jakby nie miał pewności, czy wystarczająco mnie nastraszył.

- Miejsce na twoje ubrania znajdzie się w magazynie obok pracowni *madame* Leroux. Ona sama narzeka, że nie będzie miała gdzie trzymać sukien, jakimi obdaruje cię hrabina.

Nie było dla mnie tajemnicą, jaki jest powód jej niezadowolenia.

- To by było na tyle, *mademoiselle* Pichon. - Durandeu wskazał tłustą ręką w kierunku wyjścia.

Dygnęłam i szybkim krokiem wyszłam z salonu. Zamknęłam za sobą drzwi i oparłam się o nie. Kręciło mi się w głowie na myśl o tym, co mnie czeka, a nadzieja przerodziła się w pewność. Podczas tego sezonu w moim życiu wydarzy się coś niesamowitego. Czułam to.

Rozdział siedemnasty

- Do pokoju nauki mojej córki nie wolno mi nawet zajrzeć - powiedziała hrabina, siedząc przed toaletką zastawioną mnóstwem przeróżnych buteleczek. Służąca pomagała jej w porannych przygotowaniach. Patrzyłam, jak rozplata jej jedwabiste włosy, a grube czarne pukle opadają luźno jeden po drugim.

- Musi wysoko cię cenić, skoro wpuszcza cię do swojego królestwa - stwierdziła, patrząc na moje odbicie w lustrze.

Uśmiechnęłam się nieznacznie. Isabelle, tak jak zapowiedziała, zaprosiła mnie na herbatę. Zanim jednak pojawiłam się w jej pokoju na górze, hrabina poprosiła mnie na prywatną audiencję do swego buduaru.

- Cochet, zostaw nas same.

Służąca rzuciła na mnie ukradkowe spojrzenie, schowała w ozdobnej szkatule szpilki do włosów i wyszła z pokoju. Wewnątrz było gorąco i duszno, a ja wciąż miałam na sobie płaszcz. Przenosiłam ciężar ciała z nogi na nogę.

- Usiądź, Maude. - Hrabina wskazała na taboret. Kiedy zajęłam miejsce, dostrzegłam w lustrze własną twarz. - Pora na drobną pogawędkę. - Pani Dubern uśmiechnęła się, po czym wzięła do ręki

srebrną szczotkę i przeczesala nią grzywkę. Po raz pierwszy widziałam ją z rozpuszczonymi włosami, które czarnymi falami spływały na plecy i opadały na luźny szlafrok. Mnie bardziej przypominała posąg greckiej bogini z Luwru niż człowieka z krwi i kości.

- Wkrótce zostaniesz wtajemniczona w różnego rodzaju informacje.

Przytaknęłam, zastanawiając się, do czego zmierza.

- Możesz mi pomóc, umiejętnie wykorzystując swój wzrok i słuch. Zwyczajna dziewczyna uchodzi za całkiem nieszkodliwą. Nikt nawet nie zauważy twojej obecności.

Szczotka odłożona na toaletkę stuknęła głośno o drewniany blat.

- Z kim Isabelle rozmawia, z kim tańczy, na kogo spogląda? Który z kawalerów ma na nią oko, który zabiega o jej uwagę? Kiedy sama ją o to podpytuję, milczy jak głaz. - Podniosła jeden z flakonów i lekko spryskała szyję perfumami. - Jesteś bystra. Z pewnością wszystko zdołasz zauważyć tymi swoimi oczkami.

Jej przytyk w zestawieniu z wcześniejszym komplementem zanadto mnie nie ubódł. Hrabina przynajmniej uważała, że jestem inteligentna. Podniosła kolejną buteleczkę z kolekcji i wręczyła mi ją.

- Powąchaj - poinstruowała.

Wzięłam flakonik i zdjęłam liliową zatyczkę w kształcie kwiatu. Pełna obaw pociągnęłam nosem.

- Jest bardzo przyjemny - powiedziałam. - Taki wiosenny.

- Nie znoszę go. Zbyt słodki. Zamiast tego hrabia powinien był mi kupić jakąś biżuterię. - Odwróciła głowę na bok. - Możesz to zatrzymać, jeśli chcesz.

Zaskoczyła mnie tym hojnym gestem. Z rozkoszą przyjrzałam się kolorowej buteleczce i motywom kwietnym wyżłobionym na jej ściankach. Z jaką łatwością ten symbol luksusu znalazł się w moim posiadaniu.

- Dziękuję, pani hrabino - wyszeptałam.

Patrzyłam, jak nakłada puder na twarz, a jej skóra powoli zaczyna przypominać marmur.

- Opowiedz mi o balu - poprosiła. - Jakie masz spostrzeżenia?

- Och, było cudownie - zaczęłam.

- Tak, tak - ucięła natychmiast. - Chodziło mi jednak o absztyfikantów mojej córki.

Zawahałam się. Nie byłam pewna, czego ode mnie oczekuje i jak wiele powinnam jej zdradzić.

- No, dalej. Spędziłaś z nią cały wieczór.

- Bez wątpienia księżę ma na nią oko - powiedziałam i czekałam, jak zareaguje. - Xavier de Rochefort również próbował zwrócić na siebie jej uwagę, ale zdaje się, że uwodził wiele pięknych dziewcząt. Miałam też wrażenie, że jest nieco zazdrosny o księcia.

- Ależ oczywiście - obruszyła się hrabina. - Wszak młodszy syn wicehrabiego nawet do pięt księciu nie dorasta. Właśnie, a co z diukiem dAvaray?

- Żywi afekt do Isabelle, tak myślę. Często widziałam ich razem na parkiecie, kiedy akurat nie tańczył z Claire de Rochefort. -Poczułam ukłucie żalu. Wszystko zapamiętałam, ponieważ miałam nadzieję, że księżę ponownie poprosi mnie do tańca.

- Claire de Rochefort? Ech! Ta mdła lala bez polotu! - Na twarzy hrabiny pojawił się wyraz obrzydzenia. - Poczyła z nim jakieś postępy?

- Próbowała, ale ma pustkę w głowie - odpowiedziałam uradowana, że mogę potwierdzić opinię hrabiny. Nie miałam wątpliwości, że jej córka byłaby dużo lepszym wyborem. - Księżę więcej czasu spędził na rozmowie z Isabelle. Oboje zachowywali się tak swobodnie.

Odczuwałam niemałą satysfakcję, mogąc podzielić się z kimś swoimi spostrzeżeniami. Dziewczyny z agencji domagały się jedy-

nie powierzchownych relacji, tymczasem hrabina miała oko wyczu-
lone na szczegóły. Wreszcie ktoś docenił mój zmysł obserwacji. Moja
pracodawczyni postukała paznokciami o blat toaletki.

- Dam głowę, że młoda panna de Rochefort chce wykorzystać brata w
swojej sprawie. On zna się z księciem od lat.

- Zwłaszcza że Xavierowi do gustu przypadła Isabelle, więc tym
chętniej rzuciłby własną siostrę w książęce ramiona - zauważyłam.

- Bardzo dobrze. - Hrabina uniosła brew i przez chwilę bacznie mi się
przyglądała. - Trafna uwaga, Maude. Możesz iść na górę do Isabelle. -
Potrząsnęła dzwoneczkiem, by przywołać służącą, i wyciągnęła twarz
do lustra, naciągając skórę na szyi. - Jak to się mówi? Starość jest
zemstą brzydkich kobiet.

Uderzyła mnie jej uwaga. Czyżby winiła mnie - tylko dlatego, że
jestem brzydka - o upływ czasu, który systematycznie odbierał jej
największy atut: urodę?

Do pokoju weszła Cochet. Dygnęła.

- Tak, proszę pani?

- Zaprowadź Maude do pokoju nauki Isabelle - zażądała hrabina, nie
patrzając w jej stronę.

Wsunęłam flakonik perfum do kieszeni płaszcza i zostawiłam hrabinę
w buduarze.

Gdy podążałam za Cochet na górę, ogarnęły mnie wątpliwości.
Martwiłam się, że opowiadając hrabinie o Isabelle, w zbyt różowym
świecie przedstawiłam jej relację z księciem. Ponownie przebiegłam w
pamięci to, co działo się między nimi na balu, i doszłam do wniosku, że
każde słowo, jakie przekazałam hrabinie, było zgodne z prawdą. Nie
okłamałam jej. Gryzła mnie jedynie świadomość, że nie powiedziałam
całej prawdy. Pominęłam chociażby

niechęć Isabelle do zostania księżną. Uznałam, że ujawnienie tej informacji byłoby nierozsądne. Poza tym Isabelle musiałaby mieć serce z kamienia, żeby w końcu nie ulec czarowi księcia, jego życzliwemu spojrzeniu, fantazyjnemu umundurowaniu... A może jej bunt był tylko na pokaz?

Służąca zatrzymała się na szczycie schodów i gestem wskazała mi drzwi na końcu korytarza.

- Pokój lekcyjny *mademoiselle* Isabelle - oznajmiła.

- Dziękuję - odpowiedziałam, jednak ta już była w drodze na dół. Podeszłam do drzwi i zapukałam.

- Chwileczkę! - usłyszałam głos Isabelle dochodzący ze środka.

- Pod żadnym pozorem nie wchodzić!

Jakaż ona była dramatyczna! Przewróciłam oczami, ale nie nacisnęłam klamki. Krążąc po korytarzu tam i z powrotem, przypomniałam sobie naszą ostatnią rozmowę. Umierałam z ciekawości, co też odróżnia ją od pozostałych dziewcząt z wyższych sfer.

Minęło kilka minut, nim drzwi się otworzyły, a w progu ciemnego pokoju stanęła Isabelle.

- Nie mogłam pozwolić ci wejść wcześniej, wpuściłabyś jasność

- oznajmiła na powitanie.

Weszłam do środka. Jedyne źródłem światła była samotna świeczka, zapalona przed chwilą. W mroku dostrzegłam potężny drewniany stół, na którego blacie poniewierały się różnego rodzaju przedmioty, okna zaś były przysłonięte grubymi kotarami. Nie od razu dowiedziałam się, dlaczego cały pokój tonie w tak upiornych ciemnościach.

- Czy to sabat czarownic? - rzuciłam dla żartu. - Komnata do nauki magii, zaklęć i czarów?

- Służąca odprowadziła cię tylko do szczytu schodów, prawda?

- zapytała. - Myślę, że ten pokój jest nawiedzony, a ja jestem opę-

tana. - Śmiejąc się, rozsunęła stopy, poluzowany kosmyk włosów opadł jej na czoło. - Na dzisiaj skończyłam składanie ofiar.

Okna były brudne, a drobiny kurzu tańczyły wokół nas w promieniach słońca wpadających do środka. Nie ulegało wątpliwości: służąca nieczęsto tu zaglądała. Teraz, kiedy już lepiej widziałam, gdzie jestem, weszłam głębiej do pomieszczenia. Obok szerokiego stołu, nieopodal okien, stały pod ścianą regały na książki, a w dalekim rogu znajdowało się biurko. W drugim końcu pokoju przed kominkiem ustawiono dwa fotele.

Podeszłam do półek zastawionych przedmiotami, których moje oczy dotychczas nie widziały. Szklane klosze; butelki różnych kształtów i rozmiarów, wypełnione tajemniczymi płynami; rośliny; liczne rysunki gatunków flory; motyle i inne dorodne owady, zamknięte na wieczność w gablotach ze szkła. A między tymi kuriozami pokaźna liczba książek. Przebiegłam wzrokiem ich grzbiety; były tam woluminy dotyczące wielu gałęzi nauki: botaniki, chemii, historii i architektury Rzymu. Na obu krańcach regału stały globusy. Zakręciłam jednym z nich, przechodząc dalej.

- Przepraszam za ten nieporządek - powiedziała Isabelle. - Zazwyczaj nie przyjmuję tu gości.

Zgarnęła papiery w jeden róg biurka. Na półce umocowanej powyżej stał przedmiot wielkości zegara kominkowego, nie zauważyłam jednak ani tarczy, ani wskazówek. Podeszłam bliżej, by przyjrzeć mu się uważnie. Był wykonany z mosiądzu, a stojącą obok otwartą skrzyneczkę wyłożono ciemnozielonym aksamitem.

- Mikroskop mojego ojca - poinformowała Isabelle, widząc, jak się weń wpatruję. - To jeden z antyków, ma ponad sto lat. Nie sądzę, żeby mu go brakowało. Kolekcjonowanie przedmiotów sprawia mi przyjemność, chociaż z większości nie czyni żadnego pożytku.

- Do czego to służy? - zapytałam z podziwem.
- Do badania roślin.
- Nigdy nie widziałam takiej pracowni - oznajmiłam oniemiała i zdałam sobie sprawę, że to jest prawdziwy pokój Isabelle, przestrzeń urządzona wedle jej upodobań, naznaczona jej osobowością. Jej sypialnia zaś to odbicie tego, kim powinna być w oczach matki. Słodką kobietką.

Odwróciłam się do ogromnego stołu zafascynowana osobliwymi przedmiotami, które zapełniały blat: poszczerbionymi naczyniami z porcelany, żelaznymi spinaczami i drewnianymi pudełkami pełnymi metalowych części. Czy ona naprawdę korzysta z tego wszystkiego?

- Usiądź, proszę - zaproponowała Isabelle, wskazując na stołek przy ławie.

- Do czego potrzebne ci te wszystkie rzeczy? - spytałam, pokazując palcem pudełka.

- Do aparatów fotograficznych. Chcesz wiedzieć, jak to działa?

- Wiesz, jak się robi zdjęcia? - Nie mogłam wyjść ze zdumienia. - A co fotografujesz?

- Właściwie wszystko. Ale najbardziej pociąga mnie proces chemiczny, który się za tym kryje.

- To niesamowite - powiedziałam, gładząc równą powierzchnię drewnianej skrzynki leżącej naprzeciwko mnie.

- Chcesz? Zrobię ci jedno. - I zanim zdążyłam odpowiedzieć, już rozpoczęła przygotowania.

- Jeszcze nigdy nikt nie robił mi zdjęcia. - Nie bardzo mi się podobał ten pomysł. - To takie ekstrawaganckie - szepnęłam.

- Daj spokój, ściągnij płaszcz, a resztę zostaw mnie.

Ja jako modelka! Isabelle najwyraźniej nie dostrzegła absurdalności tej sytuacji i zajęła się ustawianiem sprzętu. Przewiesi-

łam płaszcz przez oparcie krzesła. Czułam się trochę niezręcznie, zachowywałam się bowiem tak swobodnie jak u siebie w domu.

- Twoja guwernantka jest ambitna, jeśli chodzi o program nauczania.
- Nie mam już guwernantki. - Isabelle zamocowała drewnianą skrzynkę aparatu na trójnożnym statywie. - Matka pozbyła się jej tuż po rozpoczęciu sezonu. Oznajmiła, że teraz nie będę miała czasu na naukę, ponieważ czeka mnie intensywne życie towarzyskie. Ale to nie jest zwykła edukacja, Maude. - Odgarnęła włosy z czoła. - Sama sobie wymyśliłam program. Weź stołek i usiądź pod oknem. Potrzebujemy więcej światła.

Posłuchałam jej polecenia. Isabelle pochyliła się za aparatem tak, że nie widziałam jej głowy.

- Przybliź się troszkę do mnie i przesun kilka centymetrów w prawo.
- Długo nie będę mogła się ruszać? - spytałam, zmieniając pozycję.
- Nie martw się. - Wychyliła głowę. - Nie mam zamiaru unieruchamiać ci głowy kleszczami. Czas ekspozycji to zaledwie kilka sekund. To niedużo w porównaniu z minionymi czasami.

- Jak wyglądam? - zapytałam nieufnie. - Możesz mnie przez to zobaczyć?

- Mogę, ale jesteś do góry nogami. - Ponownie dała nura za obiektyw. Sfotografuję cię od czubka głowy do ramion. Klasyczny portret.

Spojrzałam prosto w skrzynkę. Czarne oko obiektywu także na mnie łypnęło. Isabelle uniosła cienką drewnianą ramkę i wpasowała ją w obudowę aparatu. - Rozluźnij się - powiedziała. - Pomyśl o czymś przyjemnym i pozostań w bezruchu.

Cofnęłam się myślami do balu, kiedy księżę właśnie wyciągał do mnie rękę, prosząc do tańca.

- Raz, dwa, trzy! - krzyknęła Isabelle i zdjęła osłonę przykrywającą obiektyw.

Zatrzymałam się przy swoich wspomnieniach. Widziałam jego uśmiech; czułam, jak trzyma moją dłoń.

- Już po wszystkim - oznajmiła Isabelle, na powrót zakrywając obiektyw.

Poleciła mi zasłonić kotary i zniknęła w garderobie. Jak się dowiedziałam, owa drewniana ramka przytrzymywała szklaną płytkę, na której znajdował się negatyw. Minuty mijały, a ja czekałam w całkowitej ciemności, aż Isabelle wywoła fotografię. Wzmagał się zapach chemikaliów, od którego kręciło mi się w nosie, a oczy zachodziły łzami.

Czy matka Isabelle wiedziała, co robi jej córka? Gdyby Marie-Josée przyjmowała zakłady, obstawiałabym, że nie. Drzwi do garderoby zaskrzypiały, usłyszałam zbliżające się kroki.

- Rozsuń kotary, Maude.

Przeciągnęłam ciężkie zasłony i zmrużyłam oczy od wpadających promieni słonecznych. Odwróciłam się i ujrzałam idącą w moją stronę Isabelle, która wymachiwała kliszą. Na sukienkę zarzuciła bawełniany fartuch, na dłoniach miała gumowe rękawiczki. Oczy płonęły jej radośnie, twarz promieniała entuzjazmem. Stanęła przy oknie i uniosła kliszę do światła.

- Popatrz.

Pomimo że wcześniej stawiałam opór, teraz byłam wyraźnie zaciekawiona. Wyciągnęłam szyję w kierunku tajemniczego negatywu, na którym znajdowało się moje odbicie. Przedziwne uczucie wiedzieć, że ta zjawa o białych włosach i ciemnej twarzy to ja.

- A teraz najlepsze. Wywoływanie - oświadczyła Isabelle. -Znowu musimy zasłonić okna i zapalić świecę w tej czerwonej lampce.

- Czerwone światło?

- Papier, na którym powstanie odbitka, jest bardzo czuły na światło dzienne, ale czerwone mu nie szkodzi.

Nic z tego nie rozumiałam, lecz zapaliłam lampkę i zaciągnęłam zasłony. Natychmiast otoczyła nas piekielna, złowieszcza poświata. Gdybym to ja była służącą w rezydencji państwa Dubern, też bałabym się przychodzić do pokoju na piętrze.

- Wyglądasz upiornie - powiedziałam. Isabelle uśmiechnęła się; całą jej uwagę zajmowała obecnie drewniana ramka.

Umieściła w niej szklany negatyw, a następnie przykryła go kawałkiem papieru wyjętym ze szczelnego opakowania. Drewniana ramka scalała oba przedmioty. Isabelle zerknęła na przymocowany do fartucha zegarek i szeroko rozsunęła kotary. Następnie oparła ramkę o okno, przez które wpadały promienie słońca.

- Co się dzieje? - spytałam, przypatrując się całemu procesowi.

- Naświetlam odbitkę. Światło, które przechodzi przez kliszę, przenosi obraz z negatywu na papier. To zajmie około dziesięciu minut.

- Gdzie nauczyłaś się tego wszystkiego? - Potrząsnęłam głową oniemiała.

- Mój wujek podarował mi ten aparat, a przy okazji kilka dobrych rad.

- Ponownie spojrzała na zegarek. - Pomogła mi też guwernantka, zanim matka odesłała ją z kwitkiem. To ona wprowadziła mnie w świat nauki, zamówiła książki i wszystkie niezbędne pomoce. Oczywiście wszystko za plecami matki.

- A ona myśli, że jakie nauki pobierasz?

- Jest przekonana, że uczę się wszystkich kobiecych czynności. Płacę Geneviève, naszej pokojówce, żeby haftowała za mnie chusteczki i poduszki. Czasami dla świętego spokoju pobrzdam na pianinie lub pouczę się włoskiego.

Pokręciłam głową. Ta dziewczyna rzeczywiście potrafiła mnie zaskoczyć. Najpierw nadąsana panienka z bogatego domu, póź-

niej niechętna balom panna na wydaniu, a teraz zapalony sekretny naukowiec. Za każdym razem, kiedy już myślałam, że wiem, z kim mam do czynienia, ona znów wyprowadzała mnie z błędu.

Kolejne minuty spędziła na przelewaniu płynów do porcelanowych kuwet, mnie zaś kazała pilnować zegarka.

- Czas minął - powiedziałam po dziesięciu minutach. Isabelle wyjęła drewnianą ramkę i oceniła postępy swojej pracy. Zasłoniłam szczelniej okno, żeby ani jeden promyk słońca nie wślizgnął się do pokoju.

Po raz kolejny skąpałyśmy się w niesamowitym czerwonym świetle. Zafascynowana patrzyłam, jak Isabelle otwiera ramkę i zerka na papier, teraz już pokryty obrazem. Zanim jednak i ja zdążyłam rzucić nań okiem, szybko zanurzyła zdjęcie w kuwecie z roztworem. Opłukała papier i przełożyła go do drugiego pojemnika, w którym znajdował się płyn pachnący niczym trucizna. Umieściła w nim fotografię i wstrząsnęła kuwetą, tak aby pokryć cieczą każdy fragment papieru.

Mijały kolejne minuty, a ja - pełna napięcia - wyciągałam szyję, by zobaczyć choć kawałek zdjęcia, Isabelle jednak przysłaniała mi widok. Nie wspominając o czerwonym świetle i zmarszczkach na powierzchni płynu, które skutecznie uniemożliwiały podglądanie.

- Możemy odsłonić okno i zgasić świeczkę. Zdjęcie jest gotowe, więc światło już mu nie zaszkodzi.

Zrobiłam, o co prosiła. Ona tymczasem nalała z dzbanka wody do kolejnej kuwety, zanurzyła w niej papier i opłukała go delikatnie.

- Mogę w końcu spojrzeć? - spytałam, umierając z ciekawości. Była to moja pierwsza fotografia w życiu.

- Jak tylko obeschnie - powiedziała Isabelle. - Zamówię herbatę i pokażę ci moje wcześniejsze zdjęcia.

Umieściła wilgotny papier na suszarce wykonanej z płótna i drutu.

- Musi tu trochę poleżeć - wyjaśniła. - Gdybym go powiesiła, po wyschnięciu by się zmarszczyły.

Patrząc na nią, zdałam sobie sprawę, że jeszcze nigdy nie widziałam jej tak szczęśliwej. Poruszała się pewnie, z cieniem uśmiechu na twarzy. Wyglądała promiennie, jakże inaczej niż na balu, kiedy miała na sobie bufiastą suknię i błyszczącą biżuterię. Teraz dopiero była w swoim żywiole.

Po tym, jak zadzwoniła dzwonkiem po służącą, rozsiadłyśmy się w fotelach ustawionych na końcu pokoju, a ona wyciągnęła zdjęcia i rozłożyła je na stole. Wzięła w dłoń fotografię przedstawiającą orchideę.

- To moja pierwsza. Zaczęłam od modeli, które nie mówią i się nie poruszają. - Wybuchła śmiechem, ale nie potrafiłam stwierdzić, czy jest dumna ze swego dokonania.

Pochyliłam się nad zdjęciami. Jedno z nich przedstawiało kobietę o stoickim wyglądzie.

- Kto to jest?

- *Madame* Ferrand, nasza kucharka. To ona dała mi te wszystkie porcelanowe naczynia na chemikalia i wykradała dla mnie jajka z kuchni, żebym miała białko do odbitek albuminowych.

- Ma bardzo ciekawą twarz - skomentowałam, przyglądając się jej prostemu spojrzeniu i głębokim bruzdom zmarszczek na czole. Z pewnością nieobca jej była ciężka praca. Przypominała mi mieszkańców moich rodzinnych stron. Isabelle wyciągnęła duplikat portretu.

- Widzisz te zagięcia na brzegach? To dlatego, że niedokładnie rozprowadziłam emulsję. Kiedy robiłam drugą odbitkę, naprawiłam ten błąd. - Pokazała palcem zdjęcie, które trzymałam w dłoni.

- Nawet to wadliwe wygląda pięknie - powiedziałam. Przypominało mi fotografię mojej matki. - Jasne brzegi nadają jej bardziej promienny wygląd, nie sądzisz?

Przyjrzała się uważnie obu odbitkom.

- Nie myślałam o tym w ten sposób. - Spojrzała mi w oczy i uśmiechnęła się. - Zamiast logiki naukowca masz duszę artysty.

Ktoś zapukał do drzwi pracowni.

- Zostaw herbatę na zewnątrz, Geneviève - krzyknęła Isabelle zniecierpliwiona.

- *Mademoiselle* Isabelle - odezwała się służąca zza zamkniętych drzwi - hrabina prosi, by po herbacie włożyła panienka oficjalny strój. Za godzinę przyjdą goście z wizytą.

Isabelle poderwała się, otworzyła z impetem drzwi i wzięła tacę z rąk służącej.

- Hrabina mówi, aby panienka włożyła suknię w niebieskie wzory. Przygotowałam ją dla panienki - powiedziała służąca i wsadziła głowę do pokoju. - *Mademoiselle* Maude, hrabina zamówiła powóz, który odwiezie panienkę do ciotki.

- Dziękuję - odparłam płaskim głosem. Nawet nie zauważyłam, kiedy minęło popołudnie, i wcale nie było mi śpieszno do wyjścia.

Isabelle zatrzasnęła drzwi nogą i wróciła do mnie. Filiżanki zadźwięczały, gdy stawiała tacę na stole.

- Ciągłe psują mi szyki. - Westchnęła, opadając na fotel. - Matka zawsze coś wymyśli, żeby tylko zająć mi czas. Wizyty, wyjścia, spotkania... - Nalała herbatę do filiżanek. - Cukru?

- Jedną łyżeczkę poproszę.

Wymieszała cukier i podała mi filiżankę. Przez pewien czas piłyśmy w milczeniu. Hrabianka miała strapioną minę, jakby zastanawiała się nad rozwiązaniem jakiegoś palącego problemu.

- Maude, mogę cię o coś poprosić? - odezwała się w końcu ostrożnie, wlepiając oczy w spodek.

- O co chodzi? - zapytałam półszepem.

- Zanim matka wyrzuciła moją guwernantkę, ta pomagała mi przygotować się do egzaminu maturalnego. Trzeba go zdać, żeby dostać się na uniwersytet. - Spojrzała na mnie. - Chciałabym studiować nauki ścisłe na Sorbonie. - Jej duże ciemne oczy wpatrywały się we mnie z powagą.

Rozejrzałam się po pokoju. Urządzenia do przeprowadzania eksperymentów, własny program nauczania, wszystko układało się w jedną całość. To nie był pokój znudzonej życiem arystokratki. Wszystko, co robiła, było podporządkowane konkretnemu celowi. Cóż za odwaga!

- Studia? Na uniwersytecie? - Słowa ugrzęzły mi w gardle. To było tak odległe od tego, co mogłam sobie wyobrazić.

- Matka nie może się dowiedzieć - ciągnęła. - Nie uznaje edukacji dziewcząt. Ale ty możesz mi pomóc w nauce, asystować przy eksperymentach, przepytować mnie z zagadnień, które muszę opowiadać. - Zamilkła na chwilę. - Pomyślałam, że zechcesz mi pomóc
- dodała z nadzieją w głosie.

W głowie miałam tylko jedno: hrabina nie może się dowiedzieć. Kolejna tajemnica, kolejny poziom zakłamania. Grałam na zwłokę.

- Po tym, jak odeszła guwernantka... Czy twoja matka domyśla się, co tu robisz? - spytałam.

- Ona nie jest tego zbyt ciekawa. - Isabelle przewróciła oczami.

- Gdybym przez pięć minut siedziała z kawalerem w salonie, natychmiast zażądałaby sprawozdania. Tutaj - skinęła głową na zawalony stół - są tylko książki i niegroźne starocie. - Uśmiechnęła się szelmowsko.

- Ale dlaczego ja?

- Jesteś inna od pozostałych dziewczyn w naszym wieku. Wiem, że mogę ci zaufać.

Ścisnęło mnie w sercu. Byłam oszustką.

- Ale ja nie znam się na nauce. W wiosce... To znaczy w klasztorze odebrałam bardzo skromną edukację.

- Jesteś ciekawa świata. Przyjechałaś do Paryża zobaczyć coś więcej, a nie tylko znaleźć męża - powiedziała Isabelle miękko i wzruszyła ramionami. - Może jesteś tak samo niedopasowana jak ja.

Po tych słowach poczułam się już całkiem jak zdrajczyni. Ogarnęła mnie fala mdłości, odstawiłam filiżankę.

- Pomożesz mi, Maude? - Wpatrywała się we mnie ciemnymi oczami w oczekiwaniu na odpowiedź.

Obleciał mnie strach, próbowałam odsunąć od siebie myśl o okłamywaniu hrabiny, mojej pracodawczyni. A jednak w Isabelle było coś, co zbliżało mnie do niej. Ścisnęłam kolana, jakbym chciała zebrać się w sobie.

- Oczywiście, że ci pomogę. - Wysiliłam się na uśmiech. Logika podpowiadała mi, że pomoc Isabelle tylko scali naszą

przyjaźń, co wzmocni także moją pozycję antydamy. A to mogło spodobać się hrabinie. Isabelle popatrzyła na mnie z wyrazem ulgi.

- Twój portret! - krzyknęła nagle. - Z pewnością jest już gotowy.

Podeszła do stołu i wyjęła fotografię z suszarki. Przez chwilę przyglądała się zdjęciu, po czym mi je podała.

- I co o tym sądzisz?

Wzięłam włóknisty papier i wpatrzyłam się w uwiecznioną na nim postać, w jej tak dobrze mi znane, niewyróżniające się niczym rysy.

- To dziwne patrzeć na siebie jak na obcą osobę - powiedziałam. Moje oczy, poważne i szczerze, spoglądały w dal. Nie mogłam

tylko dociec, która Maude była na fotografii. Powiernica Isabelle czy jej antydama?

- Zastanawiam się teraz, czy nie powinnam była naświetlać go parę sekund dłużej. - Isabelle spojrzała mi przez ramię i pokazała palcem fragment zdjęcia. - Kilka szczegółów z prawej strony twojej twarzy wyszło niewyraźnie.

- Nie sądzę, aby moja pospolita twarz potrzebowała więcej szczegółów - odparłam, próbując zabrzmieć swobodnie. Nie było to przyjemne, lecz nie mijalo się z prawdą.

- Jesteś zbyt interesująca, by uchodzić za pospolitą - sprzeciwiła się gwałtownie Isabelle. - Wyobraź sobie, gdyby na tym zdjęciu była Claire de Rochefort. Już widzę tę zarozumiałą minę, pretensjonalną fryzurę i tępy wyraz twarzy.

Nie mogłam powstrzymać się przed wybuchem śmiechu.

- Zrobię dla ciebie odbitkę. - Wzięła ode mnie zdjęcie i schowała je do albumu.

- Teraz już oficjalnie jesteś częścią mojej kolekcji. - Uśmiechnęła się szeroko, a ja widziałam, jak opada z niej ostatnia maska i oto stoi przede mną ta prawdziwa, rzeczywista Isabelle.

Po herbacie, gdy tylko powóz odjechał sprzed domu hrabiostwa i skręcił w główną ulicę, wsunęłam rękę do kieszeni płaszcza. Flakonik perfum wciąż tam był. Wyjęłam go, wyciągnęłam zatyczkę i powąchałam. Pachniały słodko, intensywnie i dekadentcko. Tak jak powinien pachnieć luksus. Zaaplikowałam sobie jedną kroplę na szyję, a drugą za ucho. Tak jak robiła to hrabina Dubern.

Rozdział osiemnasty

Powóz państwa Dubern przywiózł mnie do agencji, gdzie - zanim wróciłam do domu - zmieniłam ubranie. Tego wieczoru ulicę de Rennes wypełniali ludzie, listopadowe powietrze było chłodne, a niebo - kruczoczarne. Światła migające w ciemności ożywiały najbliższą okolicę. Życie w Paryżu bynajmniej nie zamierało wraz z nadejściem nocy. Z barów i restauracji, które mijałam po drodze, aż na chodnik sączyła się muzyka wygrywana na pianinach, a na każdym rogu wisiały plakaty i ogłoszenia informujące o nowych występach w kabaretach i teatrach.

Powóz zatrzymał się tuż przed moim nosem. Zauważyłam go dopiero wtedy, kiedy drzwi otworzyły się z impetem, a znajomy głos krzyknął:
- Maude! Pojedź ze mną do Le Chat Noir!

Paul. Przez chwilę stałam jak skamieniała, serce waliło mi jak młotem. Przygłodziłam spódnicę i odgarnęłam za ucho kosmyk włosów.

-No, wskakuj! - namawiał. Konie parskały głośno, stukając kopytami o bruk, jakby też mnie ponaglały.

W ostatnim czasie Paryż oklejony był afiszami sławnego kabaretu Czarny Kot, który znajdował się w dzielnicy Montmartre. Miejsce to słynęło nie tylko z artystów, lecz także z teatru cieni. Jaka szkoda, że

nie mogłam zamienić swojej skromnej spódnicy na którąś z modnych sukni hrabiny. Ale przynajmniej miałam perfumy I z tą pocieszającą myślą wsiadłam do powozu.

- Dokąd to zmierzałaś? - zapytał Paul.

- Do domu, wracałam z pracy. Mieszkam niedaleko stąd, na ulicy du Regard.

- Późno kończysz jak na guwernantkę.

Wszystko, co mogłam zrobić, to uśmiechnąć się i szybko zmienić temat:

- Jak udał się koncert w zeszłym tygodniu? Żałuję, że nie mogłam przyjść.

- Lubisz muzykę, prawda?

- Dotychczas nie miałam wielu okazji, by słuchać jej na żywo, na przykład podczas koncertów - powiedziałam z westchnieniem i spojrzałam w dół. - Sporo pracuję. Sam pan rozumie...

Powóz szarpał i podskakiwał, sunąc ulicami lewego brzegu. Przejechaliśmy przez rzekę i dalej prawym brzegiem udaliśmy się na północ w kierunku Montmartre. Paul przysunął się bliżej.

- Prawdziwy miłośnik tworzy własną muzykę - powiedział. - Masz jakąś piosenkę, którą lubisz śpiewać najbardziej?

- Nie śpiewam. - Potrząsnęłam ze śmiechem głową. - W ogóle nie jestem muzykalna.

- Daj spokój, na pewno znasz na pamięć choć jedną. - Nie odrywał ode mnie oczu.

Zastanawiałam się przez chwilę.

- Znam kilka piosenek z moich stron. - Wzruszyłam ramionami bez przekonania. - Język bretoński jest bardzo melodyjny Dla kogoś z zewnątrz może brzmieć nieco chropowato i nie tak ładnie jak francuski. Dla mnie jednak zawsze na swój sposób pozostanie bardziej uczciwy.

Paul oparł się z uśmiechem o siedzenie.

- Wiedziałem - powiedział. - Nie jesteś żadną guwernantką.
-Zamarłam na moment. - Jesteś poetką. - Wyszczrzył zęby.

Uśmiechając się tajemniczo, wyjrzałam przez okno i wpatrywałam się w kręte, wąskie uliczki i wynędzniałe zaułki, które mijaliśmy. Montmartre - stolica grzechu, nałogów i bohemy. Nareszcie znajdę się w miejscu, które dotychczas znałam tylko z opowieści. Poczułam zew przygody.

Jeśli bal, na którym towarzyszyłam Isabelle, był pokazem niewidzialnych reguł i idealnej choreografii, to wizyta w Le Chat Noir stanowiła jego całkowite przeciwieństwo. Tam nie obowiązywały żadne zasady. Gdy tylko weszliśmy do środka, uderzyły nas chmura dymu i wszechobecny hałas. Zupełnie znikąd wyłonił się wesoły tęgi mężczyzna.

- Zapraszam do środka, proszę zajmować dowolne miejsca -zagrzmiął tubalnym głosem. - U nas żadna hierarchia nie istnieje, no, chyba że intelektualna. - Szerokim gestem wskazał pozajmowane stoły wokół nas. Lokal był pełen klientów, trudno było gdziekolwiek wetknąć choćby szpilkę.

Paul chwycił moją dłoń i zaczęliśmy przedzierać się przez tłum w poszukiwaniu miejsca, gdzie moglibyśmy spokojnie stanąć. Trzymałam się go kurczowo, by nie utonąć wśród miazdzącej, napierającej nieustannie fali klientów. Jak tylko ktoś mocniej mnie potrącił, mój policzek ocierał się o rękaw Paula, a ja marzyłam, aby czas stanął w miejscu.

Salę udekorowano najosobliwszymi przedmiotami: tarczami herbowymi, mieczami, wypchanymi głowami zwierząt. Całe rzędy zabytkowych stołów zajęła różnorodna klientela, tak różnaita jak ornamenty zdobiące ściany. Część sprawiała wrażenie zamożnych, może nawet przedstawicieli burżuazji, inni zaś, charakteryzujący

się specyficznym stylem, wyglądali na nonszalanckich artystów. Dostrzegłam nawet kobietę w spodniach, kołnierzyku i krawacie.

Ktoś z tłumu klepnął Paula w ramię. Podskoczyłam; nasz mały intymny świat został brutalnie rozbity. Rozpoznałam twarz człowieka z ŁAcademie - był to pijak Claude. Paul natychmiast wypuścił moją rękę, żeby przywitać się z przyjacielem, a ja podryfowałam w morze artystów.

Claude zaprosił nas do swojego stolika, gdzie zostaliśmy sobie przedstawieni. Wyglądał, jakby widział mnie pierwszy raz w życiu. Zawołał kelnera odzianego w krzykliwy strój wojskowy.

- No więc? - Ten wskazał głową na mnie.

Nie miałam pojęcia, co w takim miejscu wypada zamówić. Ojciec w domu pijał wyłącznie cydr. Zerknęłam na sąsiednie stoliki, stały na nich absynt, piwo i wino.

- Wino - odpowiedziałam błyskawicznie.

- Czerwone czy białe? - dopytał niecierpliwie.

- Czerwone - rzuciłam tylko dlatego, że właśnie takie sączyła kobieta siedząca nieopodal.

- W takim razie karafkę medoca i trzy szklanki - oznajmił Paul.

- Cztery - odezwał się kobiecy głos. Spojrzeliśmy do góry. Przy stoliku stała Suzanne. - Ale nie zostanę, jeśli będziecie rozmawiać o polityce.

Serce mi zamarło, kiedy Paul podniósł się i pocałował ją w policzek. To samo zrobił Claude.

- Polityka to mój chleb powszedni, kochanieńka - powiedział ten drugi. - Gdyby nie ona, dziennikarz nie miałby co jeść.

Paul mnie przedstawił. W panującym gwarze Suzanne pewnie nawet nie usłyszała mojego imienia. Podała mi dłoń, po czym wślizgnęła się na miejsce obok mojego towarzysza. Claude przypalił jej papierosa. Zaciągnęła się, by po chwili wyciągnąć do góry łabędzią

szyję i wydmuchać chmurę białego dymu ponad naszymi głowami. Tak właśnie wygląda nonszalancja.

- Jak wystawa? - spytał Paul. Suzanne odrzuciła głowę do tyłu.

- Znajomy Claudea z „Le Figaro” napisał, że moje obrazy są dziecinne i pospolite. - Jej słowa wzbudziły falę sprzeciwu ze strony dwóch mężczyzn. - I jeszcze miał czelność powiedzieć mi to w twarz! Dureń! - Ponownie zaciągnęła się papierosem.

Patrzyłam na nią z rosnącym zauroczeniem. Ta kobieta łamała wszelkie zasady zachowania, jakie wpajano nam w agencji. Paliła publicznie, przeklinała, wykonywała swobodne gesty, nie ukrywała swojej silnej osobowości. Czułam, jak znikam, zapadam się, odpływam na dalszy plan niczym młodsza, lekceważona siostra, która przyczepiła się do starszego rodzeństwa.

Kelner przyniósł karafkę wina, stuknęliśmy się lekko kieliszkami. Wzięłam pierwszy łyk. W smaku było kwaśne jak ocet, ale bardziej gęste. Paliło mnie w gardle. Po kilku kolejnych pociągnięciach postanowiłam, że nie pozwolę, by moja obecność nadal pozostawała niezauważona.

- Paul, jak panu idzie komponowanie?

Czekałam, aż odpowie, ale moje pytanie zawisło w próżni. Paul w ogóle mnie nie usłyszał i niespiesznie sączył wino, wodząc wzrokiem po lokalu. Nie powinnam była poczuć się urażona, a jednak coś mnie ukłuło. Claude dolał nam wina i uniósł pustą karafkę.

- Kelner, wina - krzyknął, wymachując nią w powietrzu. Nagłe poruszenie zwiastowało rychłe rozpoczęcie spektaklu

cieni. Na scenie zainstalowano wymyślnie obramowane białe tło, na którym dzięki kolorowemu światłu miały się ukazać postacie wycięte z czarnej cynkowej blachy. Wieczorne przedstawienie

miało przybliżyć widzom postać wielkiej aktorki lub - jak mawiali niektórzy - wybitnej paryskiej skandalistki Sary Bernhardt.

- Uważacie, że jest piękna? - rzuciła pytanie Suzanne.

- Jak dla mnie zbyt wychudzona - odezwał się Claude. Speszyłam się. Z pewnością byłam bardziej koścista niż Sarah Bernhardt.

- Jest znana - podkreślił Paul.

- Czy lepiej być pięknym i nikomu nieznanym, czy też szpetnym, lecz popularnym? - zapytała Suzanne, patrząc na mnie. - Co o tym sądzisz, Maude?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Miałam wrażenie, że zwraca się do mnie jedynie po to, by poniżyć mnie w towarzystwie, całkiem nieświadoma, że poruszanie w mojej obecności kwestii piękna i brzydoty oznacza stąpanie po grząskim gruncie.

- Cóż to? Zaniemówiłaś?! - ryknął Claude.

- To zależy, co rozumiecie pod pojęciem piękna. - Paul przyszedł mi w sukurs. - Czyż dla każdego nie jest ono czymś innym?

- Być może ludzie są na tyle piękni, na ile tego potrzebują - odezwałam się w końcu.

- Jakież to nowoczesne. - Suzanne pociągnęła łyk wina i położyła rękę na oparciu krzesła Paula, jakby chciała podkreślić, że to jej własność.

Rozpoczęło się przedstawienie, więc oczy wszystkich zwróciły się w stronę sceny. Poczułam ulgę, że rozmowa została przerwana. Udając zainteresowanie spektaklem, myślałam tylko o tym, jak wielką radość sprawiła mi wspólna przejażdżka z Pauliem w jednym powozie, a wyobrażenie o czekającym mnie wieczorze rozplynęło się w zetknięciu z twardą rzeczywistością.

Rozdział dziewiętnasty

- *Madame Leroux!* - krzyczałam, waląc w drzwi pracowni krawieckiej. Nie otrzymawszy odpowiedzi, spojrzałam pytającym wzrokiem na Marie-Josée.

- Po prostu wejdź. - Szturchnęła mnie. - No, dalej. Wiem, że tam jest.

Przekręciłam klamkę i wsunęłam głowę do środka. Marie-Josée pchnęła drzwi i otworzyła je na oścież. *Madame Leroux* rozwijała właśnie zwój zielonego materiału i zdawało się, że za chwilę utonie w jego falach. Podeszłam do niej z uśmiechem przyklejonym do twarzy

- Czy ma pani klucz do magazynku? Spojrzała na mnie rozdrażniona.

- Pan Durandeu powiedział, że czekają tam na mnie ubrania od hrabiny - wyjaśniłam.

- Tak, wiem o tym - odparła cierpko. - Daj mi chwilę.

W ramach wsparcia moralnego, a także by zaspokoić jej ciekawość, wzięłam ze sobą Marie-Josée. Poza krawcową nikt z agencji nie miał jeszcze okazji zobaczyć moich kreacji. *Leroux* cisnęła na warsztat belę materiału i zaczęła szperać w szufladach, z których

odmętów wyciągała nici i inne drobiazgi, aż w końcu udało jej się wydobyć pęk kluczy. Rozłożyła je niczym talię kart.

- Albo ten - wskazała jeden matowy - albo ten mały. - Wręczyła mi oba bezceremonialnie.

- Dziękuję, *madame*.

- Mam kupę roboty. Dajcie mi już spokój - rzuciła na koniec, odprawiając nas.

- Dziękuję, Vivienne. - Marie-Josée spróbowała się uśmiechnąć, ale Leroux nieuprzejmie odwróciła się do nas plecami i na nowo zaczęła szamotać się z tkaninami. To nie było w jej stylu odnosić się tak obojętnie do Marie-Josée.

Zostawiłyśmy ją samą. Gdy tylko drzwi się za nami zamknęły, Marie-Josée spojrzała na mnie znacząco.

- Nieszczęsna - wymamrotała. - To musi być dla niej ciężkie. Taki afront ze strony najlepszej klientki Durandea.

Wzruszyłam ramionami. Niespecjalnie obchodziło mnie, co czuje *madame* Leroux. Magazyn mieścił się za kolejnymi drzwiami. Odnalazłam właściwy klucz i weszłyśmy do niewielkiego pomieszczenia. W półmroku dostrzegłam stertę starych krzesel, abażur i kilka nadpalonych świec. Jednakże tuż za tymi rupieciami, jakby zupełnie nie na swoim miejscu, wisiał rząd stylowych, wielobarwnych sukien, wykonanych z różnych materiałów.

- *Oh là là!* - zaszczebotała Marie-Josée.

- Ileż ich jest! - rzekłam z westchnieniem. - Czy naprawdę będę potrzebowała ich wszystkich?

Marie-Josée odsunęła na bok popsute krzesła oraz stary abażur, podeszła do kolekcji i zaczęła przeglądać stroje.

- Spójrz, tu jest instrukcja. - Wzięłam do ręki kawałek papieru przyczepiony do ściany i przeczytałam na głos:

Brązowy żakiet jeździecki z tweedu oraz spódnica na weekendy na wsi.

Fioletowa suknia z jedwabnej tafty do opery. Niebieski kostium z aksamitu do Lasku Bulońskiego.

- Wielkie nieba! - krzyknęłam, kiedy mój wzrok padł na pudła z butami i kapeluszami. - Ile wspaniałych dodatków!

Marie-Josée zanurkowała w kartonach i zaczęła przeglądać ich zawartość.

- Wygrałaś los na loterii, moja droga. Szkoda tylko, że dziewczucha jest tak niesympatyczna.

- Isabelle nie jest taka zła.

Marie-Josée odwróciła głowę i spojrzała na mnie znacząco.

- Czyżby?

Nie podjęłam tematu; skupiłam się na ubraniach i delikatnie muskałam dłonią tkaniny wiszące na stojaku.

- Nie mogę uwierzyć, że one wszystkie są dla mnie.

- Tylko się zbytnio nie przywiązuj. Będą twoje tak długo, jak długo zdołasz zadowolić hrabinę - ostrzegła, klękając między papierowymi pudłami. - I nawet na minutę nie strać czujności. Pamiętaj, że świadczysz usługi matce Isabelle.

- Nie ma między nimi dobrych relacji. Są jak woda i ogień - powiedziałam z westchnieniem.

- Nie próbuj więc wciskać się pomiędzy, skoro tak iskrzy. Nawet się nie obejrzysz, jak wystawią cię za drzwi, a wszystkie eleganckie kreacje znikną w okamgnieniu.

- Zaprzyjaźniasz się czasem ze swoimi klientkami?

- Ponad to, czego wymaga moja praca? - Marie-Josée popatrzyła na mnie wymownie. - Nie, to wykluczone. - Wróciła do przeglądania kapeluszy. - Większość z nich to snobki, które publicznie uśmiechają

się do ciebie przymilnie, a kiedy nikt nie patrzy, traktują cię jak pomiotło. Sprawiam, że czują się lepiej, bo taka jest moja rola, ale o żadnej przyjaźni nie może być mowy.

Mogłam przewidzieć, że tak właśnie odpowie. Marie-Josée widziała wszystko w czarno-białych barwach. My i one. Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej, że powoli zaczynam lubić Isabelle. Z pewnością nie pochwaliby mojej gotowości niesienia pomocy hrabiance w jej potajemnych działaniach. Ale Isabelle była inna niż pozostałe klientki.

Marie-Josée podniosła się i wcisnęła na głowę szykowny kapelusik z niebieskim aksamitnym wykończeniem, przyozdobiony brązowymi piórami. Był na nią zbyt mały, sterczał więc zabawnie na czubku jej głowy. Wciągnęła policzki i marszcząc brwi, przybrała minę *madame Girard*.

- Wy, kobiety, dla których natura okazała się tak wielce niełaskawa - imitowała jej głos, na co wybuchłam śmiechem.

Z korytarza doszedł odgłos czyichś kroków, po chwili drzwi do magazynku się otworzyły, a w szparze pojawiły się dwie głowy. Wzięłam wieszak z liliową sukienką z tafty i przyłożyłam do siebie.

- Czyż to nie najbardziej wyborna rzecz, jaką kiedykolwiek widziałyście?

- Jest przepiękna - powiedziała Emilie, tracąc oddech. Pod wrażeniem była nawet Cécile.

- Ale z ciebie szczęściara - powiedziała i wyciągnęła dłoń, by pogłaskać futrzany płaszczyk.

Oglądałyśmy kolejne suknie i kapelusze niczym najcenniejsze skarby, a oczarowane dziewczyny niemal szalały z radości. Jak dzieci, które rozpakowują prezenty pod choinką. Obróciłam się dookoła z suknią na wieszaku przytkniętą do piersi.

- Tak jakbyś była prawdziwą damą, nie żadną pracownicą agencji - zachwycała się Emilie.

- Ale nie zapominaj, kim naprawdę jesteś. - Marie-Josée cmoknęła. - Pamiętaj, z jakiego powodu zabierają cię na te wszystkie bale i do opery. I niech za bardzo cię nie poniesie, moja droga.

Zachichotałam, puszczając jej rady mimo uszu. Od obracania się w ciasnym pokoju zawirowało mi w głowie.

- Maude, możesz nosić ich kreacje, lecz nigdy nie będziesz im równa. Zapamiętaj moje słowa.

Już jej nie słuchałam. Zatopiona w lawendowych falbanach śniłam swój najpiękniejszy sen.

Rozdział dwudziesty

Nauczyłam się, że życiem paryskiej arystokracji rządzą pewne niewzruszone prawidła, a każdy dzień tygodnia ma przypisane właściwe sobie wydarzenie. Ten wieczór należał do opery. Zaproszona przez moich chlebodawców wyczekiwałam rozpoczęcia *Aidy*, którą mieliśmy oglądać z ich prywatnej loży.

Budynek Opera Garnier przywodził mi na myśl sen szalonego cukiernika. Wielkie białe ciastko z różowymi wzorami oblane kremem marmurkowym i przyozdobione rozetkami ze złotego lukru. Wewnątrz kłębił się tłum niczym na dworcu kolejowym tuż przed świętami. W operze jednak próżno było szukać zmęczonych, wymiętych podróżnych. Tutejsze towarzystwo, odziane w koronki i jedwabie, lśniło w blasku kandelabrow, a każdy z osobna był jak jedno pióro w pawim ogonie paryskiej socjety.

Razem z Isabelle kroczyłam za hrabią i jego żoną. Weszliśmy na wielkie schody; były sceną samą w sobie, z której się oglądało i na której było się oglądanym w Paryżu. Szerokie stopnie, widoczne z wielu miejsc, rozchodziły się w dwóch kierunkach. Ci, którzy przyszli wcześniej, z balkonów obserwowali stąpających po schodach nowo przybyłych.

Nigdy wcześniej nie byłam na prawdziwym przedstawieniu w operze. Minęliśmy kolejną kondygnację, następnie przeszliśmy krętymi korytarzami, aż wreszcie dotarliśmy do prywatnej loży. Nic nie mogło przygotować mnie na pierwsze w życiu spotkanie z teatrem.

Sufit znajdował się dwa razy wyżej niż sklepienie katedry w moim miasteczku. Z jego środka dumnie zwisał masywny żyrandol rzucający złote światło. Usiadłam na jednym z luksusowych foteli, obitych miękką tkaniną i chwyciłam się aksamitnej barierej przede mną. Gdziekolwiek spojrzalam, napotykałam czerwień i złoto.

- Jakże to wszystko niesamowite... - Westchnęłam, wpatrując się w zdobiony sufit.

- Garnier wybudował to dla Napoleona III, my jednak pozbyliśmy się cesarza, zanim on zdołał postawić tutaj stopę - powiedziała Isabelle, zdejmując pelerynę. Miała na sobie olśniewającą fioletową suknię, która kontrastowała z jej kruczoczarnymi włosami i bladą skórą. Po raz kolejny byłam zaledwie jej bezbarwnym cieniem. Moja liliowa sukienka z tafty, choć piękna za murami agencji, przy tej kreacji spadała do rangi całkiem przeciętnej.

- A jednak styl Garniera niezbyt mi pasuje. - Odwróciła się w moją stronę. - Wiedziałaś, że chciał również zaprojektować wieżę na wystawę światową?

- Masz na myśli tę, którą buduje Eiffel?

- Tę samą. Garnier był wściekły, kiedy przegrał konkurs. Próbował nawet wstrzymać prace, w tym celu powołał grupę zwaną „Protest Artystów”. Przekonywali, że Eiffel jako zwykły inżynier nie zdoła stworzyć wyjątkowego dzieła. - Potrząsnęła głową. - Że potrafi patrzeć tylko w przeszłość.

Gdy opowiadała o rzeczach, które ją interesowały, w jej oczach pojawiał się błysk przyćmiewający wszelkie migotliwe ozdoby, jakie miała na sobie. W odróżnieniu od niej hrabia i hrabina nie

byli zainteresowani architekturą budynku. Spojrzenia kierowali wyłącznie na tłum wypełniający teatr.

- Czy to nie kapitan, który niegdyś wprosił się na Wielkanoc do mojego brata? - spytał hrabia.

- Gdzie? - Hrabina przystawiła do oczu lorgnon i obiegnęła wzrokiem kłębowisko wyelegantowanych widzów.

- W loży Montesquiou. - Hrabia wskazał w kierunku miejsca podobnego do naszego, tylko w innej części widowni.

- Nie pokazuj palcem - syknęła hrabina.

Spojrzałam na pierwsze rzędy i kanał dla orkiestry. Muzycy właśnie zajmowali miejsca. Na myśl przyszedł mi Paul. Byłam pewna, że byłby oczarowany, mogąc tutaj zagrać.

- Isabelle, popatrz! - krzyknęła hrabina, nie wypuszczając okularów z dłoni. - Księżę d'Avaray siedzi z Rochefortami!

Isabelle, a za nią ja powiodłyśmy oczami za spojrzeniem hrabiny. Serce zabiło mi mocniej na dźwięk nazwiska księcia, choć wiedziałam, że ktoś taki jak on nigdy nie będzie należał do mnie. Był przeznaczony dla Isabelle. Postanowiłam pozbyć się uczucia zazdrości i pośrednio cieszyć się szczęściem mojej klientki.

- Po przedstawieniu powinniśmy zaprosić ich na kolację -oznajmiła hrabina, po czym odłożyła lorgnon na aksamitną balustradę i spojrzała niecierpliwie na córkę. - W końcu cię zauważył. Musimy jakoś to wykorzystać.

- Musimy? - Isabelle spuściła wzrok i zaczęła skubać guzik przy rękawicze.

Miałam ochotę wziąć lorgnon do ręki i na własne oczy zobaczyć księcia, ale moja uwaga została skierowana na scenę. Uderzenie pałeczki zwiastowało rychłe rozpoczęcie przedstawienia. Pogasły światła. Gdy czekałam na to, co za chwilę miało się wydarzyć, przyszedł mnie dreszcz. W ciemnościach wstrzymałam oddech. Opera

była wystawiana w języku włoskim, ale jeszcze w powozie Isabelle zarysowała mi fabułę. Młoda księżniczka zostaje porwana i sprzedana do niewoli, zakochuje się w niej pewien dowódca wojskowy, który nie zna jej prawdziwej tożsamości.

Gdy tylko kurtyna się podniosła i zabrzmiały pierwsze takty muzyki, poczułam na ciele gęsią skórę. Na scenie błysnęło światło, eksponując całkiem odmienny świat, inne miejsce i odległy czas. Rozum podpowiadał mi, że znajduję się we współczesnej Francji, a oglądam jedynie pokrytą farbą dekorację otoczoną potężnymi marmurowymi kolumnami, mimo to czułam się jak przeniesiona w zamierzchłe wieki, do starożytnego Egiptu, by wysłuchać opowieści nieszczęsnej niewolnicy.

Muzyka wypełniła salę, a ja siedziałam jak zaczarowana. Kiedy śpiewała Aida, miałam wrażenie, że jej emocje wychodzą wprost z mojej duszy. Słuchałam jej w oniemieniu, w mroku, jakby przedstawienie odgrywano tylko dla mnie. W mojej wyobraźni publiczność zniknęła, a towarzysze z łoży przemienili się w cienie. Arię w nieznanym mi języku rozumiałam doskonale.

Kurtyna opadła, światła ponownie rozbłysły, obwieszczając antrakt, a ja wciąż siedziałam ze wzrokiem skierowanym na scenę. Cicho wypuściłam powietrze i spostrzegłam, że kurczowo ścisnęłam poręcz fotela.

Kiedy w łożach wzmógł się gwar rozmów, doznałam nagłego poczucia straty, czar prysł, a ja ponownie znalazłam się w wyłożonej welurem rzeczywistości, gdzie jeszcze przed chwilą przeżywałam takie uniesienia. Niepodobna było nie poddać się dźwiękom płynącym ze sceny. Jakże bolesny okazał się powrót do starych form, jak drażniące podjęcie na nowo konwersacji, którą prowadziliśmy przed rozpoczęciem spektaklu. Tak bardzo chciałam zostać

sama i w ciszy przeżywać niedawno odkryte emocje. Magia jednak się rozmyła, a jej miejsce zastąpiła zwyczajność.

- Nie przetrzymam drugiego aktu o pustym żołądku - uskarżał się hrabia.

- Kolacja w Café de la Paix! - Hrabina klasnęła w dłonie.

- Mamo, naprawdę? - odezwała się Isabelle. - Znowu wyjdziemy podczas antraktu?

- Zaprośmy państwa de Rochefort. - Hrabina zignorowała uwagę córki. - Niech posłaniec zanieś im liścik do loży.

Z drżącym sercem patrzyłam, jak moi towarzysze podnoszą się do wyjścia. Choć bardzo chciałam zobaczyć księcia, część mnie równie mocno pragnęła zostać w operze i śledzić losy Aidy. W końcu podążyłam za resztą i opuściłam lożę. Z muzyką nieustannie pobrzmiwającą w głowie przemierzałam marmurowe korytarze, rytmicznie bębniąc palcami o sukienkę.

- Czy ktoś inny skorzysta z naszych miejsc? - zapytałam Isabelle, kiedy wyszliśmy do foyer.

Potrząsnęła głową.

- Wiesz, że nigdy nie widziałam końcówki żadnego przedstawienia?

- Dlaczego więc twoi rodzice płacą za tak dobre miejsca, skoro zawsze wychodzą przed końcem spektaklu?

- Ważniejsze jest, kto gdzie siedzi, jak jest ubrany i co szepcze się o nim za plecami. Sam występ najmniej ich interesuje. - Uśmiechnęła się znacząco.

- To było takie widowiskowe - powiedziałam.

- Wiem, mnie też się podobało. - Westchnęła.

Kiedy znaleźliśmy się przy wyjściu, powstało małe zamieszanie. Okazało się, że brakuje kilku osób, niektórzy mieli też nieco inne

plany na ten wieczór. Wicehrabina postanowiła wrócić do domu, ponieważ nagle rozbolała ją głowa; jej mąż chciał zostać na kolacji. Hrabina próbowała nakłonić Claire, by towarzyszyła matce, tymczasem Xavier ulotnił się jak kamfora.

Gdy czekałyśmy z Isabelle, aż sytuacja się wyjaśni, moja uwaga poszybowała w stronę księcia. Wodziłam za nim wzrokiem, jakby był jedynym aktorem na scenie. Miał na sobie taki sam wieczorowy strój w odcieniu głębokiej nocy co pozostali mężczyźni, przy czym na nim ubiór ten wyglądał bardziej elegancko. Nawet mimo ogólnego zamętu już z daleka go rozpoznałam po charakterystycznym sposobie poruszania się. Kiedy musnął mnie delikatnie, przechodząc obok, poczułam przejmujący dreszcz, a na karku i ramionach dostałam gęsiej skórki.

W końcu zagadkę zniknięcia Xaviera de Rochefort rozwikłał sam książę, który oznajmił, że ten udał się za kulisy poszukać znajomego, niepomny na nasz zamiar opuszczenia teatru. W konsekwencji towarzystwo podzieliło się na tych, którzy wracali do domu, czyli wicehrabinę i Claire; tych, którzy wybierali się do Café de la Paix, to znaczy wicehrabiego z hrabiostwem; oraz ekipę poszukującą Xaviera, w której znaleźliśmy się diuk, Isabelle i ja.

Książę wyprowadził nas przez główne wejście, następnie okrążyliśmy gmach opery i przeszliśmy w kierunku bocznych drzwi. Podczas pierwszego aktu musiało padać, ponieważ ulice były śliskie. Chwyciłyśmy się z Isabelle pod rękę, żeby tylko nie upaść na mokrym bruku. Drzwi prowadzące za kulisy były tak zwyczajne, że niemal ich nie zauważyłam. Książę przytrzymał je i weszłyśmy do środka prosto w chmurę papierosowego dymu, kłębiącą się wokół muzyków z orkiestry. Podążałyśmy za diukiem płataniną długich korytarzy, pełnych ludzi. Pracownicy teatru w nieustannym pędzie

nosili tam i z powrotem dekoracje, kostiumy i rekwizyty. Powietrze było duszne i wypełnione zapachem szminki aktorskiej, potu oraz gazu ze świateł rampy.

Książę poprowadził nas wzdłuż korytarza z licznymi drzwiami wiodącymi do garderób. Po drodze mijaliśmy skąpo odziane aktorki grające egipskie niewolnice oraz mężczyźni w strojach wieczorowych, którzy skakali wokół nich jak pieski czekające na smakowity kęs. Na końcu korytarza znajdowała się klatka schodowa okupowana przez chórzystki. Jedna z dziewcząt siedziała na kolanach mężczyzny odzianego w czarny wyjściowy płaszcz. Natychmiast rozpoznałam ten zarozumiały wyraz twarzy. Był to Xavier de Rochefort.

- Xavier! - krzyknął książę do przyjaciela. - Twoja obecność na kolacji jest pożądana.

Na nasz widok Xavier w jednej chwili zrzucił aktorkę z kolan. Stanęliśmy u podnóża schodów i spojrzeliśmy na dziewczynę jak grupa zagubionych turystów. Miała na sobie lekki ubiór i gruby makijaż. Xavier był wyraźnie zawiedziony tym, że przerwaliśmy mu potajemną schadzkę. Dostrzegłam błyskawiczną wymianę spojrzeń pomiędzy oboma mężczyznami. Oczy księcia błyszczały tak, jakby właśnie ograł Xaviera w karty. Nie ulegało wątpliwości, że cieszy go zakłopotanie przyjaciela.

- Ach, kolacja! Jestem potwornie wygłodniały - oświadczył Rochefort, zebrawszy się w sobie.

„Steku czy aktorki?” - spytałam w myślach samą siebie. Dziewczyna puściła do niego oko na pożegnanie i dołączyła do koleżanek okupujących schody.

- Mogłybyśmy przed wyjściem zobaczyć scenę? - poprosiła Isabelle, nie zważając na niestosowne zachowanie Xaviera.

Rochefort, zachwycony możliwością spełnienia tej prośby, zaprowadził nas za kulisy. Kurtyna wciąż była opuszczona, ale

przez niewielką szparę można było zerknąć na widownię, co też uczyniłyśmy. Antrakt dobiegał końca, a publiczność ponownie zajmowała fotele. Rzuciłam okiem na naszą lożę. Jakże osobliwie było patrzeć ze sceny na miejsce, w którym jeszcze niedawno siedziałam. Wcześniej urzeczona magią teatru, teraz mogłam z bliska się przyjrzeć, jak tworzy się te pozorne światy.

- Czy w ten sposób przesuwa się dekoracje? - spytała Isabelle na widok maszynisty sceny pociągającego za sznurki i przekładnie. - Jak to działa?

- A piękne suknie cię nie interesują? - Xavier się zaśmiał.

- Nie tak bardzo jak ciebie - odparowała ostro.

- Niezwykle zainteresowania jak na dziewczynę. - Pokręcił z uśmiechem głową, podszedł do maszynisty i poprosił, by ten wyjaśnił Isabelle sposób działania urządzeń.

Tymczasem księżę i ja przypatrywaliśmy się zza kulis malowanej scenografii, dopóki w kierunku sceny nie ruszyli chórzyci, którzy nas rozdzielili. Oni przeszli, a ja wciąż stałam w miejscu, nie mając odwagi ponownie przybliżyć się do księcia. Ustawiłam się tak, że miałam go na linii wzroku. Udawałam, że obserwuję aktorów, w rzeczywistości jednak zawiesiłam spojrzenie na księciu, jego wyrazistym profilu, mocno zarysowanej szczęce i gładkiej linii czoła złamanej falą opadających nań kręconych ciemnobrązowych włosów.

Niespodziewanie u jego boku pojawił się Xavier i obaj mężczyźni pograżyli się w gorącej dyskusji. Ukryłam się w cieniu rekwizytów i wyteżyłam słuch, wyłapując niektóre słowa i zdania. Przypuszczałam, że sprzecząją się o nasze wtargnięcie za scenę i o to, że tak zaskoczyliśmy Xaviera, lecz coś mi się nie zgadzało.

- Nie o to chodzi - mówił Rochefort - to zły pomysł.

- Dziś wieczorem... Ostatnia szansa, zanim wyjadę. - To było wszystko, co wyłapałam ze słów księcia.

- Zbyt duże ryzyko. - Xavier potrząsnął głową, po czym odszedł w kierunku Isabelle, zostawiając towarzysza samego. Spojrzałam w jej stronę: wciąż pochłonięta maszyną sceniczną, nie zwracała uwagi na otoczenie. Intuicja podpowiadała mi, że to nie ona stanowiła temat ich rozmowy. Coś innego było na rzeczy, nie miałam jednak pewności co.

Książę obrócił się, nasze spojrzenia się skrzyżowały. Uśmiechnięty, nie zdradzał żadnych oznak niedawnej kłótni z Xavierem. Zrobiłam kilka kroków w jego stronę, gdy nagle usłyszałam krzyk dochodzący z góry. Instynktownie podniosłam wzrok i zobaczyłam linę spadającą z wysokiego rusztowania.

W tym momencie poczułam, jak czyjeś dłonie w ostatniej chwili odpychają mnie na bok. Serce załomotało mi w piersi; tuż przed nosem zobaczyłam twarz księcia, jego ręce wciąż mnie obejmowały. Ugięłam się pod wpływem tak niespodziewanego zbliżenia.

- Dziękuję - zdołałam wydukać. Serce waliło mi tak głośno, że pewnie musiał je słyszeć. Na szczęście wokół panował półmrok, w innym przypadku moja namiętność, moje pożądanie powściągane skrępowaniem byłyby widoczne jak na dłoni.

- Starożytny Egipt - powiedziałam z uśmiechem, próbując zatuszować wewnętrzny zamęt - to niebezpieczne miejsce.

Książę zaśmiał się melodyjnie, upajając mnie ciepłem swojego głosu. Do życia wystarczyłyby mi ledwie strzępki jego uwagi, nie potrzebowałam blasku salonów. Jeśli choć przez chwilę pomyślał, że jestem dowcipna, już to mi wystarczyło, żeby poczuć się szczęśliwa.

- To fascynujące - odezwała się Isabelle, która dołączyła do nas w towarzystwie nieodstępującego jej na krok Xaviera, i chwyciła mnie za ramię.

- Chyba powinniśmy iść do restauracji - zauważył jej adorator.
- Na mnie już pora - oznajmił ksiązę, wyciągnąwszy zegarek z kieszeni. - Obawiam się, że nie będę mógł towarzyszyć wam podczas kolacji. Wyjeżdżam jutro z samego rana.

- Dokąd pan się wybiera? - zapytałam, słysząc we własnym głosie cień zawodu.

- Odpływam do Anglii - odparł i cmoknął Isabelle w policzek. - Zechce pani przeprosić rodziców ode mnie.

Po chwili pochylił się, by pocałować także mnie. Moja twarz zapłonęła.

- Xavier. - Uniósł kapelusz na znak pożegnania z przyjacielem, skinął głową i odwrócił się w kierunku wyjścia.

- Kiedy wracasz? - zawołał za nim Xavier.

- Za kilka tygodni - odpowiedział ksiązę.

- Powodzenia! - krzyknął do niego na odchodne, aż uciszył go jeden z pracowników teatru. Diuk zniknął w plątaninie zakulisowych korytarzy.

Kilka tygodni. Serce mi zamarło, a wieczór w jednej chwili zamienił się w przerażającą mękę.

Café de la Paix nie miała nic wspólnego z Café Chez Emile. Była to elegancka i wytworna restauracja. Wskazano nam półprywatne pomieszczenie, w którym zastaliśmy hrabiego z żoną oraz wicehrabiego popijających szampana. Między nimi leżał talerz ostryg. Kiedy podeszliśmy bliżej, hrabina rzuciła na nas czujnym okiem; zauważyła brak jednej osoby.

- Znalazłyście Xaviera, ale zgubiłyście księcia. - Zaśmiała się, choć jej wzrok płonął z ciekawości. - Maude, ty usiądziesz koło mnie - zaordynowała, kelner jednak nie dosłyszał jej żądania i odsunął mi krzesło na drugim końcu stołu.

Zajęliśmy miejsca. Wiedziałam, o czym chce ze mną porozmawiać, i nie minęło dużo czasu, a rozpoczęła temat.

- Tak więc... Dokąd to się wypuścił? - spytała między jednym a drugim łykiem szampana.

- Książę musiał wyjechać - wyjaśniła Isabelle, kiedy kelner napełniał jej kieliszek.

- Ależ skarbie, to oczywiste. - Hrabina starała się brzmieć zabawnie.

- Jutro wypływa do Anglii - rzekłam w przypiływie śmiałości, informując rzeczowo.

- Londyn w listopadzie - wycedziła hrabina spomiędzy zaciśniętych warg. - Potworność.

Wniesiono pierwsze danie. Tak rozpoczęła się uczta dla zmysłów, a kolejne potrawy napływały z restauracyjnej kuchni nieprzerwanym strumieniem: bulion perłowy, turbot normandzki, homar po rosyjsku i comber jagnięcy. Podano wina. Kelnerzy niczym tancerze poruszali się tam i z powrotem, błyskając czernią i bielą strojów.

W czasie posiłku hrabina sprawiała wrażenie zniecierpliwionej i poirytowanej. Jak gdyby bez księcia kolacja straciła cały blask. Do kokietowania został jej tylko stary wicehrabia, prawdziwej publiczności zabrakło.

W pewnej chwili Isabelle spojrzała na mnie i powiedziała:

- Stół zastawiony jest doskonale. - To był sygnał do rozpoczęcia naszej gry. Wcześniej dała mi planszę z układem okresowym pierwiastków i ich skrótów. Moim zadaniem było sprawdzenie jej wiedzy. Otworzyłam torebkę i zerknęłam na złożoną kartkę.

- Mistrzowsko, gustownie - odpowiedziałam. Pierwsze litery tych słów tworzyły skrót Mg.

- Magnez - wyszeptała poprawną odpowiedź i obie zachichotałyśmy.

- Mówiłaś coś, moja droga? - zainteresowała się hrabina.

- Mamo, czy mogłabym poprosić o powóz na jutro rano? Obiecałam Maude, że pokażę jej kilka ciekawych miejsc. Odkąd przyjechała do Paryża, wciąż nie miała okazji poznać miasta.

- Czemu nie. - Hrabina wzruszyła ramionami. - Tylko nie wychodźcie z powozu. Wolałabym, żebyście nie włóczyły się same po ulicach.

- Oczywiście, mamo. - Isabelle spojrzała na mnie z szelmowskim uśmiechem.

- A dokąd zamierzasz zabrać swoją przyjaciółkę? - spytał Xavier, który przez całą kolację okazywał Isabelle ponadprzeciętną uwagę. Zdawało się, że korzysta z nieobecności przyjaciela i czyni kroki zbliżające go do hrabianki.

- Tradycyjnie: plac de la Concorde, Łuk Triumfalny, katedra Notre Dame, a może, jeśli będzie czas, także miejsce budowy wieży Eiffla.

- Która do pięknych bynajmniej nie należy - oznajmił Rochefort i łypnął na mnie. Był to świadomy afront czy jedynie zwykły przypadek? - Wygląda jak komin fabryczny.

- Zupełnie się nie zgadzam - obruszyła się Isabelle. - To cud inżynierii.

- Wieża to potwarz dla miasta. - Xavier potrząsnął głową.

- Gdyby to Garnier wygrał konkurs, jego konstrukcja wyglądałaby jak tort, budynek opery lub ta kawiarnia - powiedziała Isabelle.

Siła jej argumentów i swoboda, z jaką wyrażała własne poglądy, wywołały uśmiech na mojej twarzy. Zerknęłam przelotnie na hrabinę. Przysłuchiwała się tej wymianie zdań z nieskrywaną dezaprobatą. Pod koniec kolacji stół wyglądał jak po przejściu huraganu, który na swojej drodze pozostawił zaledwie resztki. W jakże wielu

sprawach towarzyszy bogaczom zupełna beztroska. Przedstawienie w operze musiało już się skończyć, ponieważ na schodach przed budynkiem pojawił się tłum elegancko ubranych widzów, którzy czekali na swoje powozy.

- Skaranie boskie - stwierdziła hrabina i westchnęła, kiedy lokaj podawał jej futro. - Nasz woźnica nie wyrwie nas prędko z tego tłoku.

Wiedziałam, że tego wieczoru powóz agencyjny po mnie nie przyjedzie. Tak postanowiła pani Girard, która uznała, że krótką drogę powrotną z opery będę mogła pokonać pieszo. Przez wzgląd na Isabelle musiałam jednak udawać, że zabierze mnie powóz przysłany przez ciotkę. Dotychczas nieobecność *madame Vary* nie robiła na hrabiance wrażenia. Nieraz napomykała, jak jej matka lekce sobie waży wszelkie przyjaźnie, szczególnie z ładniejszymi kobietami.

Wyszliśmy w chłodną noc. Nastąpiła seria przedłużających się pożegnań. Rzuciłam okiem na sznur karet stojących wzdłuż ulicy.

- Chyba widzę powóz mojej ciotki - skłamałam. - Muszę pędzić. - Skinęłam na pożegnanie hrabiostwu oraz państwu Rochefort. - *Bon-soir*¹². To był uroczy wieczór.

- Przyjedź do mnie jutro o dziesiątej - przypomniała mi Isabelle. - Czeka nas cały dzień zwiedzania.

Dorośli ledwie zwrócili uwagę na moje odejście.

- Będzie cudnie. - Uśmiechnęłam się i zniknęłam w tłumie.

Dochodziła północ, kiedy zadzwoniłam do drzwi agencji. Otworzyła mi jedyna pełniąca nocną straż służąca, która zapaliła lampy na korytarzu oraz w garderobie. Moje kroki odbijały się dźwięcznym echem w opuszczonym budynku. Gdy weszłam do przebie-

Milego wieczoru (franc).

ralni, w środku była jedna dziewczyna. Odetchnęłam z ulgą. Nie znosiłam przebywać tam samotnie o tak późnej porze. Obie byłyśmy bardzo zmęczone, wymieniliśmy więc jedynie krótkie *bonsoir*.

Przebrałam się w moje codzienne ubranie i kiedy koleżanka wyszła, raz jeszcze popatrzyłam na wspaniałą suknię i futrzane bolerko wiszące na wieszaku. Upokorzenie, jakiego doświadczałam, poszerzyło swoje granice. Wcześniej odczuwałam je wyłącznie na służbie, teraz zaś towarzyszyło mi też tutaj, w garderobie, kiedy pozbawiona arystokratycznych strojów, straciłam również należne mi przywileje. Zaczęłam nienawidzić tej pracy.

Po zakończonym dniu wszystkie dziewczyny poza mną zostawiały ubrania przed pracownią *madame* Leroux. Ja swoje zносиłam do osobnego pomieszczenia. Wsunęłam klucz w zamek i mocno pchnęłam drzwi. Odwiesiłam suknię, lecz w rękach wciąż trzymałam bolerko. Przejechałam dłonią po miękkim futrze, przywołując w pamięci księcia chwytającego mnie za ramiona. Wsunęłam okrycie pod płaszcz, który miałam na sobie, i rzuciłam okiem na pozostałe stroje wiszące w rzędzie. Kto mógłby zauważyć brak takiego drobiazgu? Tylko ja miałam klucz do magazynku. Wystawiłam głowę na zewnątrz, by się upewnić, że w pobliżu nikogo nie ma. Zatrzasnęłam drzwi, przekręciłam klucz i pobiegłam korytarzem, a potem schodami w dół i prosto do wyjścia, szybko, byle na ulicę.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Zrobiło się późno, kiedy dotarłam do Montparnasse. Ponieważ nocną porą ulice pełne były pijanych, podejrzanych typów, pozwoliłam sobie na powrót dorożką. To była ekstrawagancja, jednak odkąd zaczęłam pracować dla hrabiostwa Dubern, pieniądze wydawałam lżejszą ręką. Zostawiłam woźnicy niewielki napiwek, mężczyzna smagnął batem koński zad i pojazd odjechał. Pospieszyłam do drzwi wejściowych mojej kamienicy, wcześniej jednak musiałam ominąć włóczęgę leżącego w progu. Zionął odeń odór alkoholu, obok dostrzegłam pustą butelkę po calvadosie.

- *Pardon* - odezwałam się, próbując przejść ponad nim. Przybłęda zacharczał i zsunął kapelusz zachodzący mu na twarz.

- Maude! - wykrzyknął.

Odskoczyłam strwożona. To był Paul, zupełnie pijany, rozłożony na schodkach przed wejściem.

- Tu jesteś - wybełkotał, sadowiąc się na bruku. Kopnięta przez niego butelka potoczyła się z brzękiem do rynsztoka.

- Co pan wyrabia? - zapytałam; czułam ulgę, że to właśnie on. - Skąd pan wiedział, gdzie mieszkam?

- Mówiłaś, że przy ulicy du Regard. - Podniósł się chwiejnie.
- Rozpytywałem o ciebie stróżów we wszystkich kamienicach.
- Dzięki temu cała okolica będzie mnie znała. - Westchnęłam.
- Okropnie długo pracujesz z tą swoją uczennicą. - Dla złapania równowagi chwycił się ręką drzwi. - Jestem trochę pijany.
- Trochę? - Pokręciłam głową na jego widok. - Chyba czas wracać do domu. Gdzie pan mieszka?
- Ulica de Cherche-Midi - wymamrotał niewyraźnie, machając ręką. - Niedaleko stąd.
- Zarzuciłam jego prawe ramię na swój bark, a lewą ręką przytrzymałam go w pasie. Wsparł się na mnie ciężko i oboje wytoczyliśmy się na ulicę niczym para zapijaczonych marynarzy.
- Jak zdołał pan się upić tak bardzo bez towarzystwa Claudea? - spytałam.
- Czekałem na ciebie dłużej, niż sądziłem, więc sam dokończyłem butelkę brandy.
- Całą? Co pan świętował?
- Zakończenie mojej kariery muzycznej. - Wolną ręką wykonał teatralny gest, tak że omal nie upadliśmy.
- Nie za wcześnie? - Nie brałam na poważnie jego pijackich wywodów. Cały wysiłek wkładałam w to, byśmy utrzymali równowagę.
- Skręciliśmy w ulicę de Cherche-Midi. Zawsze ciekawiło mnie, gdzie mieszka, przy czym biorąc pod uwagę czas, jaki spędzał w Café Chez Emile, zakładałam, że raczej niedaleko. Z trudem uszliśmy kilka kolejnych kroków, aż w końcu Paul zatrzymał się raptownie przed swoją kamienicą.
- Tu mam klucze. - Zaczął tarmosić płaszcz. Nie mógł trafić dłonią do kieszeni. W końcu wyłowiłam je sama.
- Maude, jestem skończony. - Zadrzał jak osika na wietrze. - Nie poszedłem na przesłuchanie.

Mocowałam się z drzwiami, próbując je unieruchomić, by się nie zamykały, a jednocześnie podtrzymywałam Paula, żeby się nie przewrócił.

- O jakim przesłuchaniu pan mówi?

- W akademii. Po cóż marnować ich czas?

- Idziemy. - Ostrożnie przeprowadziłam go przez próg i chwiejnym krokiem ruszyliśmy na schody. - Które piętro?

- Mieszkam na trzecim - wybełkotał. - Śmialiby się z mojej kompozycji. Wiem to - dodał głośno.

- Ciii - szepnęłam. - Obudzi pan dozorcę. - Wciągałam go po skąpo oświetlonych schodach. - Pańska kariera dopiero się zaczyna. Może pan pójść na kolejne przesłuchanie.

- Gram tylko muzykę popularną w barach. Nikt nie będzie brał mnie poważnie.

- Na pewno nie w takim stanie - oznajmiłam, on zaś wymamrotał coś niezrozumiałego w odpowiedzi. - Jeszcze trochę - powiedziałam. - Już prawie jesteśmy.

Kiedy wreszcie doczłapaliśmy się na trzecie piętro, dyszałam z wysiłku; zmęczyło mnie odgrywanie roli ludzkiej kuli ortopedycznej. Wypróbowałam kilka kluczy zawieszonych na łańcuszku Paula, zanim trafiłam na ten właściwy i otworzyłam drzwi. Paul wtoczył się do mieszkania i wspierając się na mnie, opadł na kanapę. Dziwnie się czułam, stojąc u niego w domu.

- Przepraszam za nieporządek - powiedział, poruszając ciężko powiekami. Głowa opadła mu do tyłu.

- W porządku - odparłam, rozglądając się.

Obszerny pokój był całkowicie zawałony partyturami, brudnymi szklankami i znoszonymi ubraniami. Pod oknem stało pianino, które przyćmiewało wszystkie pozostałe meble. Potarłam

ręce, aby się rozgrzać. Zapaliłam lampę naftową, po czym wzięłam się za oczyszczanie kominka i rozpalanie ognia. Paul drzemał.

Kiedy temperatura zrobiła się znośna, zdjęłam z siebie płaszcz, ściągnęłam Paulowi buty oraz okrycie wierzchnie i przykryłam go kocem. W jego mieszkaniu kuchnia była osobno, inaczej niż w moim, jednak poza resztkami alkoholu i herbatą w puszcze nie znalazłam tam nic do jedzenia. Dostrzegłam czajnik, napełniłam go wodą z dzbana i postawiłam na palenisku.

Rzuciłam okiem na Paula. Nadal drzemał. W oczekiwaniu na wrzątek rozejrzałam się po pokoju. Na ścianach wisiały fotografie, obrazy i szkice. Niezręcznie było mi myszkować po cudzym mieszkaniu. To tak, jakbym czytała czyjś pamiętnik lub zaglądała komuś w myśli.

Po podłodze wały się partytury pokryte koślawymi nutami, owoce jego ciężkiej pracy. Czy taki bałagan świadczy o byciu artystą? Usiadłam przed pianinem. Na klawiaturze leżała pusta butelka po winie. Odstawiłam ją i spojrzałam na otwarty zapis nutowy. W oczy rzucił mi się ręcznie wypisany tytuł: *La Bretonne*¹³. Serce załomotało mi w piersi. Nie, to nie mogło mieć nic wspólnego ze mną. Ot, czysty przypadek. Gdyby tylko Paul mógł odpowiedzieć na moje nieme pytanie. Spojrzałam w jego stronę. Spał twardo. Odwróciłam się do pianina i delikatnie przejechałam palcami po klawiszach, nie naciskając żadnego z nich. Jak to jest tworzyć muzykę? Pisać symfonię? Czego to wymaga? Dreszcz przebiegł po moich plecach, poczułam ściskanie w żołądku, ukłucie pragnienia.

Chciałabym spróbować czegoś podobnego, chciałabym coś stworzyć. Ciche marzenie, że jestem stworzona do wielkich rzeczy - jak mówiła Marie-Josee - zamigotało we mnie, lecz równie szybko zgasło. Kogo ja chciałam oszukać? Nie potrafiłam zagrać

Bretonka (franc).

ani jednego taktu melodii. Ani na pianinie, ani na żadnym innym instrumencie.

Czajnik zagwizdał. Poszłam do kuchni i znalazłam w słoiku trochę herbaty. Uświadomiłam sobie, że Paul nieprędko się ocknie, zaparzyłam więc tylko jedną filiżankę. Siorbałam ją przy nikłym blasku lampy naftowej, z płaszczem na kolanach. Zanim wyszłam, napisałam karteczkę, którą zostawiłam na klawiaturze. Tam, gdzie leżała butelka po winie.

Cher Paul,

niech Pan nie ustaje w wysiłkach. Jeśli ma Pan talent, proszę z niego korzystać i komponować kolejne melodie. Proszę pisać i grać. Dla ludzi.

Raz jeszcze zerknęłam na tytuł - *La Bretonne* - bijąc się z myślami, jak się podpisać. Z wyrazami sympatii, lecz nie zanadto.

Ton amie¹⁴, *Maude*

Twoja przyjaciółka (franc).

Rozdział dwudziesty drugi

- Rozdrażniona. Jestem taka rozdrażniona. - Hrabina odstawiła filiżankę i spojrzała na mnie.

Powóz agencyjny przywiózł mnie właśnie pod dom państwa Dubern. Zostałam zaprowadzona do jasnej jadalni mieszczącej się przy oranżerii. Miałam tam czekać na Isabelle. Odniosłam wrażenie, że hrabina odbiera wyjazd księcia jako osobistą zniewagę. Osunęła się na krzesło z nadąsaną miną.

- Dlaczego musiał opuścić Paryż właśnie teraz, kiedy jego umiz-gi do Isabelle zaczęły nabierać tempa?

- Być może jakieś pilne interesy zmusiły go do odbycia tej podróży? Może nic nie mógł na to poradzić? - Wzruszyłam ramionami.

- Tak powiedział? - Spojrzała na mnie, wydymając wargi.

- Nie. - Potrząsnęłam głową, spuściłam wzrok i przyjrzałam się jej jedwabnej podomce haftowanej w złote i zielone ptaki. Kolorowe nici lśniły w porannym słońcu niczym drogocenne kamienie. Hrabina wzięła ciasto i rozkruszyła je na drobne kawałki.

- Nie zauważyłaś czasem czegoś godnego uwagi? Z pewnością musiał uczynić choćby nieznaczną aluzję do swoich uczuć. - Popa-

trzyła na mnie badawczo, rozpaczliwie pragnąc usłyszeć coś pozytywnego. Nie chciałam jej zawieść. Szperałam w pamięci, by sobie coś przypomnieć. Cokolwiek, czego mogłaby się ucześcić.

- Owszem, był pewien moment... - Przerwałam nagle. Hrabina odstawiała ciasto.

-Tak?

- Staliśmy za kulisami, podziwialiśmy dekoracje i obserwowaliśmy aktorów, którzy zajmowali swoje miejsca - powiedziałam i przygryzłam wargę. Hrabina pochyliła się do przodu.

- Powiedz - naciskała, wyciągając głowę. Zamierzałam wymyślić jakąś historyjkę, ale nie zdołałam.

- Zwinięty sznur spadł z rusztowania nad Isabelle - ciągnęłam opowieść. - Książę mocno chwycił ją za ramiona i odsunął na bezpieczną odległość.

- I co? - drążyła.

- Ich spojrzenia się spotkały - kłamałam bezwstydnie, lecz brnęłam dalej: - Przysięgłabym, że coś w nich było.

Jak tylko słowa spłynęły z moich warg, zorientowałam się, że zrobiłam dużo ponad ukojenie nerwów hrabiny. Skoro nie byłam obiektem zainteresowań księcia, dlaczego nie miałabym przelać własnych fantazji na inną osobę? Na dziewczynę, która mogła stać się bohaterką historii miłosnej?

Hrabina z wyraźną satysfakcją podniosła filiżankę do ust.

- To brzmi obiecująco - rzekła i upiła łyk. - Chyba możemy mieć pewność, że w podróży książę będzie myślał tylko o niej. Być może jego nagły wyjazd był spowodowany pragnieniem jak najszybszego ukrócenia własnej męki.

- Tak, mogło o to chodzić - odparłam, poprawiając się na krześle. Czy posunęłam się zbyt daleko?

- Jednak księżę nie jest jedynym kawalerem do wzięcia w tym sezonie
- zauważyła hrabina, stukając paznokciem o porcelanę. - Są jeszcze inni konkurenci, których w najbliższym czasie chciałabym jej przedstawić. Księżę nie powinien popadać w samouwielbienie z powodu swojej pozycji. Mniemam, że kiedy usłyszy o popularności Isabelle wśród większego grona adoratorów, będzie zmuszony przyspieszyć działania.

- Ma pani na myśli oświadczyni? - zapytałam, przesuwając się do przodu, skora do odkrycia kolejnych szczegółów tej historii miłosnej. Hrabina aż podskoczyła, wbijając wzrok w podłogę.

- Tu jesteś, *cherie* - odezwała się, kiedy do jadalni weszła Isabelle. Po tym, co opowiedziałam, poczułam się zawstydzona na jej widok. Ale czy wyrzuciłam jej jakąś krzywdę? Staralam się jedynie pocieszyć hrabinę.

- Jesteś gotowa, Maude? - spytała Isabelle i się uśmiechnęła.

- Tak - odezwałam się pospiesznie i zerwałam się z krzesła. -Do widzenia, pani hrabino.

- Do zobaczenia, matko - rzuciła Isabelle.

- Bawcie się dobrze, moje drogie - odparła hrabina, machając wiotką dłonią.

- Możesz nas wysadzić przy pałacu Trocadero - powiedziała Isabelle do woźnicy, kiedy wsiadłyśmy do powozu stojącego przed domem.

- Hrabina mówi, że nie wolno panience wysiadać i spacerować samej
- zaproponował nieśmiało mężczyzna, niechętnie spoglądając na młodą damę.

- A co? Powstrzymasz mnie? - odgryzła się surowym tonem, czym natychmiast upodobniła się do dziewczyny, którą poznałam w sklepie z kapeluszami. Młody woźnica zaczerwienił się i zamknął za nami drzwi.

Drażniło mnie, kiedy Isabelle była opryskliwa dla służby. Nie rozumiała, że każdy wykonuje tylko swoje obowiązki, tak by nie stracić posady. W czasie gdy przemierzałyśmy okolicę, Isabelle bawiła się w przewodnika. Pokazała mi kościół de la Madeleine, Łuk Triumfalny, plac de la Concorde. O ileż wygodniej było przyglądać się miastu z tej pozycji, niż siedzieć wciśnięta między zwykłych ludzi w omnibusie. Nie musiałam wykręcać karku, żeby coś zobaczyć, żaden zwalasty pasażer nie zasłaniał mi okna.

Wysiadłyśmy z powozu przy pałacu Trocadero. Po drugiej stronie rzeki, na Polu Marsowym, trwały prace nad budową wieży Eiffla. Woźnica pomógł nam wynieść oprzyrządowanie fotograficzne Isabelle. Skłonił się z namaszczeniem i na powrót zajął swoje miejsce.

- Gdyby panienki czegoś potrzebowały, jestem tutaj. Tymczasem moja towarzyszka już zdążyła ruszyć zamaszystym

krokiem, w rękach niosąc aparat i pudełko z kliszami. Odwróciłam się do woźnicy.

- Dziękuję. I proszę nie mówić hrabinie, że wysiadłyśmy z powozu. Niedługo wrócimy.

Potakująco skinął głową, a ja pobiegłam za Isabelle, taszcząc pod pachą nieporęczny statyw do aparatu. Niebo akurat się zachmurzyło, zrobiło się chłodno. Rześki wiatr szarpał moją suknię, rozwiewał kokardy przy kapeluszu. Przygotowania do wystawy światowej szły pełną parą, ale to pnąca się w niebo żelazna konstrukcja z trójkątnych kratownic górowała nad pejzażem. Dogoniłam Isabelle, która zdążyła już dojść do mostu dzielącego nas od miejsca, w którym powstawała wieża.

- Tu można uchwycić ją w całości - powiedziała. - Ale my przeprawimy się na drugą stronę i podejmiemy bliżej. Chcę się znaleźć tuż pod nią.

Spojrzałam zachwycona na budowlę.

- Pierwszy raz widzę ją z tak bliska. - Westchnęłam. - Staje się prawdziwym kolosem, o którym wszyscy mówią.

Isabelle poszła w kierunku wieży. Ciężki sprzęt bynajmniej nie spowalniał jej kroków. Ruszyłam za nią przez most.

- Powstaje z żelaza - wyjaśniła w pędzie. - Podobnie jak nowy most Eiffla, ponieważ żelazo dobrze sobie radzi z silnymi podmuchami. - Mówiła głośno, by przekrzyczeć porywy wiatru. - Nie jest twarde jak kamień! - krzyknęła za siebie.

- Most do nieba - powiedziałam, wciąż patrząc w górę. - Co za wizja, by budować tak wysoko.

- Osiągnięcie współczesnej inżynierii i matematyki - odparła.

Z daleka wieża wyglądała tak, jakby rosła samoistnie, jednak z bliska można było dostrzec, że uwija się wokół niej co najmniej setka mężczyzn. Jedni dziarsko się wspinali, inni siedzieli na rusztowaniach, mnóstwo pracowało na ziemi. Czteropylonowa podstawa zajmowała więcej miejsca, niż sądziłam, a łuki między nogami przywodziły na myśl stację kolejową skierowaną w cztery strony świata: na północ, południe, wschód i zachód. Wieża zwężała się ku górze, jakby chciała sięgnąć chmur, wyciągając długą szyję. Widok tego żelaznego, wciąż jeszcze bezgłowego olbrzyma wprawiał w osłupienie.

Poniżej rozpościerał się plac budowy, gdzie znajdowały się stosy materiałów, żelazne dźwigary, drewniane rusztowania, a nawet baraki robotników. Zatrzymałyśmy się jakieś dwadzieścia metrów od najbliższego pylonu. Isabelle to podchodziła bliżej, to cofała się w poszukiwaniu najlepszego ujęcia.

- Tutaj. - Stała zdecydowanie na ziemi. - Z tego miejsca zrobimy zdjęcie.

Ustawiłam statyw, tak jak uczyła mnie w swojej pracowni. Drewniane części połączone zawiasami po rozłożeniu tworzyły trzy długie nogi, na których umieszczało się aparat. Tymczasem

Isabelle zaczęła wyciągać sprzęt ze skrzynki. Patrząc na nią, uświadomiłam sobie, jak osobliwe są jej zainteresowania. Zastanawiałam się przez chwilę, po czym zapytałam:

- Isabelle, co pociągnęło cię w stronę nauki? Dla większości ludzi to całkiem obcy świat.

Przerwała czynność i popatrzyła na mnie, ściskając aparat w dłoniach.

- Właśnie dlatego to kocham. Nauka jest wokół. To nasz świat. - Oczy jej zalśniły. Odwróciła się w stronę wieży. - To nie mogłoby powstać bez matematyki i praw fizyki. - Klepnęła drewnianą obudowę aparatu. - Gdyby nie nauka, nie mielibyśmy fotografii naszych bliskich na kominku. Lubię jej logikę, jej racjonalizm, bez-kompromisowość. Tutaj nie ma miejsca na ludzkie humory czy kaprysy. Liczy się tylko jasność myślenia.

Moją uwagę przykuł dochodzący z daleka głos. Odwróciłam się i zobaczyłam, jak jeden z robotników macha do nas, a kilku jego kompanów zanosi się śmiechem.

- Halo, dziewczęta, to plac budowy, nie miejsce na piknik.

- Jesteś pewna, że możemy tu stać, Isabelle?

- Nie zwracaj na nich uwagi. - Niewzruszona, całą uwagę skupiła na aparacie.

Mężczyźni potrząsnęli głowami i zajęli się pracą. Spojrzałam na Isabelle.

- Myślisz, że będzie ci ciężko jako jednej z garstki kobiet na Sorbonie?

- Na pewno będzie ciekawiej niż na balach - odpowiedziała, mocując aparat na statywie. Jej podwójne życie wciąż było dla mnie czymś niepojętym.

- Ale kiedyś wyjdiesz za mąż - drażylałam. - I z pewnością nadal będziesz miała pewne obowiązki towarzyskie do wypełniania.

- Wystarczająco trudno jest być kobietą na uczelni. - Pokręciła głową.
- A nie da się połączyć roli żony z wyższych sfer z rolą naukowca.

- Co masz na myśli? - Wezbrała we mnie fala niepokoju. Isabelle spojrzała na mnie jak na niedorozwiniętą.

- Jeśli zdam maturę, nie wyjdę za mąż. - Wypowiedziała te druzgoczące słowa, jakby stanowiły oczywistość, po czym wróciła do mocowania aparatu. Stałam oniemiała, z otwartymi ustami.

- Co takiego? - zaczęłam. Strach obleciał mnie niczym silny podmuch wiatru, który zerwał się w tej samej chwili. - Nie wiedziałam. - Słyszałam trwogę we własnym głosie. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że plany naukowe Isabelle stoją w jawnym konflikcie z życiem małżeńskim. Myślałam, że to tajemnica, ponieważ hrabina nie popiera wyższej edukacji u kobiet. Gdy tak stałam nieruchoma, smagana wiatrem, uświadomiłam sobie, że wspierając Isabelle, niweczę plany hrabiny, a przecież nie po to mnie zatrudniła. Nie można grać w szachy białymi i czarnymi figurami jednocześnie.

- Ale chyba nie chcesz zostać starą panną? - Kiepski argument, ale nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Isabelle tylko wzruszyła ramionami, zdjęła osłonę z obiektywu i przetarła szkło szmatką.

„Wymyśl coś, wymyśl” - powtarzałam sobie w duchu.

- Jeśli wolność jest dla ciebie tak istotna, wiedz, że zameżne kobiety doświadczają jej więcej niż te samotne. Nie musisz stale znajdować się pod opieką; nikt ci nie mówi, że nie możesz wyjść sama z powozu lub przebywać w jednym pomieszczeniu z mężczyzną. Spójrz na swoją matkę i *madame Vary*. Robią to, co im się podoba.

Isabelle zakryła obiektyw i się wyprostowała.

- Kobieta zameżna traci swój status, majątek, wszystko. Staje się własnością męża. Poza tym... Popatrz na mnie. - Wskazała na wieżę. - Nie potrzebuję niczyjego pozwolenia, aby tu być, prawda?

Miała rację. Spojrzałam na żelazną sylwetkę wznoszącą się obok i poczułam się bezsilna i wobec tej potężnej konstrukcji, i wobec trudnego położenia, w jakim się znalazłam. Dałam hrabinie do zrozumienia, że zażyłość między jej córką a księciem się pogłębia, zmierza wręcz w kierunku zaręczyn. Tymczasem wizja Isabelle dotycząca własnej przyszłości nie mogła być bardziej odległa. Przez jakiś czas wpatrywałam się w wieżę, rozważając swoją sytuację. Mężczyźni na górze wydawali się tacy niczym owady na wielkim zwierzu. Z daleka widziałam szkielety nowych konstrukcji.

Czy mogłam jakoś wpłynąć na Isabelle? Czy powinnam powiedzieć wszystko hrabinie? Byłam pewna, że mnie wyrzuci, kiedy tylko się dowie, że za jej plecami wspierałam jej córkę. A co będzie oznaczać dla mnie odrzucenie zaręczyn przez Isabelle? Również utratę posady? Nie mogłam nic zrobić, mogłam jedynie żywić nadzieję, że wiarołomne plany mojej towarzyszki nie wyjdą zbyt szybko na jaw. Ależ zamęt.

- Jak długo będzie stać ta wieża, zanim ją rozbiorą? - spytałam, zmieniając temat.

- Najwyżej kilka lat. - Isabelle pochyliła się, by zerknąć przez szklane okienko z tyłu aparatu.

- Dlaczego paryżanie tak jej nie lubią? - zastanawiałam się głośno.

- Wiele osób uważa, że jest brzydka i niewyszukana. - Te słowa zabolowały. Te osoby musiały mieć podobne usposobienie do tych, które na godziny wynajmowały damy dla kontrastu.

- Przecież coś niewyszukanego też może być piękne - rzuciłam bardziej do siebie niż do niej.

- Zerknij i powiedz, co myślisz o tym kadrze. - Zaskoczyła mnie jej prośba.

- Nie będę wiedziała.

- Tylko spójrz - nalegała, wskazując okienko.

Pochyliłam się i zobaczyłam obraz odwrócony do góry nogami. Widziałam wyraźne wzory geometryczne na żelaznej strukturze kontrastującej z bladoszarym niebem. Budowa wieży była nieprawdopodobnym wyczynem wymagającym tak samozaparcia, jak i wyobraźni.

- Wygląda dobrze - powiedziałam, prostując się. - Rozbiórka jej będzie wielkim wstydem. Cały herkulesowy wysiłek, by postawić coś wielkiego i mocnego, co oprze się żywiołom, pójdzie na marne. To tak jakby czyjeś marzenia legły w gruzach.

Isabelle wybrała kliszę.

- Tym lepszy powód do uwiecznienia jej teraz. - Wyjęła szkiełko, żeby móc wpasować negatyw. Uniosła drewnianą przesłonę chroniącą kliszę przed światłem, a następnie wskazała osłonę obiektywu. - Ty robisz zdjęcie.

Zdjęłam osłonę zakrywającą obiektyw, dzięki czemu światło słoneczne naświetliło szklaną kliszę, rzucając na nią widok, który miałam przed oczami. Skoro człowiek jest zdolny postawić trzy-stumetrową wieżę, ja poradzę sobie z podwójnym życiem Isabelle.

Rozdział dwudziesty trzeci

W końcu nadszedł dzień, którego nie spędzałam w towarzystwie Isabelle i jej rodziców. Przez ostatnich kilka tygodni przebywałam z nimi tak często, że niemal zapomniałam, jak wygląda moja ponura dzielnica. Po wizytach na prawym brzegu, przemierzaniu w powozach szerokich bulwarów oraz podziwianiu potężnych kamienic obraz nędzy, ubóstwa i zrujnowanych budynków był wstrząsem dla oczu.

Wieczór w operze stał się wzorem dla wielu kolejnych wyjść w towarzystwie hrabiostwa, ich córki oraz grona kawalerów. Byliśmy na wyścigach konnych z markizem, słuchaliśmy muzyki kameralnej z angielskim lordem, a także bawiliśmy w Lasku Bulońskim u boku kapitana armii.

Częstym gościem był również Xavier de Rochefort, który niejako wynagradzał nieobecność księcia. Isabelle wyglądała stosownie, ale to było wszystko, co hrabina mogła kontrolować. Jej córka była bowiem jednakowo chłodna wobec dżentelmenów. Przepytywała ich z nauki i polityki, sprawdzała ich wiedzę ogólną oraz upodobania czytelnicze. To złościło hrabinę niepomnie, a presja, by coś z tym zrobić, ciążyła na mnie.

Moja misja polegała na zadowoleniu obu stron. Prowadziłam podwójne życie agenta, skrywając sekrety powierzone mi zarówno przez matkę, jak i przez córkę. Pomagałam Isabelle w jej potajemnych praktykach naukowych i pokrzepiałam hrabinę, rozprawiającą o kandydatach na zięcia, nie wspominając o uporczywym wyczekiwaniu przez nią powrotu księcia z Anglii. *Madame* Dubern wykazywała się w tej materii niecierpliwością godną rozgorączkowanej debiutantki. To było wyczerpujące, mimo to zdążyłam przywyknąć do odgrywania takiej roli, jakiej ode mnie oczekiwano.

Jeśli zaś chodzi o moją pozycję w towarzystwie, odkąd ustalono, że nie mam żadnego majątku ani znajomości, zaczęto mnie traktować z powszechną obojętnością. Czasami, kiedy czułam się silna, nie wadziło mi to, mogłam wtedy obserwować ludzi i odgadywać tajemnice ich duszy. Niekiedy jednak czułam się podle. Problem z profesją damy dla kontrastu polegał na tym, że miałam mnóstwo czasu na przyjrzenie się własnym niedoskonałościom. Ponadto nieustannie przypominano mi o mojej nieodpowiedniej pozycji społecznej. A ja choć raz chciałam zabłysnąć.

Otworzyłam drzwi do mansardy, otrząsnęłam się z zimna i powiesiłam na haku swój nowy płaszcz. Oprócz niego kupiłam także parę rękawiczek wykończonych futrem, które pasowały do peleryny z szafy hrabiny Dubern. W sklepie biłam się z myślami, czy przepuścić pieniądze na rękawiczki, czy może przesłać ojcu pewną sumę. Wygrało to pierwsze. Peleryna wisiała przerzucona przez oparcie krzesła przy toaletce. Obiecałam sobie, że włożę ją tylko raz i odniosę do agencji, ale nie potrafiłam się z nią rozstać.

Kiedy nie zabierano nas na bale i bankiety, wycofywałyśmy się z Isabelle do jej pokoju nauki. Tam ją przepytywałam na okoliczność egzaminu maturalnego. W zamian za to ona pokazywała mi, jak korzystać z aparatu i wywoływać odbitki.

Po prawdzie chętniej wyczekiwałam czasu spędzanego w jej pracowni niż uczestniczenia w wytwornych paryskich przyjęciach. Nadal nie powiedziałam Marie-Josée o moich pozazawodowych spotkaniach z Isabelle. Kiedy wpadałyśmy na siebie w garderobie, plotkowałyśmy o sprawach związanych z agencją i o wydarzeniach, w których ostatnio uczestniczyłyśmy z naszymi klientkami. Na temat samej Isabelle mówiłam tak mało, jak tylko mogłam. Miałam poczucie, że Marie-Josée byłaby zawiedziona, gdybym powiedziała jej o przyjaźni z hrabianką.

Rzuciłam się na łóżko i powtórzyłam dzisiejszą lekcję fotografii, czyli czas ekspozycji i ustawienia przysłony. Kimże jest fotograf? Czy tylko osobą obsługującą aparat, ustawiającą ostrość i mieszającą odczynniki? Czy fotografia to wyłącznie wierne rejestrowanie życia i przenoszenie go na pocztówki oraz wizytówki? A może jednak coś więcej? Dotychczas udało mi się zrobić jeden przyzwoity portret Isabelle oraz niepozowane zdjęcie pomywaczek w kuchni hrabiostwa Dubern. Dobry portret nie tylko prezentuje wygląd modela, lecz także podpowiada odbiorcy jego myśli. To wcale nie jest proste. Uchwycenie idealnego momentu może wydawać się równie trudne jak schwytanie elfa.

Być może nie zostałam obdarzona talentem jak malarze, którzy potrafią wzniecić życie za pomocą cienkiej warstwy farby lub kilku pociągnięć węglem. Miałam jednak dar obserwacji. Widziałam, za czym tęsknią inni. A to dobry początek przed nabyciem umiejętności fotograficznych. Moja namiętność do tej sztuki rosła, aż w końcu mogłam powiedzieć sobie tylko jedno słowo: tak. Kiedy w kuwecie z chemikaliami po raz pierwszy ujrzałam zrobione przeze mnie zdjęcie, już wiedziałam, że jestem uzależniona. I to odkrycie pchnęło mnie dalej.

Isabelle lubiła poważnie traktować naukę. Eksperymentowała z różnymi roztworami, by nadać zdjęciom pożądany ton. Ja wołałam działać

niestandardowo. Lubiłam to uczucie niepewności, kiedy na papierze pojawiała się twarz, a ja wciąż nie byłam pewna, czego mogę się spodziewać. Zaczęłam się wręcz zastanawiać, czy mankamenty widoczne na fotografii nie są integralną częścią portretu. Słaba ostrość, niedostateczne naświetlenie, źle rozproszona emulsja, tajemnicze linie, zniekształcenia obrazu... Wszystkie te elementy mogły zmienić charakter zdjęcia i portretowanej osoby.

Zamknięta w ciasnym pokoju, nagle poczułam się niespokojna. Czyżby to był taki sam rodzaj szaleństwa, jaki towarzyszył Paulowi podczas pisania muzyki? Pragnęłam jak najszybciej powiedzieć mu o swojej nowej namiętności, niestety, nasze drogi nie przecięły się od czasu, kiedy znalazłam go pijanego na progu kamienicy.

Podniosłam się, włożyłam płaszcz podbity futrem, chwyciłam kapelusz i rękawiczki, po czym wyszłam z pokoju. Na zewnątrz zrobiło się zimno, przyspieszyłam więc kroku. Mróz szczypał mnie w nos, oczy łzawiły na wietrze. Paula najłatwiej było spotkać w Café Chez Émile. Zerknęłam przez okno i rozejrzałam się po twarzach. Nie było go. Postanowiłam pójść do jednego z pobliskich teatrów rewiowych w górę ulicy de Rennes. Wiedziałam, że regularnie grywa w którymś z nich. Pospieszyłam zatłoczoną ulicą i weszłam do najbliższego lokalu, nazywał się Le Palais. Natychmiast mnie stamtąd przegoniono.

- Otwieramy dopiero o szóstej, *mademoiselle!* - wrzasnął barman.

Po drugiej stronie było kolejne miejsce. Przekroczyłam ulicę, lawirując między powozami a omnibusem. Jak tylko weszłam do środka, uderzyło mnie jasne światło oraz zapach tytoniu i wina. Barman uzupełniał zapas butelek. Towarzystwa dotrzymywało mu kilku wczesnych klientów. Spojrzałam na podwyższoną scenę, gdzie siedział zespół. Dostrzegłam Paula przy pianinie. Wertował partyturę.

- Paul! - zawołałam, a żołądek podszedł mi do gardła, gdy wypowiedziałam to imię. Podeszłam do niego różnym krokiem. Podniósł wzrok znad nut, a uśmiech rozpromienił jego twarz.

- Maude! Gdzieś ty się podziewała?

Kiedy się doń zbliżyłam, cmoknął mnie w oba policzki. Jego usta zostawiły na skórze niewidzialny ogień, aż moja twarz zapłonęła.

- Chyba widziałem cię wczoraj przy avenue de l'Opéra, wysiadałaś z eleganckiego powozu.

Ukryłam zaskoczenie. Widział mnie w powozie hrabiostwa Dubern.

- Ach, z pewnością należał do rodziny, dla której pracuję - powiedziałam szybko. Wróciłam nim do agencji po spacerze w Lasku Bulońskim, ponieważ powóz pana Durandea był zajęty. - Nie widziałam pana od... - próbowałam zmienić temat, lecz zamilkłam, zdawszy sobie sprawę, że będę musiała wspomnieć noc, kiedy pomogłam mu dostać się do mieszkania. Nie chciałam powiedzieć: „Odkąd natknęłam się na pana na progu mojej kamienicy”.

- Znalazłem twój liścik. - Wyglądał na zmieszanego. Po raz pierwszy dostrzegłam, jak kurczy się jego pewność siebie. Najwyraźniej był zawstydzony swoim pijaństwem, miałam jednak nadzieję, że... Czyż mogło być coś jeszcze? Pomyślałam o utworze, nad którym pracował, *La Bretonne*. Czy mógł być o mnie? - Poczyniłem pewne postępy z kompozycją - dodał. - Mógłbym ją dla ciebie zagrać? Proszę.

Czytał w moich myślach? Odsunął dla mnie krzesło, zdjął czarną marynarkę i zasiadł przy pianinie. Zmienił partyturę, rzucił mi przelotny uśmiech, skupił się i zaczął grać.

Klawisze falowały niczym potok przejrzystej wody. Melodia była rozkoszna i czysta, choć pobrzmiwała w niej nuta smutku lub

raczej tęsknoty kryjącej się pod powierzchnią. Utwór poruszył we mnie emocje, które wydostały się na zewnątrz, wyszarpane z ukrycia. Zdawało się, że ta muzyka pochodzi prosto z mojego wnętrza. Nie była jedynie odegraniem uczuć. Ona sama była uczuciem. Wszystkim tym, co zamknęłam w sobie: marzeniami o Paryżu, rozczarowaniem pracą, strachem, rozpaczą i przerażeniem. Ale ponad to, gdzieś na samym dnie: nadzieją. Oczy mnie piekły, wargi drżały, muzyka przepływała przez ciało, a wieczna tęsknota za sukcesem - porzuceniem miasteczka i znalezieniem lepszego życia - wylała się ze mnie.

Paul skończył i spokojnie położył ręce na kolanach. Goście, ożywieni w czasie, gdy muzyka rozbrzmiewała, wraz z nastaniem ciszy stali się nagle bladzi i zalęknieni. Paul spojrzał na mnie. Choć milczał, w jego piwnych oczach malowało się pytanie.

- Paul, to było piękne. Niewiarygodnie piękne - wydusiłam z siebie z trudem.

- Jeszcze jej nie skończyłem. Martwię się, czy taka muzyka spodoba się ludziom. Czy w ogóle jest dobra?

- Trzeba to pokazać światu. Koniecznie! - zawołałam. Jak on w ogóle może w siebie wątpić? - Co za talent! Napisać muzykę, która przemówi do odbiorcy bez żadnych słów i wyjaśnień.

- Masz duszę artystki, Maude. Mam nadzieję...

- Piwa, *monsieur* Paul? - przerwał nam barman. - A może coś dla młodej damy?

Czekałam, co zamierzał powiedzieć. Na co miał nadzieję?

- Napijesz się czegoś? - zapytał.

- Nie, dziękuję. - Potrząsnęłam głową.

- Też nie powinienem. - Roześmiał się. - To tylko potwierdzi twoje obawy, że zapity utracysz ze mnie - dodał i krzyknął do barmana: - Nie trzeba, dziękuję, Jules!

Palilo mnie, by podzielić się z nim swoim zainteresowaniem fotografią, lecz się powstrzymałam. Jak wyjaśniłabym mu, że nauczyła mnie tego moja rzekoma uczennica? - Kiedy zagra pan utwór przed szerszą publicznością? - spytałam w zamian.

- Mam w planach koncert z paroma przyjaciółmi. Będziemy prezentować nasze nowe kompozycje przed gronem bogatych melomanów.

- Jestem pewna, że zagra pan wspaniale. A któregoś dnia pańska muzyka zabrzmie w operze paryskiej.

- Jesteś urocza - powiedział i pochylił się, by pocałować mnie w policzek.

Nie było to zwykle cmoknięcie, *les bises*¹⁵, jakie ludzie składają sobie na powitanie, lecz coś czulszego. Patrzyłam na niego i miałam ochotę rzucić mu się w ramiona. Rękawiczki upadły mi na podłogę. Zadowolona z chwilowego zamieszania schyliłam się, żeby je podnieść, i odetchnęłam głęboko, by dojść do siebie.

Zostałam parę chwil z Paulem. Pojawili się pozostali członkowie zespołu, przybywało klientów. Przeczekałam nawet jeden czy dwa tańce. Czułam się dobrze w towarzystwie Paula i jego przyjaciół, którzy kierowali się całkiem innymi zasadami niż arystokracja i których obowiązywała zupełnie inna etykieta. Nie musiałam wечно mieć baczenia na to, co kryje się pod gładką z pozoru wymianą zdań, ani wystawiać się na spojrzenia próżniaczkiej wyższej klasy.

Niespiesznie wracałam do domu. W płaszczu nie było mi aż tak dotkliwie zimno. A może to wieczór spędzony z Paulem podziałał na mnie w ten sposób? Już w pokoju, leżąc w łóżku, przez rozchylone zasłony patrzyłam na nocne niebo. Paryż... Lata świetlne

Buziaki (franc).

dziękuję mnie od smaganego wiatrem bretońskiego wybrzeża, gdzie deszczowe chmury rozplywają się w oceanie, horyzont jest wiecznie ponury, a jeden odcień szarości przechodzi w drugi. Istniało tyle możliwości, aby żyć w tym mieście. Która z nich była moja?

Rozdział dwudziesty czwarty

Czas płynął nieubłaganie i oto zbliżało się Boże Narodzenie, które miałam spędzić z rodziną hrabiostwa Dubern. Kiedy podczas kolacji jeden z gości niewinnie napomknął, że *madame Vary* wyjechała na południe Francji zażyć słońca, musiałam szybko coś wymyślić.

Powiedziałam Isabelle, że lekarz zalecił mojej ciotce podróż zdrowotną, a ja nie miałam nic przeciwko temu, by zostać sama. Młoda panienka zrobiła scenę, przez co hrabina była zmuszona poprosić mnie o pozostanie u nich przez cały tydzień, który rzekomo miałam spędzać sama w Paryżu. Hrabina przestała liczyć się z koniecznością podtrzymywania iluzji dotyczących naszych więzi rodzinnych.

W agencji spakowałam cały kufer ubrań, które wydobyłam z przeznaczonej dla mnie szafy. Miały mi wystarczyć na siedem dni. Skrzynia była zapchana po same brzegi i wiele wysiłku kosztowało mnie przesunięcie jej przez korytarz.

- Maude! - Laurent pospieszył mi z pomocą. - Zaniosę to na dół.

- Dziękuję, Laurent.

Rozprostowałam plecy, kiedy ten ciągnął kufer po drewnianej podłodze w kierunku schodów.

- Coś ty tam napchała? - zawołał. - Próbujesz przemycić Marie-Josée?
Na wspomnienie jej imienia poczułam ukłucie winy. Minęły wieki, odkąd miałyśmy ostatnio okazję spędzić razem kilka chwil. Byłam zbyt pochłonięta swoimi klientkami. Zanim jednak zdążyłam się nadmiernie przejąć, przypomniałam sobie, że coś zostawiłam.

- Zaraz wracam - powiedziałam do Laurenta. Zapomniałam o kapeluszu z soboli, który miałam założyć na pasterkę. Pobiełam korytarzem do swojej szafy.

- Maude! - usłyszałam za plecami głos Marie-Josée. Truchtała w moją stronę i złapała mnie tuż przed magazynkiem. - Długość się nie pokazywała. - Jej twarz była bardziej czerwona niż zazwyczaj, oddech miała ciężki z wysiłku. Ścisnęłam ją za ramię.

- Nie widziałam cię całą wieczność. - Miło było ją spotkać, ale naprawdę nie miałam czasu na plotki. Otworzyłam szafę i zaczęłam grzebać w pudłach z kapeluszami.

- Pomóż mi znaleźć kapelusz - zwróciłam się do niej.

- Który?

- Z sobolego futra.

- Chciałam się tylko upewnić, czy będziesz na wigilii dziś wieczorem - odezwała się, przerzucając kartony. - Moja siostra przez cały tydzień nagotowała masę wyśmienitych potraw.

Wspominała coś jakiś czas temu, ale całkiem wyleciało mi to z głowy. Przerwałam na chwilę poszukiwania i popatrzyłam na nią.

- Och, nie! Nie mogę. - Czułam się okropnie, ale cóż mogłam zrobić?
- Pracuję.

- W święta? Na pewno nie. - Wyprostowała się i skrzyżowała ręce. - Agencja postanowiła, że dzisiaj wychodzimy wcześniej i następne dwa dni mamy wolne.

Jej okazała sylwetka w tak małym pomieszczeniu mnie przytłaczała. Przepraszając wzruszyłam ramionami.

- Bardzo bym chciała spędzić ten czas z twoją rodziną, ale naprawdę muszę iść do pracy. Tak powiedział Durandeu.

Z drugiej strony byłam niezwykle podekscytowana całym tygodniem spędzonym w luksusowych wnętrzach rezydencji Dubern. Wróciłam do poszukiwań kapelusza; podnosiłam wieczka kolejnych pudeł, zagłębiałam pod warstwy papieru ochronnego.

- Powinnaś pomówić o tym z Durandeu - stwierdziła Marie-Josée rozdrażniona moim zachowaniem.

- Zdaje się, że za okres świąteczny wynagradza podwójnie - powiedziałam. - Zgodził się, bym i ja dostała dodatkową zapłatę.

Wreszcie znalazłam kapelusz. Leżał ukryty pod warstwą apaszek.

- Jest! - krzyknęłam. Był wykwiniony, w jasnobrązowym kolorze, z piórami z jednej strony. Miałam zamiar go nosić, nawet gdy zrobi się naprawdę zimno.

- Pójdę z tobą, jeśli chcesz - zadeklarowała Marie-Josée.

- Dokąd? - Mój głos zabrzmiał ostro, choć wcale nie miałam takiego zamiaru.

- Porozmawiać z Durandeu o pracy w święta.

- Nie, nie musisz. To i tak bezcelowe. - Starłam się nie stracić cierpliwości. Trzymałam kapelusz między nami. Mój ton był zbyt surowy, uśmiechnęłam się więc pojednawczo. - No, w końcu go znalazłam! - Spojrzałam na kapelusz, niby przypadkiem unikając jej wzroku. Było mi źle, ale naprawdę nie chciałam dłużej się tym dreczyć. Powóz czekał. - Powinnam już iść. - Skinęłam głową w stronę drzwi.

Marie-Josée pojęła aluzję i odwróciła się do wyjścia. Stała nade mną, kiedy zamykałam magazyn.

- Wstyd. Na kolację miała być pieczeń. Dzieci wyczekują spotkania z tobą.

- Racja, masz trzy siostrzenice.

- Dwie siostrzenice i bratanka. - Pokręciła głową. Czułam się źle, nawet jeśli nie było w tym mojej winy.

- Przykro mi, ale nie mam wyboru, Marie-Josée. - Dałam jej buziaka w policzek. - Nie mogę odmówić państwu Dubern.

-Skoro musisz pracować, to musisz... Trudno. Po prostu dawno cię nie widziałam. - Jej radosna twarz po raz pierwszy stężała. - Ta praca zawładnęła twoim życiem. Myślałam, że chociaż święta spędzisz spokojnie.

Powóz czekał na dole. Miękkie podbicie kapelusza pieściło moją dłoń.

- Wiem, przepraszam. Najlepsze życzenia dla rodziny - powiedziałam radośnie. - Z pewnością będziesz miała wspaniałe święta.

Marie-Josée stała na korytarzu, gdy się od niej odwróciłam. Pobiełam na schody i wsiadłam prosto do powozu. Przez cały czas czułam na sobie jej spojrzenie.

Rozdział dwudziesty piąty

Pasterka to w Paryżu wspaniała ceremonia. Nie przypuszczałam tylko, że kościół jest dla arystokracji kolejną sceną do zadawania szyku, nie zaś miejscem pokornego obrzędu religijnego. Zazwyczaj podczas nabożeństwa byłam niecierpliwa, siedziałam sztywno w twardej ławce i odliczałam minuty do końca. W święta szczególnie, kiedy w domu czekał suto zastawiony stół.

Wcześniej w każdą niedzielę musiałam przecierpieć wizytę w kościele w towarzystwie ojca, który - jako właściciel sklepu - uważał się za jeden z filarów naszej małej społeczności, na równi z księdzem i lekarzem. Nalegał, byśmy dawali dobry przykład, pokazując się razem. Ciągące się kazanie pożerało część mojego wolnego, ale później miałam czas dla siebie i resztę dnia spędzałam nad wodą.

Ocean nie podlegał niedzielnym regułom. Fale roztrzaskiwały się o brzeg i wdzierały na ląd, a mewy skrzeczały w zacinającym wietrze. Na plaży panował bezwzględny chaos. Tony kamieni, pokruszone muszelki, porozrzucane wodorosty. Znajdowałam swoją ulubioną skałę i siadałam na niej obok odcisku dłoni syreny, który w rzeczywistości był zwykłym zagłębieniem, tyle że wyglądem

przypominał małą rączkę. Zimny wiatr smagał mnie i ziębił, lecz ja nie przejmowałam się pogodą. Bliższe mi były dramaty i radości zawarte w kazaniu Matki Natury niż w słowach ojca Leguin.

Jednakże tamtej nocy w kościele de la Madeleine zastanawiałam się, czy przypadkiem nie trafiłam do opery. Piękno okazałego budynku, wierni w futrach i biżuterii, anielskie głosy chórzystów, a wszystko skąpane w niebiańskim świetle rozlewającym się z tysięcy świec. Z wyjątkowym entuzjazmem śpiewałam pieśni. Nie dla Jezusa wszakże, lecz ku chwale własnego szczęścia, że oto jestem częścią owego splendoru.

Po powrocie do domu czekała nas niezwykła ucza z udziałem licznej rodziny Dubern. Była siostra hrabiny, atrakcyjna, choć nie tak olśniewająca jak sama hrabina; byli jej mąż i nieletni synowie; było też kilku dalszych kuzynów i młodszy brat hrabiego, czyli ulubiony wujek Isabelle. Ten, który podarował jej aparat.

Wzięłam łyk wina. Znałam już różnicę między tanim trunkiem z karafki a wybornym rocznikiem z hrabiowskiej piwnicy. Służący nałożył mi kolejną porcję gęsi, choć wiedziałam, że nie zdołam jej skończyć. Kuzyni stroili do siebie miny. Było już późno, zmogło ich zmęczenie, zaczęli kaprysić. Obok mnie siedział wujek Isabelle. Rozmowa z nim nie była trudna - jego błękitna krew musiała być nieco zabarwiona krwią dekadencją. Tego wieczoru nawet hrabina wydawała się łagodniejsza. Rodzinna atmosfera była niezobowiązująca. Przynajmniej nie musiałam martwić się potencjalnymi kandydatami do ręki Isabelle czy planami hrabiny dotyczącymi zamążpójścia córki. I czerpałam z tego przyjemność.

Po wieczerzy rodzina udała się do salonu, aby wręczyć sobie prezenty. Była choinka, w kominku płonął trzaskający ogień, na stole przy oknie ustawiono szopkę z niewielkich malowanych figurek. Pokój intensywnie pachniał orzechami i grzanym winem. Nie spodziewa-

łam się, że dostanę prezent, ale hrabina przywołała mnie gestem i wręczyła mi pudełko. Na wieczku była kartka, a na niej napis: „W podziękowanie za przyjaźń z Isabelle”. Ogarnęło mnie posępne poczucie winy, wiedziałam bowiem, że w ten sposób hrabina płaci mi za posługę. Była to świąteczna premia od pracodawczyni, nie podarek z głębi serca. Otworzyłam pudełeczko i ku swojemu zdumieniu na czarnym aksamicie ujrzałam lśniąca, wysadzaną klejnotami wspaniałą bransoletkę. Była podobna do tej, którą przed kilkoma miesiącami hrabina pozwoliła mi przymierzyć. Nie mogłam uwierzyć w jej hojność. Założyłam klejnot natychmiast. Pani Dubern pomogła mi go zapiąć.

- Podoba ci się? - spytała z uśmiechem.

- Jest cudowna. Dziękuję, pani hrabino. - Zachwyty nad prezentem rozwiął poczucie winy.

Isabelle podarowała mi notatnik ze złotymi inicjałami wytłoczonymi na okładce.

- Mam dla ciebie coś jeszcze, ale dam ci później - szepnęła.

- Jestem taka zakłopotana. Nie mam dla ciebie żadnego prezentu - przyznałam.

- Nie musiałaś - odparła. - Po prostu się ciesz. Rozejrzałam się po salonie, następnie zerknęłam na bransoletkę.

Po raz pierwszy miałam wrażenie, że naprawdę tu przynależę. Było już późno, kiedy służąca w świetle lampy zaprowadziła mnie do sypialni. Ściany zostały obite zieloną tapetą z subtelnymi liściastymi motywami. Na środku pokoju stało szerokie łóżko z ciemnego drewna z czterema słupkami w rogach, przykryte haftowaną narzutą. Na lustrzanym stoliku dostrzegłam ceramiczną rzeźbę przedstawiającą Azjatkę. Pod stopami miałam gruby dywan w zielone i białe kwiaty. Płonął ogień. Służąca postawiła lampę przy łóżku.

- Przygotuję koszulę do spania, *mademoiselle* - odezwała się. - Zdaje się, że panienka zapomniała zabrać swoją.

Uświadomiłam sobie, że do szafy nigdy nie trafiła od hrabiny żadna bielizna do spania.

- Potrzebuje panienka pomocy przy rozebraniu się? - spytała służąca. Ponieważ już raz mi pomagała włożyć strój świąteczny, tym razem nie byłam zaskoczona.

- Gdybyś mogła rozpiąć mi guziki. - Odwróciłam się do niej plecami, a ona w mgnieniu oka rozwiązała mi gorset, następnie pomogła wydostać się z sukienki, którą odwiesiła do szafy.

- *Bonne nuit*¹⁶, *mademoiselle*. - Zamknęła za sobą drzwi, a ja po raz pierwszy zostałam sama w tym niebiańskim pokoju, który był dwukrotnie większy od mojej mansardy.

Było późno, lecz nie ośmieliłam się spać. Nawet gdybym chciała, moje ciało wrzało z podekscytowania, że przez tydzień będę mieszkać w domu hrabiostwa Dubern. Przechadzałam się po pokoju, muskając palcami meble i udając, że jestem do nich tak przyzwyczajona jak do należących do mnie wypłowiałej komody i starego krzesła. Zerknęłam za kotarę w ciemną noc. Było spokojnie, inaczej niż w mojej okolicy. Ukojeni luksusem mieszkańcy rezydencji spali w wielkich łóżach pod kołdrami z gęsiego puchu.

Pod oknem stało biurko z drewna orzechowca, na nim zaś kałamarz, przy którym leżał papier listowy. Do kogo mogłabym napisać o swoim szczęściu? Usiadłam, wzięłam pióro, osuszyłam w bibule i przyłożyłam do papieru.

Cher Papa,

Chcę, żebyś wiedział, że u mnie wszystko dobrze. Jestem w Paryżu, co stanowi spełnienie moich marzeń. Mam grono bogatych przyjaciół, którzy się o mnie troszczą.

Dobranoc (franc).

Dałam się ponieść wyobraźni.

Jako debiutantka bywam na balach i bankietach w towarzystwie kandydatów na męża, którzy rywalizują o moje względy. Mam wszystko, czego mi trzeba, nie musisz więc się martwić. Pogódź się jednak z tym, że nie zamierzam wracać do Bretanii. Napiszę później, żeby powiadomić cię o ślubie. Nie ulega wątpliwości, że będziesz zaproszony na wesele. Twoja córka, Maude

Dla większego efektu napisałam adres hrabiostwa, ponownie przeczytałam list, po czym zgmiotłam go i wrzuciłam kulkę papieru do ognia. Patrzyłam, jak moją fantazję połykają płomienie. Nawet jeśli nie śniłam o wysłaniu takiego listu, miło było trochę poudawać.

Weszłam do łóżka i przykryłam się kołdrą haftowaną w kwietne wzory. Nie gasiłam jednak lampy - leżałam z otwartymi oczyma, chłonąc piękno i bogactwo pokoju. Byłam jak otoczona kwiatami Ofelia. Gotowa, by uśmiercić starą Maude Pichon i rozpocząć nowe życie.

- Maude Dubern - szepnęłam, wyobrażając sobie, że jestem starszą córką hrabiostwa. Udawałam, że leżę w swoim pokoju, a sukienki w szafie to moje stroje; że nadszedł długo wyczekiwany sezon i tańczę z przystojnymi kawalerami, którzy cenią sobie mój dowcip i moją inteligencję. Moja siostra Isabelle ma wdzięk i urodę, ale to ja - choć cicha i bardziej pospolita - wciąż urzekam paryską socjetę. I tak oto w duchu radosnego samooszukiwania się zapadłam w sen.

W świąteczny poranek obudziła mnie służąca, która przyszła rozpalić ogień w kominku. Słyszałam, jak Geneviève szepcze do pomywaczki, by ta pospieszyła się i wyszła z pokoju, zanim się obudzę.

Otworzyłam oczy, kiedy Geneviève stawiała tacę ze śniadaniem na moim łóżku.

- *Bonjour, mademoiselle.*

- Możesz mi powiedzieć, która godzina? - zwróciłam się do niej per ty. W końcu była tylko służącą.

- Po dziesiątej, dzisiaj wszyscy śpią do późna, *mademoiselle.*

- Czy Isabelle już wstała?

- Tak, właśnie się szykuje. W świąteczne poranki rodzina spotyka się w salonie. Wróć pomóc panience się ubrać. - Spuściła wzrok na podłogę. - Zdaje się, że miała pani nocnego gościa.

Geneviève wyszła, a ja wychyliłam się z łóżka. Na posadzce leżały dwa prezenty zapakowane w srebrną bibułkę. Otworzyłam je pospiesznie i z wielkim zaskoczeniem odkryłam aparat fotograficzny i opakowanie szklanych klisz. Isabelle.

Rozdział dwudziesty szósty

- Księżę wrócił z Londynu, a wiem z wiarygodnego źródła, że wieczorem będzie bawił na koncercie. - Hrabina nie kryła podekscytowania, kiedy przekazywała mi tę wiadomość podczas przechadzki w ogrodach Tuileries w świąteczne popołudnie.

Jej podniecenie spłynęło na mnie, a moje serce zadrżało na myśl o ponownym zobaczeniu księcia. Po chwili opanowałam się i oceniłam sytuację chłodnym okiem. Rozgrywka znowu rozpoczęła, a ja jestem w samym centrum gry. Należało kierować się logiką szachisty.

- Mam nadzieję, że Isabelle wykrzesze z siebie odrobinę uroku, aby go olśnić - rzekła hrabina z westchnieniem, spoglądając surowo na córkę idącą przed nami u boku hrabiego. - Jest taka nieustępliwa, a to nie czyni jej atrakcyjną. Nic, tylko nauka i polityka. To jak kubek zimnej wody na miłosny płomień.

Powędrowałam za jej wzrokiem ku postaci w białym płaszczu. Gdyby tylko hrabina wiedziała, jak bardzo uparta jest jej córka. Zastanawiałam się, czy mogłabym powiedzieć jej o planach Isabelle bez narażania się na kłopoty.

- Najlepiej by było, gdybym już wiosną ogłosiła zaręczyny - ciągnęła. Spojrzałam na nią.

- Wiosną? - powtórzyłam zaskoczona. - To bardzo niedługo!
- Mniemam, że do tego czasu uda jej się utrzymać jego zainteresowanie. - Szturchnęła mnie palcem w rękawicze niczym magiczną różdżką. - Twój wpływ będzie kluczowy.

Zwątpienie ścisnęło mnie w gardle. Chciałam coś powiedzieć, powściągnąć jej oczekiwania, lecz cóż miałam rzec? Nie śmiałam przeciwstawić się hrabinie. Z trudem przełknęłam ślinę.

- Isabelle to niezależna dziewczyna - ośmieliłam się wyznać. Tyle mogłam powiedzieć, by ostudzić zapał jej matki.

- Owszem, ale przyjaźń jest jej słabością, a między nimi już rozkwitło uczucie. Wystarczy, że nieco jej doradzisz, zachęcisz ją, a będę spokojna.

Myślałam, że da mi więcej czasu. Durandeau wspominał, że sezon potrwa do lata, a ja, naiwna, chciałam uszczęśliwić wszystkich naraz. Hrabina jednak oczekiwała wyników. Czy zdołam wzbudzić w Isabelle taki sam zapał do zamążpójścia, z jakim oddawała się nauce?

- Kiedy już się zaręczy, twoja posługa dobiegnie końca. Wtedy oczywiście pomyślimy o odpowiednim wynagrodzeniu twoich wysiłków.

- Jakim wynagrodzeniu? - Pod rękawem wyczuwałam nową bransoletkę i już ogarniało mnie zakłopotanie na myśl o kolejnym cennym podarku.

- Jeszcze się nad tym zastanowię. - Hrabina podniosła kołnierz. Jej płaszcz był wykończony ogonami norek, które bujały się w jednym rytmie, gdy się poruszała. - To oczywiście będzie zależało od twojej skuteczności.

Po powrocie ze spaceru poszłam do Isabelle. Zamierzałam sprawdzić jej stosunek do kwestii zamęścia. Specjalnie unikałam tego

tematu od naszego pobytu na placu budowy, ona też więcej do tego nie wracała. Bez pukania otworzyłam drzwi jej pracowni. Dom państwa Dubern stał mi się tak samo bliski jak mój. Usiadłam w jednym z foteli ustawionych przed kominkiem. Isabelle ślęczała przy stole nad jakimiś papierami.

- Zaraz kończę - rzuciła.

- Nie spiesz się. - Odprężyłam się w wygodnym fotelu i zapatrzyłam w ogień. Jak ją podejść, żeby wypaść przekonująco? Należało wykorzystać jej potrzebę niezależności i dążenie do zdobywania wiedzy. Nie mogłam przecież sugerować, aby zarzuciła te wartości.

Rozległo się pukanie do drzwi i do pokoju wszedł kamerdyner, niosąc srebrną tacę z dwoma parującymi kieliszkami grzanego korzennego wina.

- Coś na rozgrzanie po spacerze, *mesdemoiselles*. - Podał mi kieliszek, drugi zaś postawił na biurku przy Isabelle, po czym wyszedł.

Sączyłam aromatyczny trunek. Spływające wzdłuż przełyku gorące wino zaróżowiło mi policzki. Rozpoznawałam już wszystkich służących i wiedziałam, jaką kto pełni funkcję. Wcześniej byli dla mnie obcy i tak samo przerażający jak hrabiostwo. Teraz zrobiło się inaczej. Wzięłam kolejny łyk. Słodki i wyrazisty od przypraw. Ogień trząskał w kominku, wyciągnęłam nogi w jego kierunku i poruszyłam palcami u stóp, czerpiąc radość z przyjemnego otoczenia.

- Odsuń krzesło - ponagliłam Isabelle.

- Wybacz, już do ciebie idę. Powtarzałam łacinę.

- Onieśmiela mnie twoja zdolność do kojarzenia tych terminów naukowych. - Uśmiechnęłam się, kręcąc głową.

- To wcale nie jest trudne. Trzeba tylko zapamiętać trochę rzeczy - powiedziała, podchodząc do mnie z kieliszkiem w dłoni. Usiadła w fotelu naprzeciwko. Na jej twarzy wciąż malowało się skupienie.

- Jak długo po złożeniu dokumentów na Sorbonie dowiesz się, czy zostałaś przyjęta?

- Do lata powinnam wiedzieć. - Pociągnęła łyk. - Jestem gotowa oznajmić to matce. To powinno przystopować jej zapędy, by mnie swatać.

Omiał się nie zakrztusiłam. Zrobiło mi się słabo, kiedy wyobraziłam to sobie. Isabelle powie wszystko matce i z pewnością nie omieszka jej poinformować o moim silnym wsparciu. W jednej chwili pożegnam się z posadą. Zdjęta strachem zaczęłam szybko myśleć.

- Isabelle, szczerze mówiąc, poczekaj z tym jeszcze trochę - powiedziałam ostrożnie. - Nie lepiej dotrwać do końca sezonu, kiedy będziesz już wiedziała, czy się dostałaś?

- Chyba masz rację. - Westchnęła i zwiesiła ramiona. A ja odechnęłam z ulgą.

Skoro już wspomniała o największej przeszkodzie, czyli o matce, wiedziałam, jak powinnam przedstawić małżeństwo w pozytywnym świetle.

- Myślałam nad tym, co powiedziałaś mi wtedy pod wieżą... - zaczęłam. Podniosła głowę z zainteresowaniem. - Nie przyszło ci nigdy do głowy, że mąż mógłby popierać twoją chęć studiowania? Wtedy lepiej byłoby wziąć ślub, niż jak dziecko siedzieć w domu rodziców.

- Po czyjej ty jesteś stronie? - Zmierzyła mnie wzrokiem. - Zawarłaś jakiś pakt z moją matką?

Jej przenikliwość zbiła mnie z tropu. Wzruszyłam ramionami, starając się zachowywać naturalnie. - Po prostu myślę, że nie powinnaś tego odrzucać.

- A co z tobą? - Odstawiła kieliszek. - Przecież nie przyjechałaś do Paryża szukać męża.

- Chciałabym poślubić odpowiednią osobę - odparłam szczerze. - A na przykład taki książe? - rzuciłam od niechcienia. - Jest

miły, czuje do ciebie sympatię. Właśnie wrócił z Anglii. Wyobraź sobie, że ci się oświadcza...

- Musiałabym mu odmówić - przerwała.

- Nie możesz! - zareagowałam gwałtownie. Może nawet za bardzo. Drażniło mnie, że Isabelle jest całkowicie obojętna wobec takiego mężczyzny. - Zbyt pochopnie go odtrącasz. Jakbyś odmawiała kolejnej łyżeczki cukru w herbacie lub kawałka ciastka. Księżę to dobra partia. Majętny, szarmancki.

- Maude! - Wbiła we mnie wzrok i zdziwiona przekrzywiła głowę. Opuściłam ramiona. Zbyt mocno naciskałam, przez co właśnie się zdradziłam.

- A więc księżę ci się podoba. - Isabelle spojrzała na mnie kocimi oczami i się uśmiechnęła. Obląłam się rumieńcem, usiłując zdusić emocje.

- Co? Oczywiście, że nie. Niedorzeczność. - Mimo to wiedziałam, że słowa przeczą mojej minie. Isabelle rzuciła światło na moje skrywane głęboko pragnienia. - To znaczy, podoba mi się jako kawaler dla ciebie. To nie jest partia dla mnie.

- Podoba ci się! - Roześmiała się. - Odkryłam twój sekret. Cóż, będzie dzisiaj wieczorem na balu. Musimy was do siebie zbliżyć. - Podniosła kieliszek, aby wznieść toast. - Za księcia i Maude.

Co ja zrobiłam? Zachwyty i przerażenie zagrały jednocześnie na tej samej strunie, tworząc kakofonię. Nie tak miało wyglądać wydawanie hrabianki za mąż.

Przed świątecznym balem jedna z ambasad organizowała recital fortepianowy. Sala oszalała dekoracjami ze złota i z kości słoniowej. Na suficie wymalowano cherubinki, które były wyrzeźbione także na gzymsach. Pomieszczenie lśniło bijącym z kandelabrow blaskiem, przed rzędami zdobionych krzeseł ustawiono pia-

nino. Stanowiło to ogromny kontrast do teatrów rewiiowych na Montparnasse.

Po tym, jak Isabelle powzięła swój plan skojarzenia mnie z księciem, całe popołudnie spędziłam na fantazjowaniu. Nie mogłam oprzeć się myślom, że może jednak będę należeć do arystokracji. Nawet moja suknia, kremowy szyfon z jedwabiem i czarne koronki z cekinami, była tej samej klasy co ta, jaką miała na sobie Isabelle. Gdyby księżę mnie wybrał, wszystko inne przestałoby się liczyć. Hrabina, agencja, obskurne poddasze, pieniądze... Wszystkie troski by zniknęły, a ich miejsce zajęłoby życie jak z bajki. Księżna d'Avaray.

Mijały minuty, przybywali kolejni goście, a ja zaczęłam drzeć na myśl, czy księżę w ogóle się pojawi. Występ miał się rozpocząć lada chwila. W wytwornym tłumie poszukiwałam wyczekiwanej twarzy.

- Panie i panowie, prosimy o zajęcie miejsc - powiedział ambasador. Ostatni goście wsunęli się między rzędy krzesel. W naszym zasiedliłmy Isabelle, jej wujek i ja. Obok czekało puste miejsce dla księcia. Hrabia z hrabiną oraz państwo de Rochefort siedzieli przed nami. Układ ten był oczywiście dziełem Isabelle. Już miałam porzucić nadzieję, kiedy z daleka dostrzegłam postać przeciskającą się między krzesłami.

- Czy to miejsce jest wolne? - Odwróciłam głowę i ujrzałam promienne oblicze samego diuka. Cmoknął mnie w policzek i usiadł obok. Nie mogłam opanować łomoczącego serca. Kiedy jednak pochylił się, by dokładnie w ten sam sposób powitać Isabelle, pomyślałam: „Dlaczego miałby wybrać Maude Pichon zamiast hrabiowskiej córki?”.

Ambasador odchrząknął, żeby zwrócić naszą uwagę.

- *Mesdames et messieurs*, nasza ambasada patronuje sztuce. Dzisiaj usłyszemy oryginalną kompozycję młodego i utalentowanego artysty. Powitajmy go, oto *monsieur* Paul Villette.

Zaparlo mi dech w piersiach. Nie wierzyłam, że właśnie usłyszałam imię swojego znajomego. Należało ono do innego świata, do innego życia. Z pewnością to była jakaś pomyłka. Kiedy jednak witani oklaskami muzycy weszli na salę, westchnęłam. Pianistą rzeczywiście okazał się Paul Villette. Miałam wrażenie, że podłoga osuwa się pod moimi stopami.

Skuliłam się za pasmami bujnych włosów Claire de Rochefort, która siedziała tuż przede mną. Przy tak niewielkiej publiczności Paul bez trudu by mnie zauważył. A może ze względu na mój nietypowy strój jednak mnie nie pozna? Oby! Ukłonił się nieznacznie i zasiadł przy fortepianie lśniącem niczym tafla wody. Popatrzył na widownię akurat w chwili, kiedy Claire nachyliła się, by szepnąć coś do matki, całkiem mnie odsłaniając. Nasze spojrzenia się spotkały. Paul lekko ruszył głową i rzucił przelotne spojrzenie na moich sąsiadów. Skrzypkowie i wiolonczeliści zajęli miejsca; czekali na znak do rozpoczęcia.

Villette przerzucał kartki z nutami, a moje serce zamarło. Wydawało się, że koncert trwa wieczność, a z każdą minutą było coraz gorzej. Słodka melodia, którą Paul dla mnie grał, brzmiała lichy w stylowym wnętrzu sali. Reakcja publiczności była nieprzychylna. Dało się słyszeć szepty i chichoty, w tym także moich przyjaciół.

- Amatorzy - szepnął mi do ucha książę. Ścięło mnie. - Pianista w ogóle nie pasuje do tego finezyjnego instrumentu.

I choć było mi żal Paula, nie miałam ochoty przyznawać się do mało schludnego muzyka z potarganymi włosami, występującego w pożyczonej marynarce. Prawdę mówiąc, wstydziłam się za niego. Jego widok, narażonego na kpiny arystokracji, tylko spotęgował mój strach, że również ja tu nie pasuję; że zostanę zdemaskowana. Zerknęłam na księcia, później na Isabelle i jej wujka. Emanowali wdziękiem i pewnością siebie, Paul zaś przypominał nadwornego błazna.

Kiedy recital dobiegł końca, słuchacze opuścili pomieszczenie. Postanowiłam sprawdzić, jak Paul się czuje po tym katastrofalnym wykonaniu, nie chciałam jednak, żeby ktoś z kręgu Dubern dowiedział się, że jesteśmy znajomymi. Poszłam kilka kroków za Isabelle i resztą do sali balowej, lecz kiedy nikt nie patrzył, cofnęłam się niezauważona. Był sam. Zbierał kartki z nutami. Gdy podniósł wzrok, podeszłam doń ostrożnie, przeciskając się między krzesłami. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Czy w tym mieście wszystko jest na sprzedaż? - zapytał. - Jak wieloma dziewczynkami się opiekujesz? Widuję cię tylko w towarzystwie starszych panien. - Jego głos drżał z emocji. Dlaczego był na mnie zły?

- Paul, tak mi przykro z powodu występu.

- Myślisz, że jestem naiwny? Paryż to drogie miasto. Nie ty pierwsza korzystasz z tego rodzaju dobroczynności. Dziwię się, że twój protektor, chyba że jest ich więcej, nie zapewnił ci lepszego lokum. Patrząc na jego powóz, domyślałam się, że mógłby sobie pozwolić na bardziej luksusowe gniazdko dla swojej utrzymania. - Wsadził partyturę do skórzanej teczki. Aż westchnęłam, kiedy dotarło do mnie, co miał na myśli.

- Utrzymanka? Myśli pan, że... Przecież to absurd! - Powstrzymałam się od śmiechu.

- Absurd? Masz jakieś inne wytłumaczenie? Z pewnością nie jesteś guwernantką. A może się mylę?

Uświadomiłam sobie, że nie potrafiłabym mu tego wyjaśnić. Chwyciłam oparcie krzesła, żeby się podeprzeć.

- Nie, nie jestem guwernantką. - Prawda była upokarzająca. Gorsza niż jego przypuszczenia. Przynajmniej uważał mnie za zdolną do uwiedzenia mężczyzny.

- Myślałem, że jesteś inna. - Popatrzył na mnie surowo. - Że masz w sobie czystość, szczerłość, bezpośredniość, a ty w rzeczywi-

stości jesteś aktorką. Czy w ogóle interesujesz się sztuką, muzyką? Czy to też tylko pozór?

- Proszę przestać! - powiedziałam podniesionym głosem i rzuciłam okiem w stronę drzwi. Miałam nadzieję, że nikt nas nie słyszał. - Przez cały czas byłam sobą. - Ponownie na niego spojrzałam. Tym razem mówiłam szeptem. - Więcej nie potrafię wytłumaczyć, ale to nie jest tak, jak pan myśli. Pańskie rozczarowanie jest dla mnie bolesne. Nie będę udawać, że nie kłamałam, ale proszę nie oceniać mnie zbyt pochopnie.

- Musisz uważać mnie za skończonego naiwniaka. - Rzucił teczkę na stołek przy fortepianie. - Każda paryżanka ma talent i umiejętność manipulowania. I każda ma swoją cenę. - Gwałtownie zatrzasnął klapę fortepianu i spojrzał mi w oczy. - Wszyscy jesteśmy prostytutkami bogaczy, *mademoiselle* Pichon.

Nagle znów poczułam się upokorzona swoją pracą. Ten wstyd kładł się cieniem na moim całym życiu. Byłam też zła. Jak on mógł pomyśleć, że upadłam tak nisko, by zostać metresą bogatego mężczyzny? Skoro takie było jego zdanie, niech sobie w nie wierzy.

- Owszem, ludzie w skrajnej rozpaczycy mają się najbardziej niegodnych zajęć - odparłam lodowatym tonem. Niechaj myśli, co chce. - Przykro mi, że koncert nie został życzliwie przyjęty.

Odwróciłam się i prędko opuściłam pomieszczenie, zanim głos mi się załamał, a z oczu popłynęły łzy.

Uspokoiwszy się nieco, weszłam do sali balowej. Rozejrzałam się za Isabelle. Kiedy zobaczyłam, że jej rodzice tańczą, ucieszyłam się, że na razie nie będę musiała obcować z hrabiną. Isabelle stała z grupką młodych ludzi, którzy słuchali przechwałek Xaviera o jego wyczynach jeździeckich. Wyglądała na znudzoną. Za jej plecami stanął książę w towarzystwie Claire. Oboje śmiali się w głos. Ostrożnie zbliżyłam się do grupki.

- Co was tak bawi? - Zmusiłam się do uśmiechu.
- To był najgorszy recital, jaki widziałam - powiedziała Claire, zanosząc się wysokim chichotem.
- Skąd ambasador wziął takich błaznów? Czy pianista kiedykolwiek wcześniej dotykał instrumentu? - pytał księżę.
- Niełatwo jest występować przed publicznością - broniła muzyków Isabelle. - Może zjadły ich nerwy?
- Nerwy czy nie, ten utwór był koszmar. - Claire przewróciła oczami i niecierpliwie zatrzepotała wachlarzem.
- Zgadzam się z tobą, to było potworne! - Zaśmiałam się głośno, odrzucając precz myśl o Paulu i jego kompozycji, którą ośmielił się wykonać przed publicznością. O tytule - *La Bretonne* - nawet nie wspomniałam.

Rozdział dwudziesty siódmy

Zima trzymała Paryż w lodowatym uścisku. Poszłam za sznureczkiem dziewcząt do agencyjnej przebieralni. Moje policzki były zmarznięte, a palce skostniałe. Podobnie jak pozostałe nie kwapiłam się do zdjęcia płaszcza. Jedną przy drugiej stanęłyśmy przy piecu, żeby się ogrzać. Obserwowałam tę żalostną scenę, mając w pamięci salon hrabiostwa Dubern z armią służących i ogniem trzaskającym w kominku.

Świąteczna atmosfera przeminęła dawno temu. Isabelle była przeziębiona i od dziesięciu dni nie wzięłyśmy udziału w żadnym wydarzeniu. Marzenia, jakie nosiłam w sobie w rezydencji hrabiostwa, straciły rację bytu pod dachem agencji. A może wszędzie indziej również.

Na balu gwiazdkowym Isabelle udało się kilka razy zatańczyć z księciem. Ten jak zwykle był szarmancki i czarujący, odniosłam jednak wrażenie, że woli towarzystwo hrabianki niż moje. I mimo jej protestów udałam zmęczoną, a wicehrabina de Rochefort odwiozła mnie swoim powozem do państwa Dubern. Nawet nie zmartwiłam się nieudanymi umizgami do księcia. Tak w drodze powrotnej, jak i przez większą część nocy moje myśli zajmował Paul.

Jedyną dobrą rzeczą, jaka mi się przytrafiła między świętami u hrabiostwa Dubern a Nowym Rokiem, był mój nowy aparat. Najpierw uczyłam się jego obsługi w pracowni Isabelle, później zabrałam go ze sobą do agencji. Zostały mi dwie klisze, które zamierzałam wykorzystać do uwiecznienia garderoby. Oczywiście Emilie zauważyła urządzenie i krzyżąc głośno, zwabiła pozostałe dziewczęta do pomieszczenia.

- Maude, a cóż to? - spytała, mrugając wielkimi oczyma.

- Aparat fotograficzny - rzuciłam od niechcienia, choć wewnątrz pękałam z dumy.

- Wiesz, jak to działa? - spytała Hortense.

- Skąd go masz? - Cécile przepchnęła się do przodu i wyciągnęła rękę, aby go dotknąć.

- Uważaj, jest bardzo delikatny - powiedziałam, odsuwając aparat. Spodziewałam się tego pytania. - To prezent od mojej klientki - odparłam i na twarzach koleżanek dostrzegłam cień zazdrości. Przyszła także Marie-Josée.

- Zrób nam zdjęcie - poprosiła i skinęła na mnie głową zachęcająco. Dziewczęta rozochociły się tą prośbą i natychmiast zaczęły przybierać pozy, jakie podpatrzyły u aktorek i śpiewaczek z wodewilów. Wiedziałam, że Marie-Josée chciała w ten sposób złagodzić napięcie i stłumić zazdrość pozostałych, ale tylko mnie zirytowała. Nie miałam ochoty marnować na nie kliszy. Spojrzałam, jak moja przyjaciółka stroi miny, jak podciąga sukienkę i udaje, że tańczy kankana.

- No, dalej, Maude. - Wyszczrzyła zęby. - Powiedz, co mamy robić.

Wpadł mi do głowy pewien pomysł. Mogłam tylko udawać, że robię zdjęcie. One i tak niczego nie zauważą, wszak technika to dla nich czarna magia. Zdjęłam osłonę obiektywu, lecz zostawiłam

przesłone chroniącą kliszę, dzięki czemu mogłam uniknąć naświetlenia. Dziewczętom będzie się zdawało, że zrobiłam im zdjęcie, poczują się docenione, a ja nie zmarnuję kliszy.

- Dobrze więc. Rozsuńcie zasłony i wpuście jak najwięcej światła - zakomenderowałam. Ruszyły, by wykonać moje polecenie. Tymczasem ja ustawiałam aparat na krześle, chwilowo służącym za statyw. - Teraz przejdźcie w oświetlone miejsce przy oknie.

Podeksycytowane Marie-Josée, Hortense i Cécile wygłupiały się i sprzeczały, która z nich powinna zająć miejsce pośrodku. Emilie ustawiła się z boku, podśmiewając się z błazenady koleżanek. Zachowywałam się tak, jakbym naprawdę miała za chwilę zrobić zdjęcie.

- Emilie, dołączcie do reszty - ponagliłam ją. Wykadrowałam i ustawiłam ostrość, następnie przesunęłam obudowę negatywu na tył skrzynki.

- Nie ruszać się - poleciłam.

Spojrzałam przez wizjer i usunęłam osłonę obiektywu. W tej samej chwili jasny, krótki błysk rozświetlił ich twarze. Zauważyłam, że dziewczyny w ogóle się nie krępują, wszystkie były bardzo pewne siebie. Nagle zapragnęłam je uwiecznić. Zanim zdążyłam się powstrzymać, prędko usunęłam z kliszy przesłone ochronną i niemal wbrew własnej woli zatrzymałam tę chwilę w kadrze.

- Gotowe - powiedziałam z westchnieniem. Zasłoniłam obiektyw i poczułam zawód. Została mi tylko jedna klisza.

- Co tu się dzieje? - W progu garderoby stał Durandeu. - Żadna z was nie jest ubrana, a za pół godziny przychodzi klientka. Cóż to takiego, *mademoiselle* Pichon?

Śmiechy ucichły, spojrzenia wbiły się w podłogę. Instynktownie chwyciłam aparat i przyciągnęłam do siebie.

- Aparat fotograficzny, *monsieur* Durandeu - powiedziałam prawie szeptem.

- Doprawdy? - Ruszył w moją stronę, podejrzliwy, z wystającym podbródkiem. - A gdzie zdobyłaś owo cudo?

- To prezent od klientki, *monsieur*. - Skuliłam się przed nim.

- Nie powinnaś robić zdjęć w tym podłym pomieszczeniu. - Zerknął na zegarek. - Czasu jest jeszcze sporo. Zbierzmy się w salonie i zapozujmy do porządnej fotografii.

Zapłonęłam z oburzenia, kiedy dotarło do mnie, że będę musiała stracić ostatnią kliszę na zdjęcie z Durandem. - Ale...

- Może wolisz, żebym skonfiskował sprzęt jako własność agencji? - uciął natychmiast.

Pokręciłam głową. Miałam ochotę kopnąć się za to, że chciałam się pochwalić i przyniosłam aparat do agencji. W milczeniu przebrałyśmy się w eleganckie stroje. Spostrzegłam, że żadna z nas nie chciała robić sobie portretu jako dama dla kontrastu, wszystkie jednak podążyłyśmy do salonu. Krzesła były ustawione w rzędzie. Durandem zajął miejsce na środku. Po jego bokach zasiedli pani Girard i Laurent. Pozostałe siedzenia były dla tych, które przyjdą pierwsze, reszta miała stanąć z tyłu.

- Czy taki układ jest odpowiedni, Maude? - spytał Laurent.

- Niech spojrzę. - Nigdy wcześniej nie robiłam fotografii grupowej. Ustawiłam aparat na drewnianym stojaku pod kwiatki i spojrzałam przez wizjer na obraz odwrócony do góry nogami. Do takiej liczby osób potrzebowałabym jednak większego aparatu i szerszej kliszy. - Musicie się ścieśnić. Wtedy wszyscy zmieszczą się w kadrze - powiedziałam. Dziewczęta przysunęły się do siebie, ja w tym czasie sprawdziłam ostrość, następnie włożyłam kliszę i wyjęłam drewnianą osłonę. Czulałam zdenerwowanie, wiedząc, że wszyscy śledzą moje ruchy. - Jestem gotowa - oznajmiłam. Miny

moich modelek zmieniły się nie poznania, zniknęło rozbawienie, jakie jeszcze niedawno widniało na ich twarzach.

- Drogie panie - powiedział Durandeu - patrzymy przed siebie, głowy do góry. Pomyślcie, czym jest dla was agencja.

Twarze moich koleżanek stężały w jednej chwili, przybierając zawstydzony wyraz, ramiona opadły. Durandeu przeciwnie: wypiął pierś i wydał nozdrza. Bezspornie pysznił się własnym geniuszem. Siedząca obok niego Girard pękała z dumy; agencja była jej domem. Laurent z drugiej strony wyglądał na nieporuszonego.

Mimo że wszystko to widziałam jedynie przez ułamek sekundy, poczułam pewność, że nie należę do nich. Nie byłam jedną z nich. Serce biło mi mocno, kiedy usuwałam osłonę z obiektywu. Do wewnątrz wpadło światło, a obraz utrwalił się na szklanej kliszy. Ta była moją ostatnią.

Nie licząc dramatycznego poranka, ten dzień pracy nie różnił się od pozostałych. W garderobie Marie-Josée namawiała koleżanki do zjedzenia obiadu na mieście. Nie miałam ochoty z nimi wychodzić. Zazwyczaj kończyło się to ignorowaniem nas przez kelnerów, aż Marie-Josée dostawała białej gorączki. W końcu byłyśmy obsługiwane, ale w oschły sposób. Dlatego dzisiaj chciałam zostać sama.

Ociągałam się z wyjściem, trefiąc włosy, aż w końcu wszystkie dziewczęta opuściły garderobę. Kiedy drzwi zamknęły się za nimi, odetchnęłam z ulgą i rozrzuciłam szpilki do włosów na toaletce. Spojrzałam w lustro i pomyślałam o Paulu. Co on takiego we mnie dostrzegł? I dlaczego nie potrafiłam powiedzieć mu prawdy? Kolejne warstwy kłamstwa ciążyły mi, a gdy spojrzałam we własne odbicie, już sama nie byłam pewna, kim jestem.

Drzwi zaskrzypiały i Marie-Josée wetknęła głowę do pokoju.

- Nie idziesz z nami, Maude? - Jej pytanie przekroczyło próg mojej irytacji.

- Nie - wyrzuciłam z siebie. - Mam kilka spraw do załatwienia. Podeszła bliżej i objęła mnie ramieniem. Wiedziałam, że chce być miła, ale jedyne, co mogłam zrobić, to nie odtrącić jej gestu.

- Szkoda, że nie będziesz na zdjęciu - powiedziała. Wyczuwając mój podły humor, próbowała zgadnąć, co jest jego przyczyną. Bardziej nie mogła się mylić. - Chyba trzeba być bardzo mądrym, żeby wiedzieć, jak robić zdjęcia - rzekła życzliwie, lecz jej serdeczność tylko mnie sprowokowała.

- A ja się cieszę, że nie będzie mnie na tej fotografii. Kto chciałby, żeby jego upokorzenie zostało uwiecznione na czarno-białym papierze? - Wyrwałam się z jej objęć i wstałam. - Poza tym nie jestem taka ja reszta. - Poczułam przyływ wściekłości. - Hrabina to dostrzega. Pragnie dla swojej córki przyjaciółki, nie kolejnego wybryku natury.

- Och, Maude, tylko ostrożnie. - Marie-Josée potrząsnęła głową zaskoczona i wciągnęła powietrze. Wiedziałam, co myśli. Czułam to od samego początku. Nie mogła przeboleć mojego kontraktu z hrabiostwem Dubern. Inaczej nie zamęczałaby mnie nieustannymi pytaniami o nich i nie ostrzegała przez przyjaźnią z Isabelle.

- Dlaczego mam być ostrożna, Marie-Josée? - Mój głos był donośny, ale nie zdołałam go opanować. - Po prostu jesteś zazdrosna, dlatego że hrabina nigdy nie wybrałaby kogoś takiego jak ty.

- To znaczy kogo? - Otworzyła szeroko oczy i wyzywająco wsparła się pod boki. - Wypluj to z siebie, dziewczyno.

- Kogoś tak nieokrzesanego. - To było nierzeczywiste, ale słowa trysnęły ze mnie, jakby mówił je ktoś inny. - Nigdy nie mogłabyś należeć do ich świata.

Trzęsłam się ze złości i z zakłopotania. Patrząc w znajomą twarz przyjaciółki, zrozumiałam, że wyrzucenie z siebie tych zjadliwych słów wcale mi nie pomogło. Nie mogłam jednak ich cofnąć.

- Słuchaj, moja panno. - Chwyciła mnie za ramię. - Nie jestem o ciebie zazdrosna. Byłam kiedyś w takiej sytuacji i nie skończyło się to dla mnie dobrze. Staram się uchronić cię przed podobnym rozczarowaniem.

- Co masz na myśli? - Nie wierzyłam jej. - Zaprzyjaźniłaś się z klientką?

Puściła mnie i westchnęła ciężko.

- Nie. Służyłam kiedyś jako pokojówka. Pan domu od razu mnie polubił. Miło było być jego ulubienicą. Byłam młoda i głupia, ale czułe słówka zamieniły się w obmacywanie, a potem zrobiło się jeszcze gorzej.

- I co się stało? - Moje myśli poszybowały w kierunku finału tej opowieści.

- Powiedziałam pani i zostałam zwolniona. Żadnych listów polecających, żadnych oszczędności. Wyrzucono mnie na bruk.

Nasze spojrzenia się spotkały. Jej twarz wyrażała skrajne emocje. Wiedziałam, że wiele ją kosztowało powiedzenie tego. Odwróciłam wzrok. Było mi żal Marie-Josée, lecz jednocześnie musiałam się od niej zdystansować. Nie uległam więc i nie przeprosiłam jej za mój wybuch. Jeśli już, dołała tylko oliwy do płonącego we mnie ognia.

- Moja sytuacja jest całkiem inna - powiedziałam, a złość przeszła w pogardę. Ponownie spojrzałam jej w oczy, chłodno i surowo.

Marie-Josée wyglądała jak zranione zwierzę. Zdawszy sobie sprawę, że nie zdoła mnie przekonać, spuściła wzrok i wyszła. Stałam sama w garderobie, trzęsąc się z wściekłości. A może to był wstyd?

Rozdział dwudziesty ósmy

Wśród wiejskich włości pod Paryżem panowała sroga zima. Późny luty bywał mroźny i ciemny, lecz pogoda nie robiła na mnie wrażenia, ponieważ ja, Maude Pichon, przebywałam na zamku. Hrabia i hrabina Dubern, kilka innych znakomitości i ja zostaliśmy zaproszeni do posiadłości księcia d'Avaray. Mężczyźni zamierzali skorzystać z kończącego się sezonu myśliwskiego na kaczki.

Zamek był potężny i wytworny. Szara, obrosła winoroślą budowla wznosiła się w otoczeniu łąk i lasów. Ogrody francuskie o tej porze roku były martwe i zrudziałe, ale kilometry wybrukowanych ścieżek, obrośniętych żywopłotami nadal umożliwiały spacerować. Jak pięknie musiało tu być latem, kiedy zewsząd buchała zieleń, a wielobarwne kwiaty pieściły wzrok. Dla mnie sam pobyt na wsi już był przyjemnością. Mogłam oddychać czystym powietrzem i cieszyć oczy łagodnie falującymi wzgórzami, nie zaś dachami miasta najeżonymi kominami.

Isabelle i kilku dżentelmenów wybrali się na przejażdżkę konną, ja jednak, ponieważ jeździec był ze mnie marny, zostałam w bibliotece, aby cieszyć się ciszą, spokojem i ogniem trzaskającym w kominku. Nigdy wcześniej poza księgarnią nie widziałam aż tylu książek w jednym miejscu. Po śmierci matki zostało mi kilka tomów, głównie

klasyki, które czytałam tak często, że wiele stron znałam na pamięć. W kolekcji matki było również parę romansów, tak bliskich jej naturze. Pozwalały jej, podobnie jak mnie, oderwać się od Poullan-sur--Mer i oddać marzeniom.

Było popołudnie i dzień już dogasał, kiedy hrabina wezwała mnie do siebie. Utrzymawała, że nie na kaczki powinna polować jej córka, lecz na męża. Oto skończył się mój spokój. Ostatnio każde spotkanie z nią napawało mnie lękiem. W końcu sama podsyciłam jej oczekiwania wobec zaręczyn księcia z Isabelle, lecz czy ten lubił ją na tyle, by poprosić o jej rękę? Nie miałam pojęcia. Biorąc pod uwagę własną śmieszność w kontaktach z nim, byłam ostatnią osobą, która mogła zrozumieć kaprysy arystokracji.

Kiedy weszłam do jej pokoju, stała przed szafą, a w rozpostartych ramionach trzymała dwie suknie wieczorowe.

- Wejdz, Maude. Usiądź. Może szklaneczkę sherry?

Była wyjątkowo ciepła, co tylko wzmogło moją czujność. Służąca podała mi wino i usiadłam na krześle z wysokim oparciem. Dotychczas nie przebywałam w tej komnacie, która oczywiście okazała się bardziej elegancka niż moja, udekorowana arrasami, z wielkim dębowym łóżem z baldachimem na środku. Odwiedzanie kolejnych pomieszczeń było jak wertowanie kart księgi historycznej.

- Która bardziej ci się podoba? - spytała hrabina. - Którą powinnam przywdziać na dzisiejszy wieczór?

Spojrzałam na obie kreacje. Jedna była czarna ze skomplikowanym wzorem wyszywanym złotymi nićmi, druga zaś satynowa w kolorze palonej pomarańczy.

- Tę pomarańczową. Jest bardziej oryginalna, przyciąga uwagę

- powiedziałam, mając nadzieję się jej przypodobać.

- Owszem, ale dzisiaj chcę, aby to Isabelle błyszczała. Włożę czarną.

- Podała stroje służącej. - Możesz nas zostawić - rzekła do niej.

Służąca odwiesiła suknie i wyszła z pokoju. Hrabina zasiadła w fotelu naprzeciwko mnie i wzięła kieliszek ze stolika obok.

- Mniemam, że Isabelle wkrótce zostanie poproszona o rękę. To coś więcej niż zwykłe przeczucie - oznajmiła, pociągając łyk sherry. - Może już nawet w tym tygodniu.

Czekała, aż powiem coś na potwierdzenie jej słów. Zawahałam się przez chwilę.

- Doprawdy? To cudownie - odrzekłam, choć wcale nie było cudownie. Na szczęście nie zauważyła mojej powściągliwości. - Czy chodzi o księcia? - spytałam, czując się nieco przytłoczona. Hrabina spojrzała na mnie jak na pomyloną.

- Rzecz jasna, że o niego! Słyszałam, jak służba plotkuje o swojej przyszłej pani. Jaka będzie, jak będzie prowadzić dom, czy zatrudni nową służbę - ot, typowa gadanina.

- Skąd pani wie, że to właśnie Isabelle będzie jego wybranką? Hrabina odstawiła kieliszek i wbiła we mnie spojrzenie.

- A któż by inny? Ty? - Wybuchła śmiechem i zakryła usta dłonią. - Przepraszam, wybacz mi. - Nie przestawała się śmiać, lekko oszołomiona alkoholem. - Ale to takie zabawne, naprawdę. - Wreszcie się opanowała.

Upokorzona, wypiłam łyk obrzydliwego trunku.

- A co z Claire? - zapytałam, uciekając przed jej bolesnymi złośliwościami. - Zdaje się, że państwo de Rochefort pojawią się dzisiaj w gronie kilku osób.

Hrabina zacisnęła usta, gładząc brzeg kieliszka kciukiem i palcem wskazującym.

- Cóż... Claire może wzbudzać zainteresowanie, ale z tego, co mi mówiłaś, księżę chyba nie pała do niej zbyt namiętnym uczuciem. - Przekrzywiła głowę na bok i utkwiała we mnie wzrok. - Kiedy już się oświadczy, Isabelle naturalnie będzie potrzebowała

twoich rad bardziej niż ja. - Zamilkła i zamieszała alkohol w kieliszku. - Chcę mieć pewność, że gdy nadejdzie ta chwila, zachęcisz ją do natychmiastowego i rozważnego przyjęcia propozycji zamążpójścia. Jako nagrodę... - Wzięła kolejny łyk. - Nieopodal Avignonu hrabia ma ciotkę, która potrzebuje towarzystwa. Samotność dokucza biedaczce w jej wiejskiej posiadłości. Zostaniesz hojnie wynagrodzona, będziesz kimś więcej niż tylko służącą. Czeka cię wygodne życie.

Południowa Francja? Nawet nie śniłam o takiej przyszłości. To było jak kosztowanie słodkiego wypieku. Bez Montparnasse, bez ponurej mansardy, bez Durandea i agencji brzydkich kobiet. Marzenia jednak szybko się rozmyły, kiedy pomyślałam o Isabelle i jej reakcji na oświadczenia. Jakoś musiałam przygotować do tego jej matkę.

- A co, jeśli Isabelle odtrąci propozycję? Nie zmuszę jej do powiedzenia „tak”. Sama o sobie decyduje. To znaczy...

Wściekłe spojrzenie mnie uciszyło.

- Jeśli książę się oświadczy, ona musi się zgodzić. Jaki ma wybór? Przytaknęłam i nie odezwałam się więcej. W głowie kłębiły mi się sprzeczne pragnienia, niczym instrumenty bez dyrygenta, które grały nie do taktu. Crescendo przechodziło w koszmarne sen. Hrabina zadzwoniła po służącą.

- A teraz idź już. - Machnęła ręką. - Niebawem wrócę z przejażdżki. Kto wie, co takiego się wydarzyło, kiedyśmy tu rozmawiały?

Odstawiłam ledwo nadpite sherry na stolik przy fotelu i wyszłam z pokoju. Zamknęłam za sobą drzwi i jeszcze przez chwilę stałam odurzona na korytarzu. Czy to będzie zdrada zachęcać Isabelle do tego, czego żądała jej matka? Wiedziałam, jak bardzo łaknie nauki, o jakiej przyszłości marzy, ale musiałam myśleć także o sobie. Rozważałam słowa hrabiny o czekającej mnie wysokiej pozycji. Mieszkając na zamku z ciotką hrabiego, mogłabym pisać do ojca

prawdziwe listy. Kierowniczką poczty na widok mojego adresu zaczęłyby rozsiewać plotki. „Słyszeliście o córce Pichona? Mieszka na zamku! Arystokracja! Nigdy bym...”.

Chodziłabym po pokojach wielkiego domu przesiąkniętego urokami dawnej Francji, której już nie ma. Niemal czułam zapach kwiatów pomarańczy i lawendy w ogrodzie. W końcu zapewniłabym sobie bezpieczną przyszłość.

Musiałam mieć pewność, że Isabelle przyjmie oświadczyzny. Ruszyłam korytarzem do głównych schodów. Starłam się myśleć o niej tak, jak myślałaby Marie-Josée. Czyli jak o zadaniu do wykonania.

Weszłam do biblioteki. Isabelle stała na drabinie przy jednej z półek

- Czego szukasz? - spytałam. Odwróciła się do mnie.

- O, jesteś wreszcie! - Wyciągnęła opasy wolumin i pokazała mi okładkę. *Nauka w wieku oświecenia*.

- Jakże by inaczej. - Uśmiechnęłam się i zagłębiłam w szerokiej skórzanej kanapie. Isabelle zeszła z drabiny z książką w rękę.

- Nosisz bryczesy? - spytałam, widząc, że zamiast spódnicy ma na sobie spodnie do jazdy konnej. Wzruszyła ramionami i podeszła do mnie.

- Nienawidzę siedzieć bokiem w damskim siodle. Poprosiłam stajennego, by pożyczył mi parę. - Opadła na kanapę.

- A on ma na sobie twoją wełnianą spódnice? - Potrząsnęłam głową.

- Przecież mu je oddam. - Roześmiała się.

- Tylko niech twoja matka tego nie zobaczy, bo będzie skandal - droczyłam się z nią, przygotowując się do poruszenia ważniejszego tematu. Wiedziałam, że muszę mieć mocniejsze argumenty niż ostatnio. - Wyobraź sobie - zaczęłam - że gdybyś była panią domu, mogłabyś codziennie nosić bryczesy.

- I wyrzucić wszystkie kobiece siodła do stajni. To byłoby zabawne. To była dobra droga. Nie mogłam się teraz wycofać.

- Mówię poważnie. Nie sądzisz, że jako księżna miałabyś więcej wolności? - Zamilkłam. - Więcej niż na Sorbonie? Całkiem sama?

Isabelle zmarszczyła brwi i poprawiła się na kanapie.

- Co ty opowiadasz? Uważasz, że się nie dostanę? - Spojrzała na mnie podejrzliwie. Musiałam to wykorzystać. To był klucz do przekonania jej.

- To nie tak. Po prostu... To nie jest twój świat, prawda? - Serce biło mi jak młotem. Byłam aktorką odgrywającą rolę czarnego charakteru. - Przywykłaś do innego życia - powiedziałam, rozglądając się po bibliotece.

Isabelle podniosła na mnie wzrok znad książki.

- Sądzisz, że nie podołam? Zmusiłam się do uśmiechu.

- Jesteś inteligentna - nawiązałam do jej słów. - Wcale nie uważam, że się nie nadajesz, ale... Wiesz, Sorbona to nie pokój lekcyjny w domu rodziców, nieprawdaż?

Przyłożyła książkę do piersi, skrzyżowała ramiona i popatrzyła na mnie.

- Nie podoba mi się ani twój protekcyjny ton, ani twoja argumentacja. Chyba że myślisz, iż nie nadaję się na studia, i próbujesz uchronić mnie przed goryczą porażki.

Westchnęłam głęboko dla efektu, choć zaczynało być mi słabo. „No, dalej, ciśnij ją” - popędzałam siebie samą.

- Chcę tylko, żebyś myślała praktycznie. Wyobraź sobie, że mąż wspiera cię w twoich studiach, jest z ciebie dumny, jak każdy mąż powinien być, a ty dzięki niemu masz zapewnione bezpieczeństwo i opiekę.

- Opiekę? Maude, to uniwersytet, nie dżungla! - Próbowała się zaśmiać, lecz jej spojrzenie było poważne. - Twoje słowa... Mówisz, jakbyś nie była sobą.

- Isabelle - powiedziałam, siląc się na ciepły, przyjazny ton. - Próbuję cię ostrzec, nie chcę wygłaszać ci kazań. Oświadczyń księcia mogą nastąpić wcześniej, niż myślisz.

- Nie obchodzi mnie to. - Zadziornie wystawiła podbródek do przodu.
- Moja odpowiedź zawsze będzie brzmieć „nie”. Im szybciej zdam egzaminy i dostanę się na studia, tym prędzej skończy się maskarada z rolą debutantki.

Gdyby tylko nie była tak uparta. Drażniło mnie to. Isabelle nie doceniała tego, co ma: wyglądu, bogactwa, pozycji społecznej. Dlaczego nie dostrzegała swojego szczęścia? Wzburzałam się na myśl, czego ja musiałam dokonać, aby przeżyć.

- Wszystko, co znasz, to złota klatka, po której się miotasz. Myślisz, że przetrwasz w prawdziwym świecie? Nigdy wcześniej nie musiałaś robić niczego samodzielnie. - Zaczęłam i nie mogłam przestać, jakbym chciała podjąć walkę. - Uważam, że będziesz nierozsądna i niedojrzała, jeśli odrzucisz oświadczyń księcia. - Pałałam szczerym gniewem, a każde słowo wypowiadałam z pełnym przekonaniem. Isabelle patrzyła na mnie, zdezorientowana i oszołomiona. Następnie wstała i zaczęła maszerować do wyjścia, stukając butami jeździeckimi o posadzkę.

- Kiedy ty dorośniesz? - krzyknęłam za nią, podnosząc się. Zamaszyście otworzyła drzwi i odwróciła się do mnie.

- Myślałam, że jesteś moją przyjaciółką - powiedziała wzburzona, po czym trzasnęła nimi.

Wzięłam głęboki oddech i odczekałam, aż serce przestanie łomotać mi w piersi. Następnie wyszłam z biblioteki, korzystając z innych drzwi. „Muszę to zrobić” - szepnęłam do siebie. Szłam coraz szybciej wzdłuż korytarza, aż w końcu zaczęłam biec. Podciągnęłam suknię i przeskakiwałam po dwa stopnie schodów, pragnąc jak najszybciej znaleźć się sama w pokoju.

Godzinę później zadzwonił dzwonek, a zamek wypełnił się gwarem. Spojrzałam przez okno. Właśnie podjechali goście z Anglii i wicehrabiostwo de Rochefort. Służący biegali tam i z powrotem, przenosząc bagaże, wyglancowane buty, szpilki do włosów i wykrochmalone kołnierze. Siedziałam przed lustrem, a służąca pomagała mi się przygotować. Zrobiło mi się ciężko na sercu, kiedy zapinała moją nową bransoletkę.

- Wygląda pani dzisiaj uroczo, *mademoiselle* Pichon.

Spój rżałam we własne odbicie; włosy miałam upięte w wymyślne pukle, usta i policzki uróżowane. Byłam nie do poznania. Przyglądałam się dziewczynie, jak robi porządek ze szczotkami i szpilkami do włosów. Jej twarz była szczera i pucułowata, o różowej skórze, brwi i rzęsy miała jasne. To była wiejska świeżość, której od tak dawna nie widziałam. Czy ja też tak wyglądałam?

Sięgnęłam pamięcią do przeszłości. Stałam w piwnicy pod sklepem ojca, w obu rękach trzymałam po jabłku i słuchałam, co mówią o mnie żony rolników na górze. „Thierry już rzucał jakieś półsłówka na jej temat. Wiesz, tacy jak ona nie mogą wybierać. Dziewczyna wyraźnie nie odziedziczyła urody po matce. Tak, niczym specjalnym się nie wyróżnia. Biedactwo”.

Byłam skończoną hipokrytką. Nie słuchałam tego, czego chcieli dla mnie ludzie. Nie dawałam się wcisnąć w ramy, w które próbowali mnie wtłoczyć. Podjęłam samodzielną decyzję o rezygnacji z zamążpójścia, sprzeciwiłam się woli ojca i w pewnym sensie całej społeczności Poullan-sur-Mer. A sama byłam jak te żony rolników - mówiąc Isabelle, czego nie powinna robić, namawiając ją do tego, czego się od niej oczekiwało. Wystawiłam bransoletkę do światła. Tego wieczoru zdawała się cięższa niż żelazo.

- Czy panienka jeszcze czegoś potrzebuje? - spytała służąca.

- Nie, dziękuję - szepnęłam.

Dygnęła i wyszła z pokoju, a ja podjęłam wysiłek, żeby wszystko to sobie poukładać. Co osiągnęłam, walcząc z Isabelle? Nic poza zranieniem jej i siebie. Podobnie było z Paulem i Marie-Josée. Odkąd zaczęłam pracę u państwa Dubern, moje życie tak bardzo się zmieniło. Wstałam od toaletki i podeszłam do okna. Odsunęłam kotarę, ale w szybie ujrzałam jedynie własne odbicie. Co tak bardzo imponowało mi w świecie bogaczy? Pomyślałam o rozrywkach arystokracji: muzyce, książkach, malarstwie i fotografii. Ja także brałam w nich udział, lecz jako wyposażenie hrabiowskiego domu. Kultura jest ścieżką prowadzącą do wiedzy i kluczem do sprawdzonego życia. Tak przynajmniej twierdzą artyści.

Spojrzałam poza swoje odbicie w kruczoczną wiejską noc. Nie potrafiłam uciec przed nurtującymi mnie licznymi pytaniami. Czy naprawdę dałam się wciągnąć w pułapkę bogatego życia? A może tylko się łudziłam? Miałam mętlik w głowie, a wszystko, co widziałam, to jedynie dobra materialne, korzyści, nagrody, tytuły. Zastanawiając się nad tym, uznałam, że takiego życia pragnę. Jednak czy chodziło mi o lożę w operze, czy o muzykę samą w sobie?

Myśli te krążyły we mnie, jakby wypowiadała je inna osoba. Ta, która nie zaznała luksusu ostatnich kilku miesięcy. Ta, która zwracała uwagę na to, co naprawdę się liczy. Nie ta besztająca Marie --Josée i Paula. I nie ta podburzająca Isabelle.

Myślałam o moim państwie i gościach na zamku. Poza Isabelle byli tacy, którzy kolekcjonowali sztukę, lecz nigdy się nią nie wzruszali; tacy, którzy mieli bogate biblioteki i pierwsze wydania najprzedniejszych książek, lecz nigdy ich nie czytali. Sztuka to był towar, który się posiadało, a koncert to było jedynie wydarzenie towarzyskie.

Pełna niespokojnych myśli zesłam na dół do salonu. Kiedy przekroczyłam próg, Isabelle udawała, że prowadzi miłą poga-

wędkę z Claire. Poczułam kłujące mnie pod sercem poczucie winy. Na szczęście wkrótce potem pojawił się kamerdyner i ogłosił, że podano do stołu.

Gdy wkroczyliśmy do jadalni, po raz pierwszy uzmysłowiłam sobie, że otaczający mnie przepych nie robi na mnie wrażenia. Miałam już dość bogactwa. Na krańcu stołu siedział książę, po jego prawicy zasiadła hrabina Dubern, z lewej zaś strony przypominająca konia angielska dama. Xavier usiadł przy mnie, hrabia z drugiego boku, a nieco przygaszona tym razem Claire naprzeciwko. Isabelle zajęła miejsce na drugim końcu stołu obok kuzyna księcia, hrabiego Rochester, z drugiej strony usadowiła się matka Xaviera. Dziwne, że Isabella znajdowała się tak daleko od księcia, skoro ponoć zbliżały się oświadczyzny.

Rozpoczął się festiwal dań, które wjeżdżały jedno za drugim. Nie mogłam odeprzeć myśli, że przecież wystarczyłoby zwykły omlet, choć jeszcze kilka miesięcy temu nawet nie przypuszczałam, że kiedyś mi się to znudzi. A jednak. Dyskusja krążyła wokół dziwactw Anglików. Hrabia Rochester był nad wyraz jowialny.

- Dlaczego Anglicy tak uwielbiają spieczone do niemożliwości mięso? - spytał Dubern.

- A dlaczego Francuzi lubią, kiedy ich stek jeszcze oddycha? - odciął mu się Rochester, z policzkami poczerwieniałymi od alkoholu i wąsami nadającymi mu wygląd morsa.

Dwóch służących wniosło srebrną wazę i krążyło z nią dookoła stołu. Kiedy obsłużyli hrabinę, dostrzegłam jej twarz wykrzywioną na widok zupy. To napinała, to znów rozluźniała mięśnie. Wąskie czoło, wytrzeszczone oczy, wydymające się nozdrza i gumowate usta upodobniały ją do damy z agencji. Jak mogła żyć, każdego dnia widząc taką twarz w lustrze?

W rzeczywistości jej rysy mogły być wykute z marmuru. Niemożliwe było znalezienie w jej twarzy choćby drobnej ułomności, niedoskonałości, braku symetrii. Nie odznaczała się urodą, która powala niczym pierwszy promień słońca, emanuje tajemniczością czy jakimś wewnętrznym blaskiem. Była idealnie piękna martwym pięknem kamienia.

- Proszę nam powiedzieć, co słysząc w Londynie - odezwała się hrabina. - Skoro nie angielska kuchnia, to co? - dodała, opróżniając kieliszek.

- Ach, mnóstwo spotkań ze starymi przyjaciółmi, kilka galerii... - Książę zamilkł, jakby chciał się na coś przygotować. - Mam do zakomunikowania dobrą nowinę.

Spojrzałam na Isabelle. Przez stół przeszedł szmer. Czyżby chciał się oświadczyć jeszcze przed kolacją? Hrabina nie spuszczała oczu z księcia, jakby spięła każde słowo z jego ust.

- Mówże - ponaglił Xavier. Diuk spojrzał na Angielkę siedzącą z jego lewej strony.

- Lady Eleanor i ja się pobieramy - oznajmił.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Wydarzyło się kilka rzeczy jednocześnie. Mors roześmiał się głośno i walnął pięścią w stół, hrabinie z brzękiem na podłogę upadł nóż, strzelił korek od szampana, a nieatrakcyjna przysza księżna zachichotała. Natychmiast przeniosłam wzrok na Isabelle. Ta popatrzyła na mnie z triumfalnym uśmiechem, jakby właśnie wygrała zakład.

- Gratulacje - powiedział pan Dubern, wznosząc kieliszek do toastu. Musiał być nieświadomy planów żony co do ich córki lub, co bardziej możliwe, całkiem wobec nich obojętny. Xavier podniósł kieliszek z zadowoloną miną, tymczasem jego siostra usilnie starała się powstrzymać łzy.

Ja także chwyciłam za kieliszek i razem ze wszystkimi wzniosłam toast za szczęśliwych narzeczonych. Wzięłam łyk, próbując przełknąć gorycz rozczarowania z powodu planowanego ożenku księcia. Jego decyzja mnie zaskoczyła. Dlaczego wybrał taką kobietę? Przecież ona z powodzeniem mogła pracować w naszej agencji. Przez resztę wieczoru uważnie przyglądałam się księciu i jego angielskiej wybrance, która nie miała ani uroku, ani urody. Nie wyglądała też na przesadnie inteligentną. Jakim cudem zawróciła mu w głowie?

Czy była asem, kartą atutową w hierarchii brytyjskiej arystokracji? Czy wszystko sprowadzało się wyłącznie do statusu?

Obserwowałam jego urodziwą twarz, nienaganne maniery i zaczęło świtać mi w głowie, że poza tym nic w nim nie ma. Osobowość, jaką mu przypisywałam, była jedynie wytworem mojej wyobraźni. W rzeczywistości w księciu nie było niczego istotnego poza pewnością siebie i niewymuszonym uśmiechem. Właściwie dlaczego miałby być inny? Czyżby musiał ciężko pracować? Zdobywać coś z trudem w swoim życiu? Wszystko zostało mu podane na tacy.

Wreszcie na stół wjechały sery, po czym nastąpił koniec tej uciążliwej uczy. Po kolacji goście przenieśli się do salonu, gdzie rozpoczęły się dyskusje o grach karcianych.

- Antoine, co powiesz na partyjkę? - zaproponował Xavier. - Jak to mówią, kto nie ma szczęścia w kartach, ma szczęście w miłości.

Księżę zmrużył oczy.

- Raczej na odwrót, jak sądzę - powiedział.

Usiadłam z dala od innych, przy wysokich oknach. Mimo grubych aksamitnych zasłon trochę wiało. Wzięłam do rąk książkę porzuconą na siedzeniu. Pewnie przez Isabelle, nikt z obecnych nie wyglądał na miłośnika literatury. Dzięki rewelacjom księcia przynajmniej spadał ze mnie obowiązek przekonania Isabelle do poślubienia go. Z pewnością wkrótce zjawi się kolejny konkurent, którego hrabina będzie chciała wepchnąć w ramiona córki. Czy tym razem mi się uda? A jeśli tak, czy nagroda okaże się warta moich dokonań? Na wspomnienie słów, jakimi uraczyłam ją w bibliotece, obleciał mnie wstyd. Przerzuciłam kilka stron książki. Gdybym tylko nie posprzeczała się z nią tego wieczoru, siedziałybyśmy teraz i rozprawiały o zaręczynach księcia. Wciąż jako przyjaciółki.

- A zatem myliłaś się, czyż nie? - Spojrzałam do góry i zobaczyłam stojącą nade mną Isabelle. Jej ton był kąśliwy. Nadal się na mnie gniewała, usiadła jednak obok na pasiastej kanapie.

- Przepraszam cię za moje zachowanie w bibliotece - zaczęłam od razu, ona jednak zignorowała moje przeprosiny.

- Zdaje się, że książkę gustuje tylko w najbogatszych.

- To znaczy? - spytałam, tak jakby ona lub Claire nie były piękne albo bogate.

- Według słów hrabiego Rochester lady Eleanor jest dziedziczką jednej z największych fortun w Anglii.

- Ale czy sam książkę nie ma wystarczająco dużego majątku? - spytałam. - Chyba że naprawdę pała do niej jakimś uczuciem.

- Dopiero się poznali. Jej rodzina jest w posiadaniu tej połowy Anglii, która nie należy do królowej Wiktorii. - Patrzyła na mnie z kamiennym wyrazem twarzy - Czy o taki interes małżeński ci chodziło?

Wzięłam głęboki oddech.

- Nie miałam na myśli tego, co ci powiedziałam. Może byłam o ciebie trochę zazdrosna. To wszystko. - Wbiłam wzrok w podłogę. Nie odpowiedziała mi, ponieważ nasza rozmowa została przerwana.

- Jutro stąd wyjeżdżamy - oznajmiła hrabina, chwając się nad nami ze szklanką brandy w dłoni. - Nie widzę żadnego powodu, dla którego mielibyśmy zostać tu na kolejną noc - wybełkotała. Twarz miała lepką, włosy w nieładzie. - Twój ojciec powiadomi księcia, że jutro musimy wracać do Paryża. Co za potwarz! Zaprosić nas tu, byśmy doświadczyły takiego upokorzenia - wydusiła z siebie. - To okropne.

Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim stanie.

- Matko, może powinnaś się położyć - poradziła Isabelle, po czym podniosła się, zabrała brandy z jej dłoni i odstawiła szklankę.

Następnie zaprowadziła ją do ojca. Hrabina wpadła w ramiona męża, ten zaś wyprowadził ją z salonu. Isabelle wróciła na kanapę przy oknie. Aby się nie roześmiać, zagryzała wargę.

- Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak wściekłej i pijanej w towarzystwie - szepnęła, a ja na powrót stałam się jej powiernicą. Ogarnęło mnie poczucie ulgi. Po raz pierwszy hrabina pomogła mi swoim wtrąceniem się, a groteskowa scena jej gniewu złagodziła napięcie między mną a Isabelle. Wdzięczna za milczące zawieszenie broni, usiłowałam wykupić się dowcipem.

- Przynajmniej oszczędziła nam łez. W odróżnieniu od Claire de Rochefort - rzekłam. - Nawet perfekcyjne loki nie mogą konkurować ze spadkiem.

Isabelle wybuchła śmiechem.

- Co za szczęście. Presja związana z oświadczeniami doprowadzała matkę do białej gorączki. Chwilowo wyszłam z oparów. Dopóki nie znajdzie następnego, na którego postanowi zastawić sidła. - Westchnęła i zaczęła bawić się wisiorkiem na łańcuszku u szyi.

- To prawda. Przynajmniej masz trochę czasu - odparłam. I ja też.

- Isabelle! - krzyknął ktoś. Podniosłyśmy wzrok i ujrzałyśmy, jak Xavier przywołuje hrabiankę znad karcianego stołu. - Dołącz do nas. Zastąpisz moją matkę. Idzie już spać.

Udając dobrą znajomą, Isabelle przyjęła zaproszenie. To oznaczało, że przez resztę wieczoru Xavier już się od niej nie odczepi, postanowiłam więc, że najlepiej zrobię, jeśli się wycofam. Drżałam na myśl o jutrzejszej niedyspozycji hrabiny. Nie ulegało wątpliwości, że będzie w złym humorze. Na szczęście nie mogła o fiasko z zaręczynami obwiniać mnie. Taką przynajmniej miałam nadzieję.

Późną nocą, kiedy goście byli już w swoich pokojach, Isabelle i ja wspięłyśmy się po wielkich schodach, każda z lampką w dłoni.

Skręciłyśmy w długi korytarz, całkiem ciemny poza obrębem naszych dwóch płomyków, i zatrzymałyśmy się przed jej pokojem.

- Dobrej nocy, Maude. - Spojrzała w podłogę, jakby szukała słów.

- Naprawdę jutro wyjeżdżamy? - spytałam, aby przerwać ciszę. Pokręciła głową.

- Nawet jeśli matka będzie pamiętała swoją groźbę, jest zbyt ciekawa lady Eleanor, by cokolwiek przegapić. Możemy zaszyć się w bibliotece, żeby uciec przed krążącymi plotkami. - Uśmiechnęła się nieznacznie.

Zauważyłam to „my”, którego użyła, i uśmiechnęłam się również. Nasza przyjaźń wyszczerbiła się nieco, lecz wciąż była nienaruszona. W tej właśnie chwili miałam ochotę powiedzieć jej całą prawdę i powstrzymać kolejne kłamstwa. Wiedziałam jednak, że to niemożliwe. Rozgrzeszając własne sumienie, ryzykowałam całą przyszłość.

- Dobrej nocy - powiedziałam jedynie, a ona odwróciła się i weszła do pokoju.

Mój był trochę dalej, w północnym skrzydle zamku. Zdawało się, że goście zostali rozlokowani zależnie od rangi. Nie było ucieczki od konieczności podkreślenia pozycji społecznej. Szłam przez korytarz szybkim krokiem. Skręciłam w prawo, gdzie niedaleko znajdował się mój pokój. Ledwo pomyślałam o ciepłym łóżku, kiedy usłyszałam jakiś hałas. Stłumione uderzenie i szuranie nogami. Zatrzymałam się i poczułam, jak jeżą mi się włosy na karku. Bałam się tego, co mogło czyhać w ciemnościach za rogiem. Ostrożnie uniosłam lampkę przed siebie i zaczęłam iść. Byłam już prawie w swoim pokoju. Chwyciłam klamkę, ale nagle zastygłam. Wydawało mi się, że z końca korytarza dochodzą jakieś głosy

Ciekawość wzięła górę nad strachem. Puściłam klamkę i postawiłam lampkę na podłodze. Zakradłam się do schodów dla służby. Słyszałam szelest materiału i zdławione szepty mężczyzny i kobiety.

Skryta w ciemności podeszłam do szczytu schodów i wychyliłam się przez balustradę. Przy oknie na półpiętrze w księżycowej poświacie stały dwie osoby. W ciasnym uścisku. Kiedy jednak przyjrzałam się bliżej, okazało się, że to nie był uścisk. Bardziej szarpanina. Mężczyzna miał na sobie strój wieczorowy, kobiety nie widziałam, ponieważ była zasłonięta jego ciałem. Dostrzegłam jedynie fragment białego fartucha służącej.

- Nie, proszę pana, nie! - Jej słowa przeszyły mnie dreszczem.

- Przestań! Puść ją! - krzyknęłam i natychmiast tego pożałowałam. Szamotanina ustała. Mężczyzna odwrócił głowę i spojrzał do góry, w tym czasie kobieta wymknęła się z jego objęć. Usłyszałam jej pospieszne kroki na schodach.

- Kto tam jest? - spytał mężczyzna. Skuliłam się tak, że nie mógł mnie widzieć. Chroniła mnie ciemność. Wycofałam się i pognałam przez korytarz do pokoju. Zatrzasnęłam za sobą drzwi i zdmuchnęłam płomień lampki. Stałam bez ruchu. Nie chciałam, by zdradził mnie jakikolwiek dźwięk, serce waliło mi jak oszalałe, w gardle zaschło. Czekałam na odgłos kroków. Zacisnęłam powieki, ale nie mogłam pozbyć się widoku twarzy skąpanej w blasku księżyca. Przypomniałam sobie wykład Cécile o tytułach arystokratycznych na przykładzie talii kart. Dziesiątka kier. Xavier de Rochefort.

Rozdział trzydziesty

Był późny poranek, po śniadaniu, kiedy razem z Isabelle weszliśmy do zamkowej biblioteki. Mężczyźni pojechali na polowanie, kobiety siedziały w salonie i plotkowały. Od wczorajszego wieczoru miałyśmy pierwszą okazję do wspólnej rozmowy bez świadków. Tak bardzo chciałam powiedzieć jej, co zobaczyłam wczorajszej nocy, ale przyszedł służący pogrzebać w kominku, musiałam więc poczekać, aż zostaniemy całkiem same. Próbowałam skupić się na książce, było to jednak niewykonalne. Już cztery razy przeczytałam tę samą stronę. Wreszcie służący wyszedł, ale zaraz po nim do biblioteki wpadła roztrzęsiona hrabina.

- Isabelle, mam ci coś ważnego do powiedzenia. Podniosłam się, by zostawić je same. Moja plotka musiała poczekać.

- Maude, możesz zostać - powiedziała hrabina zdyszonym głosem i usiadła w szerokim fotelu przy kominku. Po chwili zerwała się i zaczęła chodzić przed paleniskiem. Myślałam, że będzie leczyć niedyspozycję zamknięta w swoim pokoju, ta jednak tryskała energią. Miałam niejasne przeczucia. Dlaczego zachowywała się tak dziwnie? Intryga to było pierwsze słowo, jakie przyszło mi do głowy, kiedy

na nią spojrzałam. Ten wieczny głód w jej spojrzeniu. Chyba nie myślała, że zdoła zerwać zaręczyny księcia i angielskiej dziedziczki?

- Isabelle, skarbie, muszę ci coś powiedzieć - zaczęła grobowym tonem. Przysięgłabym, że napawała się własnym dramatyzmem.

- Tak, matko? Co się stało? Czy ojciec chory? - spytała zatroskana Isabelle, odkładając książkę. Obserwowałam hrabinę z myślą, że trudno będzie mi uwierzyć w to, co zamierzała powiedzieć. Zatrzymała się i stanęła przed kominkiem.

- Moja droga, właśnie usłyszałam wstrząsającą wiadomość.

W pierwszej chwili pomyślałam, że dowiedziała się o poczynaniach Xaviera, i ulżyło mi, że nie jestem jedyną osobą, która poznała ten mroczny sekret.

- Książę d'Avaray, nasz gospodarz i przyjaciel... - zamilkła, budując napięcie. - Jest bankrutem! To człowiek do szczytu zrujnowany! - wysyczała. - Zaraz po śniadaniu *monsieur de Rochefort* przekazał mi, że diuk od kilku miesięcy pożycza pieniądze od przyjaciół.

- Co? - szepnęłam do siebie. To brzmiało absurdalnie. Drewno w kominku trzaskało i wzniecało iskry.

- Bankrut? To brzmi jak nedorzeczna plotka - orzekła Isabelle. - A to wszystko? - Zatoczyła ręką koło.

- Xavier powiedział, że wierzyciele depczą mu po piętach. - Hrabina wydawała się zafrasowana, ale byłam pewna, że cieszą ją te doniesienia. - Moje dziecko, jakieś ty szczęśliwa!

Isabelle wyglądała na zakłopotaną.

- Szczęśliwa? Co chcesz przez to powiedzieć, matko?

- Moja droga, ty naprawdę nic nie wiesz o świecie. - Hrabina westchnęła i pokręciła głową. Jak na mój gust nazbyt dramatyzowała. - Przecież to jest skandal. Jego ojciec zostawił mu w spadku same długi, od tamtej pory książę nie zdołał z nich wyjść. Nie dość na tym. Przegrał wszystko, co tylko mógł upłynnić.

Czy to mogła być prawda? Przypomniałam sobie sprzeczkę za kulisami teatru i komentarz Xaviera poczyniony ubiegłego wieczoru. Czyżby przez cały czas wiedział o kłopotach księcia?

- Podczas ostatniej podróży do Londynu poznał lady Eleanor i dowiedział się o jej pokaźnym majątku. Właśnie dlatego się z nią zaręczył. Pomyśl tylko! O mało nie wyszłaś za bankruta!

Isabelle i ja stałyśmy oniemiałe. Ciszę przerywały jedynie wystrzały dochodzące z zewnątrz. Zaczęło się polowanie.

- Dziękuję Bogu za pana de Rochefort! Jakim taktem się wykazał. Jakaż to pociecha w tej nieznośnej chwili.

Ścisnęło mnie w żołądku. Na dźwięk tego nazwiska wróciło wspomnienie jego ukrytej w mroku twarzy. Hrabina usiadła i złapała córkę za rękę.

- Mam też dobre wieści. - Uśmiechnęła się niemrawo. - Xavier oznajmił, że na skutek nieobecności jego brata, który bawi w Indo-chinach, on sam odziedziczy tytuł po ojcu. Jego brat żyje tam jak tubylec i odmawia powrotu do Francji. To czarna owca rodziny. Co do tego wszyscy są zgodni.

Isabelle z rezerwą spojrzała na matkę.

- Jakie to ma dla mnie znaczenie? - spytała, wyrywając się z jej uścisku. Hrabina zerknęła na mnie przelotnie, by po chwili spojrzeć uważnie na córkę. Głos jej złagodniał.

- Droga Isabelle, Xavier de Rochefort poprosił o twoją rękę.

Ciszę rozdarły odgłosy wystrzałów. Kilkanaście pojedynczych dźwięków zabrzmiało jak nieśmiała brawa. Świat zaakceptował nowy związek. Powinnam była coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mi w gardle. Isabelle wyglądała na oszołomioną i zakłopotaną, a niesmak, jaki poczułam na myśl o ich małżeństwie, uwidoczniał się w postaci stróżki zimnego potu spływającej mi po karku.

- Nie mogło się to zdarzyć w lepszym czasie - kontynuowała hrabina.
- To odwróci uwagę od plotek na temat twojego skojarzenia z księciem. - Hrabina wyglądała na wniebowziętą. Strzały wciąż dudniły. - Ja i twój ojciec jesteśmy zachwyceni.

- Nie! - zdołała w końcu wydusić z siebie Isabelle. - To niemożliwe, matko. - Brzmiała groźnie. - Ledwo go lubię. I jakim prawem najpierw zapytał was, a nie mnie?

- Isabelle, nieco opamiętania, dziecko drogie. Nie musisz decydować się już teraz. - Hrabina zaśmiała się kobieco, by złagodzić napięcie. Jej fortel był nazbyt widoczny. Oparła się o siedzenie. - Ale to pewnie najlepsza propozycja, jaką mogłaś otrzymać. Może nawet jedyna. - Umilkła, pozwalając córce pojąć doniosłość jej słów.

Pomyślałam o ptakach na polu. Strzelby brzmiały dla nich jak wybuchy armatnie. Isabelle milczała.

- Nie chcę teraz słyszeć od ciebie ani słowa - oznajmiła hrabina, pochyliła się do przodu i czule pogładziła córkę po policzku. - A teraz idźcie na spacer. Ja nie będę się wtrącać.

Podniosła się i spojrzała mi prosto w oczy. Chciałam się odezwać i opowiedzieć, co widziałam zeszłej nocy, lecz mój strach przed hrabiną był silniejszy. Jej wzrok mnie zmroził. Milczałam. Odetchnęłam dopiero wtedy, kiedy drzwi się za nią zamknęły. Moje myśli wirowały. Co robić?

Isabelle podniosła się i odłożyła książkę na miejsce.

- Chodźmy się przejść - rzuciła. - Weź płaszcz.

Zimowe słońce świeciło blado, ziemia była zmarznięta. Wystrzały ucichły. Mężczyźni pewnie wracali do zamku na obiad. Przez jakiś czas się nie odzywałyśmy. Czułam ulgę. I tak nie wiedziałabym, co powiedzieć. Po jednej stronie były moja aktualna praca, świetlana

przyszłość i wpływowa hrabina; po drugiej znajdowali się przyjaciółka i odrażający narzeczoną. Jaki los jej zgotuję, jeśli wypełnię polecenie hrabiny i zmuszę Isabelle do przyjęcia zaręczyn? O ile w ogóle mnie posłucha. Jeśli się zgodzi, skończy w wielkim domu z pijanym lubieżnikiem wykorzystującym służące. A kto wie, co jeszcze kryje się za jego na pozór uroczą fasadą. Nie mogłam przestać myśleć o historii Marie-Josée z czasów, kiedy była służącą.

- *Monsieur de Rochefort* flirtuje z każdą. Nie sądziłam, że będzie tak niemądry, by mnie wybrać - powiedziała Isabelle, przerywając ciszę, i wetknęła ręce do kieszeni grubego futra. - Ale jestem córką hrabiego, więc przypuszczam, że z jego strony to czysty pragmatyzm.

Po wyjściu z ogrodu wkroczyłyśmy na leśną ścieżkę. Gałęzie nagich drzew tworzyły na niebie wzór przypominający kratownicę. Pomyślałam o wieży Eiffla.

- Twoim zdaniem jaki to typ człowieka? - spytałam, ale myślałam jedynie o tym, jakim jestem tchórzem. Czy w ten sposób miałam zbliżyć się do prawdy?

- Dość miły, nieco arogancki, szybko się nudzi. - Kopnęła w twardą ziemię. - Czy to wystarczające powody, aby mu odmówić? - Roześmiała się bez przekonania.

- Myślałam, że powiesz zdecydowane „nie”.

- Oczywiście, że taka jest moja odpowiedź! - Spojrzała mi w oczy. Jej głos był donośny i ochrypły. - Właśnie tak powiedziałam matce. Tylko... - Zamilkła na chwilę i westchnęła, zanim skończyła zdanie: - Zastanawiałam się nad tym, co powiedziałaś wczoraj w bibliotece. Może jestem naiwna, myśląc, że jeśli dostanę się na studia, zmienię własną przyszłość?

Poczucie winy ścisnęło mnie w żołądku. Moje podstępne słowa dotarły do niej i podważyły jej pewność siebie.

- A co, jeżeli nie zdam? - ciągnęła. - Czy, tak jak mówiłaś, na zawsze pozostanę pod dachem rodziców?

Była jak zapakowana w pudełko lalka na sprzedaż. Decyzję podejmowała ona, lecz jej przyszłość znajdowała się w obcych rękach. Popatrzyłam na nią i po raz pierwszy zobaczyłam siebie.

- Naprawdę mogłabyś przyjąć jego oświadczenia? - Byłam zaskoczona jej druzgocącym postanowieniem, z przerażeniem uświadamiając sobie, że sama się do tego przyczyniłam.

- Nie wierzę, że w ogóle biorę to pod uwagę. - Potrząsnęła głową. Zaczynała brzmieć rozpaczliwie. - Pewnie myślisz, że powinnam się zgodzić. - Uśmiechnęła się przelotnie. - Jak na kogoś z artystyczną duszą bywasz nieznośnie praktyczna.

Spojrzałam na ziemię. Z każdym krokiem moje buty kruszyły cienką warstwę lodu pokrywającego suche liście i gałązki. Myślałam o wszystkim, co odkryła przede mną Isabelle. Techniki fotograficzne, wiedza o architekturze, namiętność i determinacja. Mój świat poszerzył się dzięki niej.

- Sądzę, że to odpowiednie rozwiązanie dla dziewczyny takiej jak ja - kontynuowała zrezygnowana.

Przestały liczyć się dla mnie korzyści osobiste. Jeśli istniała szansa, że wstąpi w ten związek, musiałam jej powiedzieć. Była moją przyjaciółką. Zatrzymałam się.

- Nie możesz za niego wyjść - powiedziałam, odwracając się do niej. Mój głos był czysty. Postawiłam wszystko na jedną kartę. Isabelle wydawała się zaskoczona. Tego się nie spodziewała.

- Musisz dowiedzieć się czegoś o Xavierze de Rochefort. - W koronie drzewa ponad nami zakrakał kruk. Isabelle otworzyła szeroko swoje ciemne oczy.

- Powiedz mi. - Czekwała na ciąg dalszy.

- Widziałam, jak rzucał się na służącą.

- Kiedy? - Skrzywiła twarz z obrzydzenia.
- Wczorajszej nocy, kiedy poszłaś do łóżka. Usłyszałam głosy na schodach dla służby.
- Jesteś pewna? Przecież było ciemno... - nie dowierzała.
- Całkowicie. Widziałam jego twarz w świetle księżyca, wyraźnie jak za dnia. Nie wiem, kim była służąca, ale udało jej się uciec. Przynajmniej tym razem.
- Para z naszych oddechów wirowała na mroźnym powietrzu. Ruszyliśmy dalej.
- Dlaczego nie powiedziałaś nam tego w bibliotece?
- Nie mogłam spojrzeć jej w oczy. Oto stanęła nam na drodze największa przeszkoda, hrabina.
- Nie byłam pewna, jak zareaguje twoja matka i czy nie wpadnę w kłopoty. Dlaczego miałyby wierzyć moim słowom skierowanym przeciwko takiej osobistości jak Xavier de Rochefort? Wstyd mi się przyznać, ale martwiłam się o siebie.
- Już mi powiedziałaś, więc teraz to bez znaczenia. Powinnam iść z tym do matki. Jestem pewna, że kiedy jej powiemy, zerwie zaręczyny. Oczywiście będzie wściekła, bo to znowu pokrzyżuje jej plany.
- Stery suchych liści leżące na ścieżce uniemożliwiły nam dalszy spacer. Zatrzymałyśmy się.
- Do następnego razu - powiedziałam. - Twoja matka z pewnością znajdzie ci kolejnego wybranka. A gdzie ty wtedy będziesz? - Słyszałam rozpacz we własnym głosie. - To już drugie niedoszełe zaręczyny. Kto wie, jakiego kandydata podsunie ci hrabina w akcie desperacji?
- Isabelle potrząsnęła głową.
- Co mam robić?
- Powiedz jej, czego chcesz. Poinformuj ją o swoich planach.

- Teraz? - spytała. - Jeszcze nie wiem, czy się dostanę. Przytaknęłam, świadoma, że działałam na własną niekorzyść.

Właśnie wbijałam ostatni gwóźdź do własnej trumny, niweczyłam przyszłość na południu Francji, ale nie miałam wyboru. Nawet jeśli nasza znajomość nie rozpoczęła się obiecująco, Isabelle stała się moją prawdziwą przyjaciółką.

- Isabelle... - Spojrzałam jej prosto w oczy. - Wierzę w ciebie i w twoje marzenia. Możesz studiować, robić karierę i sama się utrzymywać. Wiem, że potrafisz.

Z wolna pokiwała głową, kiedy dotarło do niej, co musi zrobić.

- Stanę przed matką i wszystko jej wytłumaczę - powiedziała głośno do siebie, a oczy jej zabłyśły. Złapała mnie za rękę. - Pójdiesz ze mną?

Nie miała pojęcia, o co prosi. Wiedziałam, że po tym wszystkim hrabina odprawi mnie z kwitkiem tuż po powrocie do Paryża, a kiedy Durandeu się dowie, zatrzaśnie przede mną drzwi agencji. Moja przyszłość wisiała na włosku. Plany zadrzały w posadach. Chwyciłam Isabelle za rękę.

- Oczywiście, że z tobą pójdę.

Wydała z siebie piskliwy dźwięk i uścisnęła mnie mocno. Ramię w ramię odwróciłyśmy się i z powrotem ruszyłyśmy leśną ścieżką. Robiło się coraz chłodniej. Popołudniowe niebo nie zwiastowało opadów śniegu. W oddali na tle białego pejzażu zamajaczyły kontury zamku. Starłam się opanować narastający strach. Nie mogłam wyobrazić sobie reakcji hrabiny na słowa córki.

Rozdział trzydziesty pierwszy

Hrabina spała w swoim pokoju. W fotelu, owinięta w kaszmirowy szal. Otworzyła oczy, zamrugła powiekami i wyciągnęła ramiona do Isabelle.

- No jak, moja droga? Podjęłaś decyzję? Czeka mnie dzień pełen emocji.

W drodze powrotnej omówiłyśmy, co Isabelle powinna jej powiedzieć. Nie zrobiła kroku do przodu, nie wyciągnęła ramion. Po prostu wyrecytowała swoją odpowiedź.

- Matko, kategorycznie odmawiam poślubienia Xaviera de Rochefort. Zaaranżowaliście to, naradzając się, jakbym była tematem negocjacji.

Hrabina zbladła na twarzy i opuściła ręce na kolana.

- Doprawdy? To wszystko? - powiedziała zimnym tonem. Odwróciła się do stolika i sięgnęła po cygaretkę.

- Nie. Razem z Maude odkryłyśmy pewien niechlubny sekret Xaviera - ciągnęła Isabelle. Hrabina zapaliła papierosa i wydmuchała dym ponad swoją głowę.

Nadeszła moja kolej. Zaciskałam pięści tak mocno, że czułam paznokcie wbijające się w skórę.

- Hrabino, jeśli doprowadzi pani do tego małżeństwa, wyda pani córkę w ręce największego niegodziwca. Kogoś, kto rzuca się na bezbronną służącą.

- Nonsens! - Patrzyła na mnie przez chwilę, zaskoczona tym, że się jej sprzeniewierzyłam. - O czym ty mówisz, *mademoiselle* Pichon?

- Przybrała gniewny wyraz twarzy, a ja starałam się nie zapaść w sobie.

- To prawda - wtrąciła się Isabelle. - Maude widziała to na własne oczy.

- Mówicie o przyszłym wicehrabim de Rochefort. - Jej matka wybuchła śmiechem, próbując nas zbyć, ale wiedziałam, że sama jest zbита z tropu. Podniosła się i odrzuciła szal, wciąż z papierosem w dłoni. - Zakładając, że tak było w istocie, traktujesz słowo służącej jak prawdę objawioną?

Rzuciła na mnie okiem. Wiedziałam, że mówi o mnie. Ja byłam tą służącą. Usiadła przed toaletką.

- Nie bądź naiwna, Isabelle. Mężczyźni są, jacy są. Poza tym nie rzucił się na ciebie; to byłoby niewybaczalne. Nie sądzę jednak, żeby ta sprawa miała jakieś znaczenie. Kimże dla nas jest służba?

- Zaciągnęła się po raz ostatni i wyrzuciła niedopałek do popielniczki. Isabelle i ja spojrzaliśmy na siebie. Lekceważący ton hrabiny był odrażający.

- Przynajmniej nie podziela gustu Montesquiou - zachichotała pod nosem. - Tego nakryłabyś z lokajem. - Podszczypała policzki, by nadać im koloru. - Dziewczyna pewnie poczuła się wyróżniona, że zainteresował się nią ktoś tej rangi. Będzie o czym plotkować pod schodami. - Otworzyła flakonik perfum i spryskała się na karku oraz za uszami. - Widocznie nie była zbyt dyskretna, ale w końcu widziała ich tylko Maude.

„Oczywiście - pomyślałam - bo kimże ja jestem? Jedyne osobą bez znaczenia”.

- Decyzja zapadła, Isabelle. - Hrabina odwróciła się do nas z surowym wyrazem twarzy. - Poślubisz *monsieur* de Rochefort.

- Nie zrobię tego. - Isabella była niewzruszona. - Nie zmusisz mnie do tego. Mam inne plany.

Hrabina wstała i podeszła do nas. Oczy jej córki zapłonęły.

- Inne plany? Dla ciebie jest jedna przyszłość. Już zaplanowana. Zapach tytoniu mieszał się z wonią perfum. Myślałam tylko o tym, że jest odrażająca, odpychająca. I jakby czytała mi w myślach, skierowała swoją uwagę z Isabelle na mnie.

- A teraz, Maude, skoro tak przejmujesz się losem Isabelle, może powiesz jej, kim naprawdę jesteś. - Zalała mnie fala strachu. - Dalej, proszę. Służyłaś pewnemu celowi. Niewiele osiągnęłaś. - Skrzyżowała ramiona i patrzyła na mnie, ciesząc się ze zmienności losu. - Tak czy owak zaręczyny się odbędą.

Otworzyłam usta, by się odezwać, ale nie miałam nic do powiedzenia. Usprawiedliwiałam się bezgłośnie. Tak, byłam gotowa poświęcić posadę, aby ratować Isabelle przed koszmarnym małżeństwem. Domyślałam się, że jak tylko zostaniemy same, hrabina rozerwie mnie na strzępy. Ale tego, że postanowi zdradzić swój nieczyny plan, się po niej nie spodziewałam. Jej okrucieństwo sięgnęło zenitu.

- Matko, o czym ty mówisz? - Isabella spojrzała na nas osłupiała.

Hrabina żartobliwie przekrzywiła głowę. Jej chłód mnie przerażał. Była tak opanowana, że gniew nie buchał dzikimi kłębam dymu, lecz żarzył się do białości niczym rozgrzany pogrzebacz.

- Nie wiedziałaś, że twoja przyjaciółeczka pracuje dla mnie? Po tej krótkiej wypowiedzi mój świat rozsypał się na kawałki.

Chciałam krzyknąć. To nie działało się naprawdę. Hrabina zwróciła się do mnie:

- Co ty myślałaś? Że mnie przechytrzysz i wbijesz mojej córce do głowy niebezpieczne idee? Płaciłam ci za pracę.

Zakręciło mi się w głowie jak przy silnym wietrze, kiedy zapiera dech w piersiach.

- Nie rozumiem - przerwała Isabelle. - O czym ty mówisz? - Odsunęła się ode mnie.

Hrabina zignorowała jej pytanie.

- Szczerze mówiąc, na początku potrzebowałam tylko przeciętnej dziewczyny, która podkreśliłaby urodę mojej córki. Gdybyś nie stała się jej powiernicą, nigdy nie byłabyś także moją informatorką. Miałaś wpływać na Isabelle i zabrałaś się do tego tak naturalnie... Słuchałaś mnie bez wysiłku. To wszystko twoja sprawka. - Przywołała na usta ten sam zadowolony z siebie uśmiešek jak pierwszego dnia podczas przesłuchania w salonie.

- Czy ktoś może mi to wyjaśnić? - Isabelle podniosła głos. Hrabina spojrzała na nią.

- Isabelle, skarbie, Maude jest damą dla kontrastu. Brzydula zatrudniona po to, abyś ty wyglądała przy niej pięknie. Czuję, że potrzebujesz każdej pomocy, by wszystkich olśnić podczas tego-rocznego sezonu.

- Co takiego? - wydukała ledwo słyszalnie Isabelle z osłupiałą miną. To wszystko nie miało dla niej sensu.

Hrabina stała nieporuszona.

- Następnie została moim szpiegiem. Byłaś taka tajemnicza, a ja, jako troskliwa matka, chciałam ci tylko pomóc.

Lekkomyślność, z jaką traktowała uczucia córki, przelała czarę goryczy.

- Dlaczego udaje pani troskę o Isabelle? - Mój głos drżał. - Czy naprawdę zależy pani na jej przyszłości? A może chodziło tylko o sezon jako szansę na przeżycie drugiej młodości? - Zrobiłam krok w jej kierunku. Nogi miałam jak z waty, żołądek podszedł mi do gardła, ale zmusiłam się do powiedzenia tego, co naprawdę

myślałam. - Zazdrości pani własnej córce, która ma młodość, urodę i całe życie przed sobą. Pani już wybrała. I skończyła marnie.

Miałam ochotę płakać z wściekłości, ale przewyciężyłam to. Hrabina wybuchła szyderczym śmiechem.

- Nie jesteś niczym więcej jak tylko ulicznym śmieciem desperacko pragnącym choćby kawałka tego, co mam ja. Naprawdę obrzydliwa z ciebie kreatura.

-Ale, ale... D-dlaczego? Dlaczego mi to zrobiłaś? - jąkała się Isabelle. Spojrzałam na nią. Patrzyła przerażona na matkę, po chwili zwróciła wzrok na mnie. Nigdy wcześniej nie widziałam na jej twarzy takiego przygnębienia.

- Liczy się tylko pierwszy sezon - wyjaśniła spokojnie hrabina. - Inne dziewczęta w twoim wieku aż przebierają nogami na myśl o znalezieniu męża. Nie pozwoliłabym ci zaprzepaścić tej szansy. Maude była jedynie dodatkiem, jak biżuteria babci lub nowa sukienka. Czymś, co pozwalało ci lśnić jak na prawdziwą hrabiankę przystało. Kiedy jednak zobaczyłam, jak się dogadujecie, postanowiłam cię w ten sposób kontrolować.

Na dźwięk jej słów serce ścisnęło mi się, jakby sięgnęła po nie i chwyciła swoimi szponami. Twierdziła, że to moja wina. Może miała rację. Odkryła moją słabość, potrzebę przyjaźni i akceptacji. Byłam jej marionetką. Pozwoliłam sobą manipulować i w rezultacie manipulowałam innymi. Isabelle spojrzała na mnie z trwogą.

- Maude, powiedz, że to nieprawda!

Spojrzałam jej prosto w oczy. Kłamstwo chybotęło się na końcu języka, ale nie mogłam go wypowiedzieć.

- To prawda.

Zamknięta w zamkowej komnacie patrzyłam przez okno na sypiący śnieg, gruby i gęsty niczym spadające z nieba płatki piwo-

nii. Padało tak już od kilku godzin. Gdybym wyszła w zimną noc i spojrzała w górę, pewnie dostrzegłabym grono służących, którzy wychylają się z okien, by garściami zrzucić śnieg z koszyków. Ot tak, dla zabawy. Po wszystkim, czego doświadczyłam na salonach, nie zdziwiłoby mnie, gdyby bogacze zamawiali sobie wymarzoną pogodę.

*

Służąca pakowała mój kufer. Wszystkie ubrania, a także biżuteria, włącznie z bransoletką, którą mi podarowano, miały zostać zwrócone hrabinie. Służąca położyła suknie na łóżku i poskładała je pieczołowicie. Powinnam była czuć się przygnębiona tym widokiem, lecz stroje nie były dla mnie ważne wobec przyszłości ponurej jak noc.

- Wiesz coś? Czy kazali mi zejść na dół? - spytałam. Dziewczyna spojrzała na mnie zakłopotana. Zapewne pouczono ją, by się do mnie nie odzywała. - Proszę - nalegałam. - Muszę to wiedzieć.

- Cóż... - Westchnęła, wygładzając niebieską suknię z aksamitu. - Hrabina powiedziała, że odkryła, jakoby panienka nie była siostrzenicą *madame Vary*. Hrabina mówi, że panienka jest oszustką, naciągaczką, która próbuje wyłudzić pieniądze od bogatych.

- Oczywiście - powiedziałam, siadając na łóżku obok ubrań. Całkiem chciała mnie zniszczyć.

Służąca przestała pakować i popatrzyła na mnie.

- Hrabina oznajmiła, że dręczyła się tym, odkąd się dowiedziała, ale nie chciała zasmucać córki.

- Co za aktorka. - Pokręciłam głową. Odgrywała tragedię do samego końca.

- W końcu powiedziała, że musiała działać, gdy zaczęła podejrzewać panienkę o podburzanie Isabelle przeciwko własnej rodzinie i rujnowanie jej planów małżeńskich - ciągnęła służąca, rozkładając ubrania na warstwach papieru.

- Wierzysz jej?

- Nie bardzo - zachichotała. - Ona może powiedzieć cokolwiek przeciwko panience.

Miała rację.

- Słyszałam, jak instruuje personel, że powinna panienka zostać wydalona z zamku wraz z nadejściem świtu. Do ubrania dostanie panienka strój służącej. Mówią, że wszystkie stroje panienki pochodzą z kradzieży.

Zamknęła kufer i spojrzała na mnie spod jasnych brwi.

- Ale to wszystko nieprawda, *mademoiselle!*

Nie odpowiedziałam. Byłam oszustką. Naciągnęłam Isabelle i próbowałam zniweczyć jej marzenia.

- A co z Isabelle? - spytałam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co teraz o mnie myśli.

- Podczas kolacji ogłoszono jej zaręczyny z *monsieur* de Rochefort. Właśnie je świętują. Lokaj powiedział, że *mademoiselle* Isabelle nie wyglądała na szczęśliwą. Nie tak, jak powinna wyglądać przyszła panna młoda.

Pokręciłam głową. Hrabina chytrze sobie wykalkulowała ujawnienie mojej prawdziwej twarzy. Wykorzystała moją zdradę do złamania uporu córki. Gdybym tylko mogła ją przekonać, że traktowałam poważnie naszą przyjaźń i że na końcu starałam się ją chronić.

- Dziękuję, że podzieliłaś się tym ze mną - powiedziałam. - Wiem, że nie musiałaś.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Wezwę pomoc do zniesienia kufra.

Wyszła z pokoju, a po chwili wróciła w towarzystwie krzepkiego lokaja. Patrzyłam, jak zabierają moje rzeczy. Została mi jedynie koszula nocna, którą miałam na sobie.

Kilka chwil później służąca wróciła.

- Przepraszam, *mademoiselle* Pichon, ale dostałam polecenie zamknięcia panienki na noc. - Odwróciła wzrok zakłopotana. - Rano ktoś panienkę wypuści. A potem, obawiam się, będzie panienka zdana na siebie.

Przytaknęłam. To oczywiste, że nie byłam godna zaufania.

- Jak masz na imię? - zapytałam. Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Sophie.

- Dziękuję, Sophie - powiedziałam najmilej, jak potrafiłam. Zanim zamknęła drzwi, podbiegła i mnie uścisnęła.

- Powodzenia, panienko.

Kiedy usłyszałam dźwięk klucza przekręcanego w zamku i wiedziałam już, że zostałam sama, rozplakałam się.

Rozdział trzydziesty drugi

Byłam brudną plamą na białym pejzażu. Powóz, który miał mnie odwieźć na stację kolejową, ugrzązł w śniegu zaraz po tym, jak opuścił odśnieżony podjazd. Hrabina lepiej by tego nie zaplanowała. Droga była całkowicie nieprzejezdna. Woźnica jedynie wzruszył ramionami. Co mógł zrobić? Czym miał się przejmować? W końcu wszyscy mieli mnie za kryminalistkę, perfidną oszustkę, naciągaczkę bogatych ludzi. Z pewnością zachodził w głowę, dlaczego nie posłano mnie od razu do aresztu, tylko kazano odwieźć na stację i wręczono do tego pieniądze na bilet do Paryża. Byłam zmuszona wysiąść i brnąć w śniegu. Drogę wytyczały mi jedynie drzewa rosnące w dwóch rzędach.

Nie miałam bagażu, ponieważ kufer zarekwirowała hrabina. A więc Sophie mówiła prawdę. Kiedy rano pokojówka weszła do mojego pokoju, dała mi zaledwie strój pomywaczki. Cienką bawełnianą sukienkę, wełniane pończochy, zbyt duże buty i płaszcz przeżarty przez mole.

Marie-Josee dokładnie wszystko przepowiedziała. Pozbawiono mnie ubrań i wyrzucono za drzwi, prosto w śnieżycę. Brnąc przez zasy, pomyślałam, że skoro drogi są zablokowane, pociągi także

nie będą kursować. Mimo to szłam dalej w szczypiącym mrozie. Co innego mi pozostało?

Na tle zimowego pejzażu jedynie ciemne trzeszczące gałęzie drzew i nietrwałe ślady zwierząt na śniegu przełamowały monotonię bieli. Było tak, jakbym wkraczała w niebyt. Nie miałam nic. Straciłam prawdziwą przyjaciółkę, Isabelle, i odcięłam się od drugiej, Marie-Josee. A jeszcze Paul. Jakże okrutnie się z nim obesłam. Dlaczego nie potrafiłam powiedzieć mu prawdy?

Szłam przed siebie. Stopy mi drętwiały, w brzuchu zionęła pustka. W końcu skręciłam ze ścieżki obsadzonej drzewami i wyszłam na główną drogę prowadzącą do miasteczka. Tam śnieg nie był taki gruby. Myślałam o tym, co czeka mnie w Paryżu. Na pewno okryta hańbą zostanie wyrzucona z agencji. Miałam trochę oszczędności, choć niewiele. Przyzwyczajona do dostatniego życia z hrabiostwem, przestałam liczyć wydatki. Pieniądze przepuszczałam na ubrania i inne przyjemności, a teraz moja przyszłość jawiła się tak ponuro jak rodzinne miasteczko zasypane śniegiem.

Niebo powoli się przejaśniało. Promienie słońca zaczynały rozrywać grubą zasłonę chmur. Przyszły mi na myśl wywoływanie fotografii i czyjeś rysy pojawiające się z wolna na papierze. To odkrycie trzymało mnie przy życiu. Było prawdziwe.

Usłyszałam trzask gałęzi. Na szczęście to był tylko ptak, który wzbił się w niebo. Trzepot jego skrzydeł przypominał szelest prześcieradeł schnących na sznurze. „Nie ma to jak czyste pranie, Maude Madeleine”, mawiała matka, rozwieszając bieliznę przy wietrznej pogodzie. Gdy ona walczyła ze sznurkami, moim zadaniem było podawanie jej spinaczy. Dłonie miała zimne i czerwone od szorowania, lecz uśmiechała się do mnie szeroko. „Czuję się jak owinięta wiosennym wiatrem”. Pranie falowało wokół niej niczym żagle, załamując promienie słońca na jej twarzy.

Wspomnienie o niej zbladło i przemieniło się w biel.

Szłam jeszcze około godziny, przemarznięta do kości i mokra, zanim dotarłam do kamiennej ściany budynku, który z pewnością musiał być stacją kolejową. Zatrzymałam się przed wejściem i spróbowałam otworzyć kutą metalową bramę, którą przysypały zasy śniegu. Budka naczelnika stacji wyglądała na zamkniętą, ale smuga dymu z komina podpowiadała mi, że w środku ktoś jest. Zapukałam do drzwi i czekałam. W końcu raczył do mnie wyjść. Zirytowany sprzedał mi bilet do Paryża i wpuścił do poczekalni. Pewnie nikogo się nie spodziewał. Tego dnia byłam jedyną pasażerką. Minęło kilka godzin, zanim śnieg stopniał z torów i pociągi znowu zaczęły kursować. Miałam wystarczająco dużo czasu na przemyślenie swoich błędów i zastanowienie się nad niepewną przyszłością.

Do Paryża dojechałam w sobotę późnym wieczorem. Na szczęście przede mną była jeszcze cała niedziela. Pana Durandea miałam zobaczyć dopiero w poniedziałek. Zaciągnęłam zasłony i zaszyłam się w swoim pokoju na poddaszu. Nie zamierzałam wychodzić na zewnątrz. Zostałam w łóżku. Nie spałam, nie czytałam, po prostu leżałam, nie wykonując żadnego ruchu. Byłam jak wydrażona. Miałam chęć zapaść się w siebie. Nie byłam chora, nie umierałam, a jednak pragnęłam zniknąć, stać się niewidzialna, zobaczyć, jak wygląda śmierć. Nie chciałam zajmować miejsca na tym świecie. Zależało mi jedynie na tym, aby bezszelestnie wtopić się w otoczenie.

Przez nieszczelną futrynę w oknie wpadało powietrze, wydymając zasłonkę. Promienie słońca tworzyły wzory, które rozmywały się na ścianie przy łóżku. Teatr cieni formowany niewidzialną ręką. Czy mogłabym uchwycić to na fotografii? Wraz z kolejnym przyływem smutku uznałam, że nie ma sensu zaprzętać sobie tym głowy. Potrzebowałam pieniędzy na jedzenie i dach nad głową,

nie na klisze i odczynniki. Zamknęłam oczy na piękno i zapadłam w niespokojny sen.

Obudziłam się w poniedziałek rano i wiedziałam, że muszę iść do agencji, mimo że każda część mnie wzdrygała się na samą myśl o tym. Moje ubrania wciąż były w garderobie, nie wspominając o wynagrodzeniu za ostatni tydzień, które teraz oznaczało moje być albo nie być. Zebrałam się w sobie, umyłam, ubrałam i wyszczotkowałam włosy; miałam wrażenie, że szykuję się na pogrzeb.

Drogę do pracy znałam na pamięć. Omnibusem na drugą stronę rzeki, krótki spacer przez avenue de l'Opéra. Tego dnia było jednak gorzej, niż kiedy wybierałam się tam po raz pierwszy. Gorzej niż podczas pierwszego spotkania z Isabelle. Idąc korytarzem do garderoby, żałowałam tych chwil, kiedy stroiłam się w suknie od hrabiny i dumnie paradowałam w nich tak, żeby wszyscy mnie widzieli. Cieszyło mnie, że byłam lepsza od koleżanek. Teraz zatoczyłam koło. Wiele oddałabym, aby znowu stać się nikomu nieznaną dziewczynką, która kilka miesięcy temu przysłała tu na spotkanie w sprawie pracy.

Bez wątpienia wszyscy już wiedzieli o mojej porażce u państwa Dubern. Hrabina z pewnością wkrótce prześle panu Durandeau pełen wściekłości list o wygaśnięciu mojego kontraktu i zażąda zwrotu reszty garderoby. Jego najlepsza klientka, najcenniejsza z cennych. Ta, która zbliżyła go do salonów arystokracji. Te słowa wirowały w mojej głowie, aż w końcu musiałam zadać sobie pytanie, którego dotychczas unikałam jak ognia. Jak mnie ukarze?

Otworzyłam drzwi do garderoby. W pierwszej chwili na widok znanych mi twarzy doznałam poczucia ulgi. Nie trwało to jednak długo. Weszłam do pomieszczenia i skierowałam się do toaletki. Dziewczęta milkły jedna po drugiej i wpatrywały się we mnie. Wiedziałam już, że wiadomość o moim wyrzuceniu dotarła do wszystkich.

Na środku w zwycięskiej pozie stała Cécile. Reszta, *włącznie*, z Marie-Josée, niecierpliwie wyczekiwała na to, co powiem. Zdęłam kapelusz i usiadłam przed lustrem. Oszczędziłam Cécile pierwszego pytania.

- Hrabina mnie zwolniła - oznajmiłam, patrząc na swoje odbicie. Nie odwróciłam się.

- Wszyscy to wiemy, Maude. Tylko dlaczego? - Widziałam, jak Cécile podchodzi do mnie, triumfująca i głodna szczegółów.

- Nie zrobiłam tego, co mi kazano - odparłam prosto. - To unieważniło mój kontrakt.

- To wszystko? - Cécile nie spodziewała się tak niejasnej odpowiedzi.
- Ale co zrobiłaś?

Pomyślałam o Marie-Josée, która radziła mi, by dzielić się z nimi szczegółami z życia wyższych sfer. Niech czują się ważne. Pomyślałam, że jednak nie tym razem. Niech myślą o mnie, co chcą. Nie obchodziło mnie to.

Odwróciłam się i popatrzyłam na ich twarze. Osądzały mnie. Jedne przybrały litościwe miny, inne zaś pełne pogardy. Nie zależało mi na żadnej z nich poza Marie-Josée. Dostrzegłam jej zaróżowioną twarz i starałam się wychwycić w jej spojrzeniu choćby najmniejszy ślad przyjaźni. Nie unikała mojego wzroku, ale patrzyła na mnie pustymi oczyma. Żadnej iskielki ciepła. Nie miałam jej tego za złe. Wszak potraktowałam ją w sposób niewybaczalny.

Rozległo się pukanie do drzwi i w szparze pojawiła się piękna twarz Laurenta. Tego dnia jednak wyglądała poważnie. Wiedziałam, po co przyszedł.

- Niech zgadnę - powiedziałam. - *Monsieur* Durandea chce się ze mną widzieć?

Przytaknął.

Rozdział trzydziesty trzeci

Ku mojemu zaskoczeniu wciąż byłam zatrudniona w agencji. Minął luty zimny i szary, nadszedł marzec z przelotnymi deszczami i rzadkimi przebłyskami słońca. Zbliżała się wiosna, lecz mój nastrój nadal był ponury. Byłam osowiała i zmęczona. Zamykałam się w swojej mansardzie i patrzyłam na słońce przeciskające się przez krople deszczu na szybie. Czasami spacerowałam brzegiem Sekwany. Jedynie tam mogłam choć trochę poczuć się jak na plaży w Bretanii.

Stałam z koleżankami w salonie i czekałam, aż klientka dokona przeglądu. Przypomniałam sobie wściekle słowa pana Durandea.

- Wiem, że miałaś kłopoty, kiedy przyszedłaś tu po raz pierwszy. Z początku odmówiłaś pracy, po kilku tygodniach wróciłaś z podkulonym ogonem. Ty żalosna łajzo, bez agencji byłabyś nikim.

Upokarzał mnie, ale po aferze z hrabiną wiedziałam, że największy strach mam już za sobą. Mógł krzyczeć i obrażać mnie do woli. Ja pozostawałam niewzruszona.

- Ty nikczemna dziewucho, tak odwdzięczasz się hrabinie za opiekę? To nasza najważniejsza klientka! Wszystko, co musiałaś robić, to tylko słuchać jej poleceń! - wykrzykiwał, wymachując mi

przed twarzą listem od hrabiny, który zawierał moje przesadzone i nieprawdziwe przewinienia. Byłam jak sparaliżowana. Milczałam. Wiedziałam, że każde moje słowo tylko wydłuży tę udękę. Kiedy w końcu mnie zwolni? - Wiesz, ile nas kosztowały twoje wybryki? Gdy podpisywałam kontrakt z państwem Dubern, obliczyłem cały zysk. Teraz przez twoje przedwczesne zwolnienie mamy kilkaset franków straty!

W końcu. Niech mnie wreszcie wyrzuci.

- *Mademoiselle* Pichon, z niechęcią, ale jestem zmuszony zatrzymać cię w agencji. Odrobisz to, cośmy przez ciebie stracili.

Nie mogłam w to uwierzyć. Jego chciwość wzięła górę nad złością. Jako wyszkolona dama dla kontrastu wciąż mogłam przynosić zysk agencji, póki ta była w rozkwicie.

- Oczywiście będziesz pracować wyłącznie dla klientek niższych rangą. Żadnej arystokracji! Z twoim wychowaniem i pospolitymi manierami nie jesteś godna lepszego towarzystwa.

Znowu więc stałam w rzędku z innymi, zastygła niczym posąg, podczas gdy klientka przechadzała się pomiędzy nami. Z koleżankami trzymałam się na dystans. Przestałam uczestniczyć w codziennych pogaduszkach. Za każdym razem, kiedy mijałam Cécile, ta stroszyła się triumfalnie. Stosunki z Marie-Josée się ochłodziły. Wiedziałam, że gdybym wyciągnęła do niej rękę, jej zawziętość stopniałaby natychmiast. Byłam jednak zbyt zawstydzona, aby się do niej odezwać. Czulałam, że zasłużyłam na ostracyzm. Kiedy siedziałyśmy w garderobie, ja milcząco popijałam herbatę w kącie, trzymając w obu dłoniach gorący kubek.

Po wizycie klientki przychodziła pora obiadowa. Unikałam pokazywania się w stołówce, wołałam wtedy wyjść na miasto. Szłam wzdłuż avenue de l'Opéra i zastanawiałam się, jak długo

mogłabym się utrzymać, gdyby mnie zwolniono. Groźba ta wisiała nade mną niczym burzowa chmura. Nie wiedziałam, kiedy Duran-deau uzna, że odpracowałam swój dług. Po odłożeniu pieniędzy na pociąg do domu nie przetrwałabym do lata z reszty oszczędności. A każdy dzień w agencji mógł być moim ostatnim. Żyłam w ciągłym strachu. Gdybym została wyrzucona, paryska przygoda dobiegłaby końca. Czy ojciec przyjąłby mnie pod swój dach? Czy całe miasteczko dowiedziałoby się o mojej spektakularnej klęsce?

Na początku pracy u hrabiostwa Dubern wyobrażałam sobie, że niebawem opuszczę agencję i znajdę zatrudnienie jako pokojówka. A może zechciano by mnie przyjąć do któregoś z tych eleganckich sklepów, gdybym pojawiła się szykownie ubrana, z listem polecającym w dłoni? Teraz jednak zdawało mi się, że cały Paryż wie o mojej niesławie naciągaczki i złodziejki. Lękałam się, że hrabina może złożyć doniesienie na policję, jeśli zechce posunąć się tak daleko w swoim spektaklu. Nie zdziwiłoby mnie to. Nie mogłam uciec od rzeczywistości. Jeżeli zostałabym wyrzucona, czekał mnie powrót do ojca.

Do agencji chodziłam wcześniej rano. Tego dnia weszłam do garderoby tuż po godzinie ósmej. Byłam sama. Wolałam szybko się przebrać i znaleźć jakieś ustronne miejsce, by doczekać do rozpoczęcia pracy. Znowu nosiłam typowy strój damy dla kontrastu. Moje ubiory już dawno zostały spakowane i odesłane do hrabiny. Leroux była zachwycona takim obrotem spraw. Tego dnia wreszcie odniosłam futro, które kiedyś ukradłam. Nie miałam złudzeń, że wpadnę w jeszcze większe kłopoty, kiedy powiem pani Girard, co zrobiłam. Zamierzałam je sprzedać i zatrzymać pieniądze, nie mogłabym jednak czerpać korzyści z czegokolwiek, co miało związek z hrabiną Dubern. Powiesiłam futro obok swojego płaszcza i pogłaska -

łam je. Myślałam tylko o biednym zwierzęciu, które musiało stracić życie dla ludzkiego kaprysu.

Właśnie wkładałam agencyjny uniform, kiedy usłyszałam kroki i się odwróciłam. W progu stała Marie-Josée. Zadrżałam. Nie miałam ochoty z nią rozmawiać. Odłożyła pudełko *pains au chocolat*, które co rano przynosiła do agencji, po czym zdjęła płaszcz i kapelusz. Żeby na nią nie patrzeć, skupiłam się na guzikach sukienki. Usłyszałam, jak otwiera pudełko, po chwili doleciał mnie zapach słodkości. Zerknęłam przelotnie, co dzisiaj przyniosła. Świeżutkie bułeczki z czekoladą.

- Chcesz śniadanie? - spytała, widząc moje spojrzenie.

Popatrzyłam na nią po raz pierwszy od wielu tygodni. Chciałam powiedzieć, jak bardzo mi przykro, jak potwornie się czuję, jak bardzo pragnęłabym cofnąć to, co zrobiłam. Była moją pierwszą przyjaciółką w Paryżu. Dobrą przyjaciółką. A ja porzuciłam ją bez cienia żalu. Wyciągnęła do mnie wyszczerbiony talerz z *pain au chocolat*.

- Dziękuję, Marie-Josée.

Dziękuję, że jesteś moją prawdziwą przyjaciółką, chciałam powiedzieć. Dziękuję, że ostrzegłaś mnie przed hrabiostwem Dubern, że próbowałaś mnie powstrzymać przed spoufalaniem się z klientką. Usiadłam i skubnęłam kawałek bułeczki. Po chwili jednak odstawiłam talerz. Musiałam się odezwać.

- Miałaś rację, Marie-Josée.

Spojrzała życzliwie w moją zawstydzoną twarz.

- Ostrzegłaś mnie, lecz ja nie posłuchałam - ciągnęłam. Powoli podeszła do mnie i usiadła ciężko na krześle obok.

Chwyliła mnie za rękę i ścisnęła mocno.

- Wiem, że nietrudno jest stracić głowę przez ten blichtr - powiedziała.

Tak łatwo wybaczała. Z oczu popłynęły mi łzy.

- Życie w Paryżu jest trudniejsze, niż myślałam. Mniej marzeń, więcej koszmarów. Na początku pracy u nich byłam wystraszona i onieśmielona, później jednak Isabelle sprawiła, że zaczęłam dobrze się bawić. Widziałam i przeżywałam rzeczy, o których nawet mi się nie śniło, gdy po raz pierwszy wysiadłam z pociągu na dworcu Montparnasse. Byłam tak oczarowana, że przestałam samodzielnie myśleć.

- Co poszło nie tak? - spytała Marie-Josée miękko.

- Sprzeniewierzyłam się hrabinie. Nie chciałam, żeby Isabelle wyszła za łajdaka. Powiedziałam to, ponieważ uznałam, że tak zachowałaby się prawdziwa przyjaciółka. Nie chciałam być jej damą dla kontrastu. Pragnęłam zostać jej przyjaciółką.

- A stara wiedźma postanowiła zemścić się, wszystko wyjawiając? - spytała z niesmakiem.

- Mniej więcej tak to wyglądało. - Nie chciałam wchodzić w szczegóły, bałam się, że zaraz się rozplaczę.

- A jak zareagowała dziewczyna? - dopytywała Marie-Josée. - Nie była zbulwersowana zachowaniem matki? Nie widziała, że nie ma w tym twojej winy? W końcu to hrabina cię zatrudniła.

- Nie dano mi się wytłumaczyć. Oddzielono mnie od Isabelle i wkrótce potem wyrzucono z zamku.

Droga przez śnieg była jedną z najbardziej samotnych chwil w moim życiu. Na jej wspomnienie łzy zaczęły napływać mi do oczu, ale zdławiłam je.

Marie-Josée pokręciła głową.

- Moim zdaniem zachowałeś się lepiej niż oni wszyscy, nie wyłączając hrabiowskiej córki - oświadczyła.

- Wiem, że tego nie pochwalasz, ale Isabelle była dla mnie prawdziwą przyjaciółką. - Westchnęłam. Ścisnęła moją dłoń.

- Mam nadzieję, że my nadal jesteśmy przyjaciółkami, Maude.
- Powiedziałam ci tyle okropnych słów. Tak mi wstyd - wyznałam, patrząc jej w oczy. Było mi żal, jak jeszcze nigdy wcześniej. -Co ja bym bez ciebie zrobiła?

Pochyliła się i dała mi buziaka w policzek.

- Ludzie mówili mi gorsze rzeczy.

Zabolały mnie jej słowa. Jak ktoś mógł traktować ją w ten sposób? Spojrzałam w ziemię, uświadomiwszy sobie, że ja sama mogłam.

- No, no, Durandeu nieźle ci płacił. - Marie-Josée spojrzała na futro wiszące obok mojego płaszcza.

- To należy do tej jędzy - powiedziałam, ciesząc się ze zmiany tematu. Popatrzyła na mnie wymownie.

- I przez przypadek zaplątało ci się we własne ubrania? - Roześmiała się. - Niechże przymierzę. - Mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

- Proszę cię bardzo - powiedziałam, szczęśliwa, że znowu jesteśmy przyjaciółkami.

Marie-Josée zarzuciła futro na ramiona i zaczęła przechadzać się po garderobie.

- Rzeczywiście bardzo miłe. Chętnie pożyczylabym je na jeden wieczór.

W tamtej chwili zrobiłabym dla niej wszystko.

- Pewnie, bierz. Leroux już dawno temu odesłała moje rzeczy. Nikt się o nic nie upominał.

- Ja zrobię to z przyjemnością - powiedziała Marie-Josée, wysuwając biodro.

Zegar ścienny wybił wpół do dziewiątej. Jak na komendę drzwi się otworzyły, a do pokoju wlał się strumień dziewcząt. Podzieliły się ciastem, zaparzyły herbatę i zasiadły do plotek. Trzymałam się

obok Marie-Josée, a kiedy koleżanki zauważyły mój lepszy humor, znowu przyjęły mnie do swego grona. Marie-Josée zdjęła futro i powachlowała się rękoma.

- Ależ tu duszno. Niech ktoś otworzy okno.

Podeszłam do przesuwanego okna i po odbezpieczeniu uniosłam je, wpuszczając do wnętrza słodkie powietrze.

- Czuję, że zima żegna się z nami do przyszłego roku - zauważyła Marie-Josée.

Oparłam się o futrynę i spojrzałam na ulice i dachy domów. Wiatr łagodnie musnął moje policzki. Pozwoliłam sobie na tę delikatną pieśczętę. Zamknęłam oczy i oddychałam głęboko. Przyjaciółka miała rację. Wiosna była tuż-tuż.

Ktoś zapukał do drzwi, a po chwili usłyszałyśmy głos Laurenta:

- Nowa klientka za dziesięć minut. Żwawo, panienki, żwawo! Leniwe chwile spędzone na pogawędkach właśnie dobiegły

końca. Poszłyśmy do salonu, gdzie stanęłam obok Marie-Josée. Obie byłyśmy znudzone i zrezygnowane. Pozostałe dziewczyny również miały zubożniałe spojrzenia. Wraz ze zbliżającą się wiosną żadna z nas nie chciała siedzieć w agencji w oczekiwaniu na klientkę. Kiedy jednak pojawił się Durandeu, zamarłam. Nigdy bym się nie spodziewała, kogo zobaczę u jego boku. Szturchnęłam Marie-Josée łokciem.

- Co się stało? - szepnęła.

- To ona - powiedziałam. - To Isabelle Dubern.

Rozdział trzydziesty czwarty

Poczułam, jak Marie-Josee zeszywniała na dźwięk tego imienia. Isabelle stała przed kominkiem przy boku pana Durandea i wodziła oczami po kandydatkach. Wreszcie jej wzrok spoczął na mnie. Myślami natychmiast powróciłam na zamek, gdzie hrabina ciskała ostre słowa, a ja nie potrafiłam powstrzymać jej przed zdradzeniem naszej intrygi. Dlaczego Isabelle tutaj przyszła?

Durandea traktował ją jak każdą inną klientkę. Zapewne nie wiedział, z kim ma do czynienia. Isabelle przechadzała się przed posągowymi dziewczynami, właściwie nie spuszczać mnie z oka. Wiedziałam, że podąża w moim kierunku. Wstrzymałam oddech, zastanawiając się, co powie. Durandea jak zwykle rzucał swoje obrzydliwe sugestie, która z nas najlepiej podkreśli jej urodę. Nie zwracała nań uwagi i zmierzała w moją stronę.

- Nie usłyszałem imienia panienki - powiedział, drepcząc tuż za nią.

- Bo go nie podałam - odparła. - Cenię sobie dyskrecję.

Nie mogłam się nie uśmiechnąć na tę uwagę. Durandea był wyjątkowo zagubiony.

- Ależ naturalnie - odrzekł, choć wolałby wiedzieć, z kim robi interesy.

Isabelle zatrzymała się przede mną i Marie-Josée. Durandeu natychmiast wkroczył do akcji.

- Świetny wybór. Ta groteskowa kreatura znakomicie wyeksponuje wspaniałość kształtów ciała panienci.

Isabelle patrzyła na mnie, a ja próbowałam milcząco porozumieć się z nią. „To nie była moja wina. Co ty tutaj robisz?” Zignorowała jego słowa.

- Wezmę tę - powiedziała, wskazując na mnie. *Monsieur* Durandeu starał się ukryć zaskoczenie.

- Bardzo słusznie, *mademoiselle*. Spełnimy wszystkie wymagania.

- Czy jest wolna już teraz? Chciałabym ją zabrać na godzinę lub dwie. Była szorstka i lakoniczna, jakby Durandeu stał tu wyłącznie po to, aby spełniać jej zachcianki. Jego nozdrza poruszały się z wolna.

- Tak, możemy to załatwić. Pięć franków za godzinę, jak już mówiłem.

Isabelle wyjęła skórzaną portmonetkę.

- Ureguluję należność na miejscu.

Podbródek Durandeu zadrżał z podniecenia. Pieniądze zawsze sprawiały mu największą rozkosz.

- Wybornie.

Zainkasował całą sumę od Isabelle i zwrócił się do mnie:

- Maude, weź swój płaszcz i kapelusz. No, dalej. - Popchnął mnie swoim tłustym paluchem. - Nie stój jak ciele, rusz się.

Posłusznie opuściłam pomieszczenie. Kiedy wyszłam z garderoby, Durandeu i Isabelle stali w korytarzu.

- Mogę tylko powiedzieć, że ma panienka bardzo wyrafinowany gust - schlebiał jej Durandeu. Wyciągnął wizytówkę z kieszeni marynarki.

- Będę zaszczycony, mogąc służyć paniencie w przyszłości. I gdyby zechciała panienka polecić nasze usługi znajomym...

- Dziękuję - ucięła krótko i odwróciła się, nie wzięwszy wizytówki. Poszłam za nią na schody, zostawiając za sobą zakłopotanego Durandea.

Odkąd hrabina zdradziła córce, kim naprawdę jestem, miałam nadzieję, że jeszcze kiedyś zdołam jej wszystko wyjaśnić. Nieraz rozmyślałam nad tym, co by było, gdybym wpadła na nią przypadkowo na ulicy. Teraz jednak, idąc razem z nią przez avenue de l'Opéra, czułam, że moja głowa jest pusta.

- Na jakiej zasadzie to funkcjonuje? - spytała. - Jak powinnam użyć swojego brzydkiego dodatku? Mam nadzieję, że nie wyrzuciłam pieniędzy w błoto - warknęła.

Wciągnęłam głęboko powietrze. Nie winiłam jej za to, że miała ochotę się zemścić. Staralam się mówić spokojnie i z opanowaniem.

- Jest za wcześnie na wieczorne przyjęcie, może więc wstąpimy do jakiejś kawiarni? - zaproponowałam. Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, pod warunkiem że będę mogła się tobą wysłużyć. Chcę wyglądać przy tobie jak bogini.

Weszliśmy do kawiarni na rogu. Isabelle wybrała stolik pod oknem. Obie zamówiliśmy jedynie herbatę, nic do jedzenia. Sączyłyśmy ją w milczeniu. Przytłaczało mnie wszystko, co pragnęłam jej powiedzieć, odkąd zdemaskowała mnie jej matka. Nie wiedziałam jednak, od czego mogłabym zacząć. Isabelle pierwsza postanowiła przerwać ciszę.

- I to tyle? Po prostu siedzisz obok i sprawiasz, że pięknieję? Wpatrywałam się w listki herbaty wirujące w filiżance.

- A czego oczekiwałaś?

Uderzyła filiżanką w stół, aż podskoczyłam.

- Myślałam, że będzie przedstawienie, maskarada! Że usłyszę zabawne historyjki od mojej małpki. - Wyraźnie była w bojowym nastroju.

- Naprawdę tylko po to przyszłaś do agencji? Żeby mnie upokorzyć?
- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - spytała. Tym razem w jej spojrzeniu dostrzegłam ból. - Jak mogłaś okłamywać mnie tyle czasu?

Nie przywykłam do oglądania jej bezradnej. To sprawiało, że czułam się tylko gorzej.

- Wybacz - odrzekłam. - Nie miałam wyboru.

- Każdy ma wybór, Maude. - Jej twarz była blada, a oczy straciły dawny blask. - Ufałam ci. Byłyśmy przyjaciółkami, a ty cały czas pracowałaś dla mojej matki?

Poczucie winy miażdżyło mnie niczym żelazny gorset.

- Wolałabym wszystko ci powiedzieć, ale rozpaczliwie potrzebowałam tej pracy. - Moje tłumaczenie było żalosne.

- Wszystko było ukartowane? Nasza przyjaźń? Nasze rozmowy, wymiany poglądów? - Głos miała opanowany, lecz dłonie jej drżały. - Wymyśliłaś sobie osobowość, którą mogłabym polubić?

Byłam przerażona, że pomyślała, iż mogłabym posunąć się do czegoś takiego.

- Oczywiście, że nie. Byłam z tobą szczerą. Niczego nie udawałam. - Wyciągnęłam rękę, by jej dotknąć. - Jesteś moją przyjaciółką i nie chcę, żeby wydano cię za tego łajdaka. Powinnam była przekonywać cię do małżeństwa z nim, ale nie dałam rady. Sprzeciwiłam się twojej matce, a jej karą dla mnie było wyjawienie ci wszystkiego.

Między nami zapadła cisza. Ciekawiło mnie, czy plan zamążpójścia wciąż jest aktualny.

- Ta cała agencja to jakaś niedorzeczność - odezwała się w końcu Isabelle z kamienną twarzą. - Wyjaśnij mi to.

Nabrałam powietrza w płuca. Nie było mi łatwo o tym mówić, chociaż powinnam już się przyzwyczaić.

- Dla Durandea jesteśmy jak cienki kawałek metalu, na którym umieszcza się biżuterię, by lepiej się prezentowała. Można uważać

nas także za brzydkie siostry przyrodnie klientki, która jak Kopciuszek chciałyby zaślubić przy nich na balu.

- Nie pojmuję. - Zmarszczyła brwi i patrzyła na mnie uważnie.

- To działa na zasadzie porównania - powiedziałam zniecierpliwiona.

- Moja pospolita uroda podkreśla twoje piękno. Przecież to proste dla umysłu naukowca.

- To skandaliczne. - Isabelle złożyła ręce i oparła się na nich, jakby odrzucała moje wyjaśnienia. Była zła na mnie czy na koncepcję Durandea? Tego nie mogłam orzec.

- Wiesz, jak wiele kobiety potrafią wydać, aby poprawić urodę? - spytałam. - Natura nie jest sprawiedliwa. Porównaj storczyk z mleczem. Jeden jest rzadki i egzotyczny, drugi to pospolity chwast.

- Zaszło mi w gardle. Przerwałam i wzięłam łyk herbaty. - Tak samo jest z urodą. Jedne kobiety kuszą urokiem, inne dźwigają brzemię szpetoty, wtapiają się w tło, zawsze zwykłe, nijakie i niewidoczne.

- Tak jak ty?

- Tak jak ja - szepnęłam. Dlaczego musiałam wyjaśniać jej takie oczywistości? To było żałosne. Podniosła filiżankę z herbatą i pokręciła nią.

- Nie wierzę w to. Nie ma żadnej naukowej skali piękna. Ludzie są bardziej złożeni. Z twoich słów wynika, że istnieje pewien wzór, niemal matematyczny. Tymczasem poza wyglądem fizycznym jest mnóstwo innych cech, dzięki którym ludzie wydają się sobie mniej lub bardziej atrakcyjni.

Jak mogła być aż tak uparta? Nie miałam zamiaru kłócić się z nią o coś, co wszyscy doskonale wiedzieli.

- Na przykład jakich? - Byłam coraz bardziej rozdrażniona. - W tym mieście piękno fizyczne odgrywa największą rolę.

- Inteligencja, poczucie humoru, życzliwość. Krótko mówiąc to, co czyni cię wartościowym człowiekiem. I coś, o czym nie

wspomniałaś, czyli czujne oko obserwatora. Człowiek to skomplikowana istota.

Odstawiła gwałtownie filiżankę na spodek, triumfalnie podkreślając puentę swojej wypowiedzi. Potrząsnęłam głową.

- Łatwo ci mówić, bo ty jesteś ładna. Ja nie. Możesz sobie na to pozwolić. Tylko bogaci twierdzą, że pieniądze to nie wszystko.

Isabelle uwielbiała tego typu wyzwania intelektualne.

- Nie bronię was - powiedziała, pochylając się ku mnie. - Szukam argumentów dla siebie. W oczach mojej matki nigdy nie uchodziłam za urodziwą. Nie jestem jej kopią. Niewystarczająco piękna i kobieca, by przyciągnąć porządnego męża. Nie widzisz tego, Maude? Zasada porównania to błędne koło, ponieważ zawsze znajdzie się ktoś lepszy lub gorszy niż ty.

Jej argument związał mi język. Miała rację.

- Gdybyż tylko moja matka dostrzegła, że jestem kimś więcej niż tylko zlepkiem jej cech, będących zaledwie dalekim echem jej ideału. Mam swój rozum, swoje zdanie, uczucia i empatię dla innych. Mam serce, ona zaś jedynie bryłę lodu.

- Czy życzą sobie panie coś jeszcze? - spytał kelner, lecz nasze grobowe miny mówiły same za siebie. Kiedy sobie poszedł, Isabelle kontynuowała:

- Gdy się zaprzyjaźniłyśmy, stałam się bardziej pewna siebie. Dzięki twojej wierze we mnie przekonałam się, że mogę wiele zdziałać. Mój sen o Sorbonie stał się realny, lecz kiedy dowiedziałam się prawdy... - Zamilkła i pokręciła głową. - Poczułam, jakby cały świat stanął przeciwko mnie.

Konsekwencje mojej zdrady okazały się gorsze, niż sądziłam.

- Co dalej z tą śmieszna pracą? - spytała. - Zamierzasz tam pozostać? Gdyby to ode mnie zależało, już dawno puściłabym z torbami tego odpychającego typu.

- Jakbyś tego dokonała? - Zaśmiałam się. - Poza tym nie ja jedna się z tego utrzymuję. Pracuje ze mną mnóstwo innych dziewczyn. -Herbata mi wystygła. Odsunęłam filiżankę na bok. - Myślałam, że ją rzucę, kiedy uda mi się trochę zaoszczędzić, ale zaczęłam przepuszczać pieniądze, kupowałam nowe buty, ubrania. Prawda jest taka, że gdybym straciła zatrudnienie, wylądowałabym na ulicy.

Isabelle słuchała w milczeniu.

- Wiesz, jak tam trafiłam? - spytałam. Potrząsnęła głową. Wtedy opowiedziałam jej całą swoją historię. Powiedziałam o ojcu i jego planach wydania mnie za miejscowego rzeźnika, o szalonej ucieczce z rodzinnego domu, uporczywym poszukiwaniu pracy, zapuszczonej mansardzie i pierwszej przytłaczającej wizycie w agencji. Czułam, jak oczy zachodzą mi łzami. - Musiałam tam wrócić. Nie miałam wyboru.

Isabelle wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia.

- To niesprawiedliwe, Maude - powiedziała miękko.

- To nie twoja wina, że ludzie są próżni i okrutni - szepnęłam. Przy stoliku obok usiadło dwoje młodych ludzi. Otarłam łzy,

próbując dość do siebie. Przez jakiś czas siedziałyśmy w milczeniu. Isabelle wpatrywała się w filiżankę z herbatą.

- Będę musiała wracać. - Westchnęła, przerywając ciszę. -Geneviève czeka na mnie w powozie. Matka myśli, że jesteśmy na zakupach ślubnych. Nie wiem, dlaczego w to wierzy - dodała, wciąż jednak się nie podnosiła.

- To znaczy, że ślub się odbędzie? - spytałam. Ciężyła mi ta myśl.

- Najprawdopodobniej w lipcu - przytaknęła Isabelle.

- A co z Sorboną?

- Te marzenia już się rozwiały. - Wzruszyła ramionami. Siedziałam przybita jej oświadczeniem. Więc jednak hrabina osiągnęła swój cel.

- Musi być jakieś wyjście - nie dawałam za wygraną. - Podejź do egzaminu maturalnego i zobaczmy, co będzie dalej. Jeszcze nic straconego.

- Egzaminy są w przyszłym miesiącu. Już za późno, Maude - powiedziała zrezygnowana i odsunęła się od stolika. - Jeśli chcesz, przyjdę ponownie - dodała po chwili wahania. - Durandean nie wie, kim jestem, a ja mam trochę pieniędzy do wydania.

Te proste słowa były dla mnie jak powiew nadziei, że wciąż istnieje szansa na uratowanie naszej przyjaźni.

- Bardzo bym chciała - odparłam.

- Świetnie. Wygląda na to, że agencja ma nową stałą klientkę.
- Uśmiechnęła się szelmowsko.

Rozdział trzydziesty piąty

Życie z pozoru wróciło na stare tory. Byłam na kilku niewymagających spotkaniach z klientkami średniego szczebla. Co tydzień spotykałam się także z Isabelle. Przekonałam ją do zdawania w maju matury. Niech przynajmniej przed sobą udowodni, że potrafi dostać się na studia. Z każdym kolejnym spotkaniem nasza przyjaźń się zacieśniała. Obie jednak drżałyśmy przed niepewną przyszłością. Tymczasem hrabina była zachwycona, że jej córka zaczęła przejawiać zainteresowanie zakupami.

Nie przestawałam myśleć o Paulu. Tak bardzo chciałam z nim porozmawiać i przeprosić go za swoje grubiańskie zachowanie. Nie potrafiłam tylko zdobyć się na odwagę. Myślałam o nim także pewnego dnia, kiedy w towarzystwie Marie-Josée jadłam obiad w stołówce agencyjnej.

- Słyszałaś, że Laurent odchodzi? - spytała mnie. - Będzie kierownikiem hotelu na południu Francji.

- Odchodzi? Jaka szkoda. - Odsunęłam talerz. Gotowana szynka była twarda i żylasta. - Ale rozumiem. Jest świetny w pracy z ludźmi. Ciężko mi tylko wyobrazić sobie agencję bez niego.

- Był tu od samego początku - przyznała Marie-Josée. - Jeden życzliwy człowiek mniej.

- Myślisz, że to jakiś znak? - zapytałam. - Laurent nie jest w ciemę bity. Myślisz, że opuszcza tonący statek?

- Możliwe.

- Czy działalność agencji to tylko moda, która wkrótce przeminie?

Nagle do naszego stolika podeszła Girard.

- Maude, Marie-Josée, pan Durandeu chce was widzieć w swoim gabinecie.

- Już prawie skończyłyśmy - powiedziała Marie-Josée, wskazując głową na talerz.

- Teraz! - Girard stuknęła palcem w blat. Wymieniłyśmy spojrzenia, wstałyśmy od stołu i ruszyłyśmy za

nią do prywatnego apartamentu Durandeu. Odkąd straciłam kontrakt z hrabiną i hrabią Dubern i nie zostałam zwolniona, nasz pracodawca nie wzbudzał już we mnie takiego lęku. Idąc do niego, nie drżałam ze strachu jak wcześniej.

Kiedy weszłyśmy do gabinetu, właściciel agencji siedział za biurkiem, wystrojony w nowy garnitur, i bezmyślnie bawił się różą wetkniętą w butonierkę. Na szeszlengu stojącym pod ścianą leżały rozrzucone nasze rzeczy: buty, kapelusze, płaszcze. Durandeu podniósł na nas wzrok znad dużego pustego biurka. Pomyślałam, że tak mało ma do roboty. Kałamarza z pewnością nie otworzył od wielu tygodni. Girard stanęła naprzeciwko, żeby lepiej widzieć, jak będziemy besztane.

- Ujmę to krótko - zaczął Durandeu. - Jedna z was popełniła przestępstwo na niekorzyść agencji. Po naszym spotkaniu będzie musiała zabrać swoje rzeczy, opuścić to miejsce i nigdy tu nie wracać.

Spojrzałam na Marie-Josée. Była tak samo zdumiona jak ja. Po rzuconej przez niego groźbie znajome uczucie lęku powróciło.

- *Madame* Girard, proszę przedstawić dowód.

Girard ochotczo podeszła do szelongu, spod szala Marie-Josée wyciągnęła futrzany płaszcz hrabiny i rozpostarła go, szeroko rozkładając ramiona. Zerknęłam na przyjaciółkę. Jak mogła być tak nierozsądna, żeby przynosić go do pracy? Spojrzała na mnie przeprasząco.

- Jakiś czas temu *madame* Girard poinformowała mnie, że po zrobieniu przeglądu garderoby hrabiny Dubern zauważyła brak tego oto płaszcza. Dla mnie wina *mademoiselle* Pichon była oczywista. Girard jednak przekonała mnie, żeby poczekać, dopóki nie będziemy mieli w ręku solidnego dowodu.

- Marie-Josée - wtrąciła się Girard - znalazłam tę rzecz wśród twoich ubrań dzisiaj rano. Czy masz coś do powiedzenia na swoją obronę?

- To nie jej wina - wyrwałam się, ale Marie-Josée nie dała mi dojść do słowa.

- To ja zrobiłam. Kilka tygodni temu zabrałam ten płaszcz z magazynu.

- Nie! - sprzeciwiłam się, a serce waliło mi jak oszalałe. - To mnie proszę zwolnić, to moja wina!

- *Mademoiselle* Pichon - oznajmił Durandeu. - Ty już jesteś w poważnych tarapatach. Przypominam o konieczności spłacenia długu za zerwany kontrakt. Nie wątpię, że również maczałaś w tym palce, ale nie komplikujmy tego jeszcze bardziej. Marie-Josée - wskazał na nią palcem - od tej chwili już u nas nie pracujesz. *Mademoiselle* Pichon, wraz z ponownym zszarganiem twojej reputacji twój dług wzrasta.

Przerażona, przesunęłam spojrzenie z Durandeu na Marie-Josée. Ta zaś uśmiechnęła się do mnie niemrawo. Na żarty i bra-

wurę nie było miejsca. Nie wsparła się pod boki, nie odgryzła się, jak to miała w zwyczaju. Nagle stała się krucha i bezbronna, a ja tylko patrzyłam, jak zabiera swoje rzeczy i opuszcza agencję. Na zawsze.

Rozdział trzydziesty szósty

Wyrzucenie Marie-Josée wywołało poruszenie wśród pracowników agencji. Łzy, napady złości, ostre sprzeczki. Dotychczas nie zdawałam sobie sprawy z tego, że była podporą i fundamentem naszej grupy. Bez jej matczynej opieki przyjazna atmosfera między nami stopniowo topniała. Potwierdziły się także plotki o odejściu Laurenta. Nad pracownikami zawisło złowrogie pytanie: kto będzie następny?

Po ujawnieniu Isabelle zasad działania agencji zaczęłam odczuwać upokorzenie podobne do tego, jakie towarzyszyło mi podczas pierwszego przesłuchania. Teraz, kiedy zabrakło Marie-Josée, nabrałam energii do działania. Ziarno, które zostało zasiane w chwili, gdy Durandeu wyrzucił ją za drzwi, wykiełkowało i zaowocowało gotowym planem. Najpierw jednak musiałam porozumieć się z koleżankami. Stawką było nasze dalsze zatrudnienie, nie mogłam więc działać bez ich zgody.

Za godzinę miała pojawić się klientka. Zebrałyśmy się razem w garderobie, żeby jakoś zabić nudę. To był właściwy moment.

- Która z was lubi tę pracę? - W odpowiedzi ujrzałam pytający wzrok i usłyszałam pojedyncze prychnięcia. - Która z was jest dumna ze swojego zawodu i pod koniec tygodnia czuje satysfak-

cję na widok wypłaconej pensji? - Spojrzałam na posępne twarze. Cisza. - Żadna?

Ledwo zaczęłam, a już wiedziałam, że przykułam ich uwagę. Rozmowy ucichły, oczy wszystkich były skierowane na mnie. Poczulałam się skrępowana, ale postanowiłam wstać. Musiałam skończyć to, co zaczęłam.

- Czy któraś z was ma możliwość godziwego zarobku gdzie indziej? - spytałam.

Na chwilę zapadła cisza.

- Mój wujek mógłby załatwić mi pracę w fabryce w Dijon. - Emilie odezwała się jako pierwsza. Wszystkie zwróciłyśmy głowy w jej stronę. Spojrzała w dół i nerwowo zaczęła miąć sukienkę. - Przyznaję, że chyba nie dam rady zostać tu na kolejny sezon. - Podniosła skruszony wzrok, z jej dużych ciemnych oczu biła powaga.

- Mamy tu niezłe pieniądze. Gdzie indziej znajdziesz taką płacę? - wtrąciła się Cécile.

- Nie troszczę się o pieniądze. Tam odzyskam własną godność i bez wstydu spojrzę wieczorem w lustro.

Przez garderobę przeszedł szum.

- Dziewczyny! - zawołałam i objęłam je wszystkie wzrokiem. - Mam do was tylko jedno pytanie. Jakie są wasze marzenia? - Wbiły we mnie zdziwione spojrzenia. - Nie wiem jak wy, ale ja czuję, że ta praca zahamowała mój rozwój, przestałam myśleć o sobie i o tym, co naprawdę chciałabym w życiu robić.

Po tych ostatnich słowach zauważyłam, że zaczynają mnie rozumieć.

- A ty jakie masz marzenia, Maude? - spytała Cécile wyzywająco.

- Nauczyć się sztuki fotografii. - Moje słowa były zaskoczeniem tak dla nich, jak i dla mnie samej. - Może znaleźć zatrudnienie w profesjonalnym studiu. Robić ludziom zdjęcia portretowe.

Nawet przed samą sobą bałam się wyjawić tę skrywaną głęboko tajemnicę.

- A co z wami? O czym marzycie? - zapytałam ponownie, wodząc wzrokiem po ich twarzach. Po raz pierwszy nie mogły wydobyć z siebie głosu. - Odwagi. Na pewno chcecie czegoś więcej niż to. - Zatoczyłam ręką łuk. - A może myślicie, że tylko piękni ludzie zasługują na lepsze życie, miłość i spełnianie marzeń?

Było tak cicho, że usłyszałybyśmy upadającą na podłogę szpilkę. Czulałam jednak pulsującą energię. Ku zaskoczeniu wszystkich pierwsza odpowiedziała Cécile.

- Ja chciałabym zostać aktorką - powiedziała niemal szeptem. Popatrzyłam na resztę dziewczyn, które wciąż milczały.

- Emilie, czy praca w fabryce naprawdę jest szczytem twoich marzeń?

- Nie. - Potrząsnęła głową. - Chciałabym być pisarką. Lubię obserwować ludzi w kawiarniach i wymyślać ich historie.

- Pomyślcie o tym, czego się tutaj nauczyłyśmy - wtrąciła się Hortense. - Dobre maniery, nienaganny styl, poprawny sposób wysławiania się. Możemy wykorzystać te umiejętności w innej pracy.

- Pracuję tu już od dwóch sezonów. - Cécile aż wstała. - A z każdym kolejnym tygodniem Durandean i jego klientki są coraz gorsi. Dłużej tego nie zniosę. Tak, zarabiamy nieźle, ale czas powiedzieć dość. - Podniosła rękę. - Odchodzimy!

Wzmógł się gwar, dziewczęta zaczęły mówić jedna przez drugą.

- Jeśli wszystkie się zgadzamy... - powiedziałam, przekrzykując je.

- Posłuchajmy Maude! - upomniała je Cécile. Zrobiło się cicho.

- Mam pewien plan - rzekłam. - Zakończymy działalność tej agencji.

Rozdział trzydziesty siódmy

Od noworocznego recitalu fortepianowego bałam się spotkać Paula, a teraz, kiedy chciałam z nim porozmawiać, nie mogłam go nigdzie znaleźć. Próbowałam szukać go w jego mieszkaniu, w Café Chez Émile i wielu innych okolicznych barach, był jednak piątkowy wieczór i wszystkie lokale pękały w szwach. Nie sposób było rozpytywać o niego w tłumie artystów. Ostatnie miejsce, które przyszło mi do głowy, to teatr rewiowy przy ulicy de Rennes.

Kiedy weszłam do środka, zespół przygrywał. Dostrzegłam siedzącego za pianinem Paula. Teraz, gdy wreszcie go znalazłam, miałam ochotę uciec, ale przecież musiałam z nim porozmawiać. Pełna wątpliwości przeciskałam się w kierunku sceny przez tłum klientów. Jak zareaguje? Czy to dobry pomysł zaczepiać go tutaj? Utknęłam między dwiema podpitymi kobietami bujającymi się przy podeście. Cieszyłam się, że gra. Inaczej mógłby odejść, zanim zdążyłabym się odezwać. Zaskoczony, zatrzymał na mnie wzrok i natychmiast zrobił pogardliwą minę. To do niego nie pasowało.

- Paul, mam panu coś do powiedzenia! - starałam się przekrzyczeć muzykę.

Potrząsnął głową.

- Jestem w pracy! - odkrzyknął.

Po skończonym utworze skinął na skrzypka i akordeonistę, żeby od razu grali następny. Czekałam przy krawędzi sceny. Wszyscy muzycy patrzyli na mnie. Wszyscy poza Paulem.

- Co? Wymyśliłaś kolejne historyjki? Dość mam już twoich kłamstw!
- przekrzykiwał hałas.

- Nie! - odpowiedziałam tak samo głośno, rozpaczliwie pragnąc, by zechciał dać mi szansę. - Przyszłam wyznać prawdę. Od kilku tygodni szukałam pana po całym Montparnasse. Chcę się pogodzić. Proszę mnie chociaż wysłuchać.

Nie odpowiedział, lecz kiedy skończył kolejny utwór, wstał od pianina.

- Dziesięć minut przerwy! - krzyknął do kolegów.

Teraz, kiedy zgodził się mnie wysłuchać, ogarnęło mnie zdenerwowanie. Podeszliśmy do baru.

- Chcesz się czegoś napić? - zapytał. Potrząsnęłam głową.

- Możemy wyjść na zewnątrz? Tu jest za głośno.

Przecisnęliśmy się przez tłum szturmujący wejście. Paul przytrzymał mi drzwi i wyszliśmy na ciemną ulicę. Kwietniowe dni były ciepłe, lecz nocami wciąż rządził chłód. Z radością zaczerpnęłam haust rześkiego powietrza, które oczyściło mój umysł i pozwoliło mi się skoncentrować. Wałęsaliśmy się ulicami dzielnicy artystów, pełnymi rozbawionych ludzi. Cieszyły mnie ich krzyki i śmiechy, które odganiały wiszącą między nami bolesną ciszę. Szliśmy jedno przy drugim.

- Co masz mi do powiedzenia? - odezwał się szorstko, patrząc przed siebie z rękoma w kieszeniach. Na chwilę zacisnęłam powieki.

- Jest w Paryżu pewna agencja. Wątpię, żeby pan ją znał. Świadczy specyficzny rodzaj usług zamożnym klientkom.

Widziałam, jak na mnie spogląda. Chyba nie tego się spodziewał po mojej opowieści. Nie była żalosnym tłumaczeniem się,

którego oczekiwał. „Powiedz to najprościej, jak się da” - przekonywałam się w myślach.

-Agencja wynajmuje brzydkie dziewczyny bogatym klientkom - ciągnęłam. - Te wykorzystują je jako dodatek, na którego tle wyglądają korzystniej.

Paul zwolnił kroku. „No, dalej” - mówiłam do siebie. Powtarzałam to sobie tysiąc razy, znałam na pamięć każde słowo.

- Jak metalowa podkładka, na której umieszcza się biżuterię, aby ta piękniej lśniła. Podobnie szpetna kobieta sprawia, że arystokratka oszałamia urodą. Ja jestem jedną z tych szpetnych.

Zerknął na mnie zakłopotany i nieznacznie pokręcił głową. Porównanie Girard okazało się nad wyraz trafne. Korzystałam z niego, by przeprosić wszystkich, których okłamałam. Paul nadal milczał.

- Wstydziałam się komukolwiek do tego przyznać, szczególnie panu.

Zatrzymał się i spojrzał mi prosto w oczy.

- To nedorzeczność! - wyrzucił z siebie. - Jak mogłaś wymyślić coś takiego? Nie jesteś brzydka.

Ruszyliśmy dalej. Myślami wróciłam do mojej pierwszej rozmowy z Durandem i tego, w jaki sposób opisał mnie przed hrabiną.

- Nie jestem ani piękna, ani brzydka. W agencji uznali, że jestem całkiem nijaka - wyjaśniłam. - Dyskretna, przeciętna ozdóbka, która pasuje do debiutantki. Dziewczyna, z którą przyszedłam na recital, była moją klientką. Towarzyszyli nam jej wujek i konkurent do ręki. Nie byłam niczyją utrzymanką. Można by pomyśleć, że...

Nie mogłam dokończyć zdania. W oczach zbierały mi się łzy wstydu, a nie chciałam wybuchnąć płaczem w towarzystwie Paula.

Skręciliśmy w cichszą, boczną uliczkę. Spacerowaliśmy w milczeniu, aż znaleźliśmy niewielkie podwórko otoczone kamieni-

cami. Usiedliśmy na ławce w żółtym świetle latarni. Gałęzie drzew drżały, a wiosenne liście rzucały cienie na płaszcz Paula. Patrzył na mnie zdumiony, ale przecież nie spodziewałam się, że rozbawi go moja opowieść. Raz jeszcze pokręcił głową, jakby próbował znaleźć odpowiednie słowa.

- Brzydota jako towar, który można sprzedać? Jakież to obrzydliwe. Jakimi gruboskórnymi, niemoralnymi osobami muszą być te klientki.

- Byłby pan zdziwiony. - Zaśmiałam się. - To śmietanka towarzyska Paryża. Wynajem dam dla kontrastu to ostatni krzyk mody.

Milczał przez chwilę, obserwując mnie uważnie.

- Ależ one wszystko rozumieją na opak! - Wyciągnął do mnie rękę i pogładził dłonią po policzku. - Jesteś najurokliwszą osobą, jaką spotkałem w tym mieście świąteł. Jesteś szczerą, prawdziwą, masz bujną wyobraźnię i urodę. To obwieszona błyskotkami bogaczka z wymalowanymi ustami i burzą kręconych włosów jest dla ciebie podkładką, która podkreśla twoją czystość i siłę charakteru. To ona kontrastuje z twoim urokiem.

Przyciągnął mnie łagodnie do siebie i złożył na moich ustach delikatny pocałunek. Zamknęłam oczy, poczułam wirowanie w brzuchu i mocne uderzenie serca. Pochyliłam się w jego stronę. Nigdy wcześniej nikt mnie nie całował.

Po wszystkim Paul długo nie spuszczał ze mnie wzroku. Miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Mimo jego ciepłych słów nie byłam gotowa na takie spojrzenie. Na szczęście pocałował mnie ponownie, a ja dostałam od życia pierwszą ważną lekcję w kwestii relacji intymnych: łatwiej jest być całowaną niż obserwowaną. Przy pocałunku zamyka się oczy.

Do lokalu wróciliśmy, trzymając się za ręce. Po raz pierwszy od wielu miesięcy czułam, że odżywam. Uświadomiłam sobie, że

zanim rozpoczęłam pracę w agencji, nie uważałam się za brzydką. Być może teraz spojrzę na siebie tak, jak patrzy na mnie Paul. I odrodzę się jako dawna ja. Niczym niewidziana od lat przyjaciółka. Ścisnęłam jego dłoń, czując, że pomógł mi odzyskać siebie.

Po powrocie Paul musiał stawić czoła złości i krzykom kolegów z zespołu, a przede wszystkim swojego impresario. Kiedy wreszcie skończył grać, usiedliśmy razem, żeby się czegoś napić. Wtedy pokazałam mu fotografię. Uważnie wpatrywał się w twarze moich koleżanek.

- Nie są to najatrakcyjniejsze twarze, jakie widziałem - przyznał z uśmiechem. Klepnęłam go w ramię.

- Pomożesz nam.

Podniósł na mnie wzrok znad fotografii.

- W jaki sposób?

- Pójdiesz do Claudea, wręczysz mu to zdjęcie i powiesz, że mam dla niego historię do opisanie w gazecie. Dobrą historię.

Rozdział trzydziesty ósmy

Siedziałam na tarasie kawiarni przy dworcu Montparnasse. Na kolanach trzymałam otwartą gazetę „Le Figaro”, w której zamieszczono artykuł Claudea o aferze Durandea. Tytuł głosił: *l'Agence des Belles-Soeurs*. Publikacja, w której autor dokładnie i kąśliwie opisuje działalność przedsiębiorstwa, wywołała w Paryżu skandal. W tym samym tygodniu ukazał się jeszcze jeden tekst, tym razem oskarżający całe społeczeństwo o wykreowanie zapotrzebowania na tego rodzaju gorszące praktyki. Autor twierdził w nim, że w swej moralności Francuzi sięgnęli dna. Z dnia na dzień pracownice agencji stały się sławne. Ich klientki zaś okryły się hańbą. Wiele bogatych rodzin usiłowało ratować nadszarpniętą reputację, zaprzeczając jakimkolwiek kontaktom z agencją i temu, jakoby korzystały z jej usług.

Na nieszczęście dla nich informatorzy dziennikarza byli bardzo skrupulatni. Claude dostał ode mnie listę klientek, ich imion, nazwisk, adresów oraz wymagań co do wyglądu zewnętrznego usługodawczyni (usunęłam tylko wszystkie dane dotyczące rodziny państwa Dubern). Były pracownice zapraszano na wywiady, tworzono ich portrety i karykatury, wiele z nich otrzymało propozycje pracy od przedsiębiorców chcących zarobić na ich rozpoznawalno-

ści. Opinia publiczna postrzegala je jako bohaterkie męczennice uciśnione przez zepsuta klasę wyższą.

Artykuł był opatrzony zdjęciem podpisanym: „Czy w Paryżu wszystko jest na sprzedaż?”. Tę fotografię zrobiłam sama z wielkimi oporami, wykorzystując ostatnią kliszę od Isabelle. Przyjaciółka pomogła mi ją wywołać, a ja zaniiosłam zdjęcie do gazety. Mnie samej oczywiście na nim nie było, co okazało się zbawienne, jako że uniknęłam zainteresowania mediów. W ten sposób reputacja jej rodziny nie została narażona na szwank. Tylko Isabelle, jej matka oraz *madame* Vary znały prawdę o tym, jaką rolę odegrałam w czasie ostatniego sezonu towarzyskiego.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała zdyszana Isabelle, taszcząc naręcze książek, które rzuciła na stolik. Moja filizanka zabręczała na spodku. - Miałaś rację - dodała. - Ta księgarnia ma niesamowite tytuły.

- Chcesz najpierw napić się kawy? - spytałam, składając gazetę.

- Nie. - Pokręciła głową. - Miejmy to już za sobą. Wzięłam połowę książek ze sterty, ona zabrała resztę. Za rogiem

czekał na nas powóz hrabiostwa. Woźnica pomógł nam uporać się z ciężkimi nabytkami Isabelle. Jak tylko drzwi się zamknęły, przyjaciółka spojrzala na mnie.

- Jesteś gotowa na spotkanie z nią?

- Tak samo jak i ty. - Uśmiechnęłam się.

Hrabiny Dubern nie widziałam od wieczoru poprzedzającego moje wyrzucenie z zamku. Powóz ruszył wzdłuż stacji w kierunku prawego brzegu.

- To dzisiejsza gazeta? - spytała Isabelle.

- Tak, informacja z pierwszej strony, posłuchaj: „Durandea okryty hańbą. Agencja zrujnowana, zszargana reputacja” - przeczytałam głośno nagłówek. Isabelle się uśmiechnęła.

- A więc ci się udało.

- Nam wszystkim się udało.

Zadaszenie powozu było odsłonięte. Z oddali dostrzegłam pociąg wyjeżdżający w kłębach dymu ze stacji Montparnasse. We wrześniu przyjechałam nim do Paryża, opuszczając rodzinne miasteczko, do którego już nigdy miałam nie wrócić. Pociąg zniknął w tunelu.

Podjechałyśmy pod kremową rezydencję hrabiostwa Dubern. Zostawiłyśmy książki na stoliku przy wejściu i po kręconych schodach weszłyśmy na górę, kierując się do pokoju hrabiny. Nieustannie powtarzałyśmy sobie, co Isabelle powie matce. Kiedy weszłyśmy do środka, hrabina raczyła się właśnie popołudniową herbatą i przeglądała żurnale mody. Na nasz widok zamarła z nadgryzioną do połowy czekoladką w ustach.

- „Afera Durandean”. - Isabelle rzuciła gazetę na szeslong. - Chyba czytasz prasę, prawda?

- Jak śmiesz przyprowadzać tutaj tę osobę? - oburzyła się hrabina, po czym odstawiła pudełko czekoladek i wsparła się na łokciu.

Isabelle zignorowała jej oburzenie.

- Zamieszanie w ten skandal oznaczałoby dla naszej rodziny towarzyskie samobójstwo. Dziennikarze uganiają się za każdym, kto miał cokolwiek wspólnego z agencją. Prawda, Maude?

Przytaknęłam z sercem walącym w piersi.

- Wszyscy są żądni kolejnych szczegółów nikczemnego zachowania klasy wyższej.

Hrabina skrzyżowała ramiona i sapnęła złowrogo. Natychmiast zrozumiała powagę sytuacji.

- Czego chce za milczenie? - spytała, patrząc prosto na nią, jakby mnie tam nie było. - Pieniądzy, biżuterii?

Isabelle rozmyślała przez chwilę, delektując się swoją przewagą.

- Maude nic od ciebie nie chce. - Podniosła głowę i dała matce ultimatum: - Za to ja zerwę zaręczyny z *monsieur de Rochefort*. W tym tygodniu opublikujesz oświadczenie w tej sprawie.

Hrabina uniosła brwi.

- I... - ciągnęła Isabelle.

- I? - powtórzyła jej matka.

- Mam nadzieję, że ucieszy cię wiadomość, iż zdałam maturę i zostałam przyjęta na Sorbonę. Będę potrzebowała twojej pomocy, także finansowej.

Hrabina pokręciła głową, przymknęła oczy i zacisnęła usta.

- A zatem? - spytała moja przyjaciółka. - Doszliśmy do porozumienia?

Pani Dubern wzruszyła ramionami i zadarła nos.

- Jeśli chcesz zniszczyć swoją przyszłość i zrobić z siebie pośmiewisko, nie zdołam cię przed tym powstrzymać.

Isabelle i ja spojrzaliśmy na siebie z wyrazem triumfu na twarzach. Zanim wyszliśmy, zadałam hrabinie cios ostateczny:

- Pani hrabino, jeśli nie spełni pani żądań córki, nie zawaham się poinformować dziennikarzy o kompromitujących rodzinę Dubern gierkach małżeńskich - oznajmiłam najpoważniej, jak tylko potrafiłam, choć brakowało mi pewności siebie cechującej Isabelle. Ostrzeżenie wywołało jednak zamierzony efekt.

- Wynoście się stąd! - syknęła hrabina. - Obie! Wyszliśmy z buduaru z uśmiechami na twarzach. Korona z hukiem spadła z głowy królowej.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Jako dziecko wyobrażałam sobie, że każdy codzienny przedmiot ma własne życie. Niektóre z nich - stół kuchenny, drewniane krzesło czy kociołek do wytapiania tłuszczu - były moimi przyjaciółmi. Inne zaś - stojak na kapelusze, wysoki i złowieszczy; szafa rodziców, kanciasta, z ciemnego drzewa - uchodziły za wrogów.

Napisałam list do ojca. Pierwszy od wyjazdu z rodzinnego miasteczka kilka miesięcy wcześniej. Wyobrażałam sobie, jak go czyta, siedząc przy kuchennym stole. Przedmioty, które wyznaczyły granice mojego dzieciństwa, widziałam już tylko oczyma osoby dorosłej.

Ponownie przeczytałam ten list. Zawarłam w nim tylko to, co najważniejsze. Miałam pracę w studiu fotograficznym, byłam zdrowa i żywiłam nadzieję, że on też. Nie było potrzeby pisać więcej. Godziwe wynagrodzenie i poważana pozycja to wszystko, co go interesowało. Nie doświadczenia życiowe czy namiętność do robienia zdjęć.

Do koperty włożyłam pieniądze, które byłam mu winna, a także fotografię zrobioną na jednej z paryskich ulic. Nie widok, nie atrakcja turystyczna, lecz ludzie zgromadzeni wokół zonglującego

chłopca. Nie wiedziałam, czy mu się spodoba. Matka doceniłaby ją na pewno. Sprawiłoby jej przyjemność przyglądanie się ludziom obserwującym piłeczki podrzucane w powietrze. Zastanawiała się nad życiem każdego z nich. Cechowała ją wielka ciekawość świata.

Strata tak ważnej osoby w dzieciństwie zmienia człowieka. Po śmierci matki zabrakło mi zwierciadła mówiącego, że jestem piękna, wyjątkowa, że mogę osiągnąć wszystko, co tylko zechcę. Żyłam bez wiary i miłości, dopóki ponownie nie znalazłam ich w Paryżu.

W myślach jak zawsze spacerowałam po plaży. Moje proste przyjemności i tajemnicze miejsca z perspektywy Paryża wydawały się dziecinne i urokliwe. Już wiedziałam, że możliwości, jakie dawało życie, są gdzie indziej. Nie pod ciasnym niebem rodzinnej Bretanii.

Rozdział czterdziesty

Co zrobi arystokracja, mieszczaństwo powtórzy. Moźni porzucili paryski skwar i udali się nad chłodny ocean lub do domków letniskowych położonych między falującymi wzgórzami. Jednakże Paryż się nie wyludnił. Tysiące turystów przybyło do miasta, by wziąć udział w wystawie światowej.

Claude, jak wielu innych paryżan, uciekł od tłumów i spiekoty, zostawiając Paulowi na lato eleganckie mieszkanie w dziesiątej dzielnicy. W studiu fotograficznym pracowałam na pół etatu. Na początku obsługiwałam klientów i rozliczałam ich zakupy. Kiedy jednak właściciel zorientował się, że potrafię coś więcej, niż tylko wydawać resztę i pakować towar, pozwolił mi wywoływać zdjęcia i uczestniczyć w sesjach portretowych. Zdobywanie jego zaufania było mozolne, ale wiedziałam, że się sprawdzam.

Wszystko, o czym mi opowiadał, zapisywałam w notatniku, który dostałam od Isabelle. Nocą, szczęśliwa i gotowa do nauki, czytałam swoje zapiski. W dni wolne odwiedzałam Paula. Zazwyczaj zastawałam go komponującego w salonie Claudea, gdzie stało pianino i było miejsce na zrobienie kilku kroków. Fragmenty jego utworów, poszczególne takty, powtarzane, przerywane, później

zmieniane, były akompaniamentem do moich własnych działań twórczych.

Poranki u Claudea spędzałam w oranżerii i ogrodzie, gdzie było jaśniej. Po obiedzie wywoływałam zdjęcia w szopie na węgiel, pogrążonej w całkowitych ciemnościach. Macanie na oślepe stanowiło idealną metaforę twórczości. Chwila, którą uwieczniało się na kliszy, do samego końca pozostawała zagadką. Uwielbiałam szukać po omacku krawędzi kuwety i zanurzać w niej kliszę. Nadzieja osiągała punkt kulminacyjny w tych tajemniczych chwilach, kiedy obraz wyłaniał się z niebytu, wywołując ciarki na plecach. Nie powodowane strachem, lecz szansą, że tym razem się uda. To właśnie była fotografia.

Przeglądałam zdjęcia dawnych koleżanek. Każda z nich żyła własnym życiem, co uwieczniłam na portretach. Marie-Josée, której zostały oszczędności po pracy w agencji, otworzyła z siostrą kawiarnię. W swoim skromnym lokalu czuła się jak ryba w wodzie. Ze stałymi klientami była na „ty”. Paul pomógł Cécile znaleźć angaż w teatrze. Nie grała na razie, jedynie sprzedawała programy, ale czułam, że daleko zajdzie dzięki swej sile charakteru i pożądanym spojrzeniom, jakie rzucała na aktorów. Emilie z pomocą Claudea znalazła pracę w sekretariacie gazety.

Popołudniami, kiedy w okna uderzało ostre słońce, Paul dotrzymywał mi towarzystwa w ogrodzie. On się wygrzewał, ja zaś siedziałam w cieniu. Czasami rozmawialiśmy o naszych planach, choć częściej milczeliśmy, pogrążeni w twórczych rozmyślaniach.

Tego dnia słońce przybrało złotą barwę. Powietrze było ciężkie i słodkie. W ogrodzie ucieliśmy sobie poobiednią drzemkę. Otworzyłam oczy i zobaczyłam wróbla dziobiącego okruszki. Poczułam się taka szczęśliwa. Myślami jednak byłam przy fotografii, na której uwieczniłam Isabelle stojącą przed gmachem Sorbony. Tego dnia

dowiedziała się, że została przyjęta na uczelnię. Była jedyną kobietą na roku. Jedną odbitkę miałam ja, drugą zachowała ona. Dzięki fotografii nauczyłam się czegoś, co zapamiętam już na zawsze: sposobu, w jaki chciałabym zatrzymać całe piękno, które jawi się przed moimi oczyma. Nie to klasyczne, pełne symetrii i idealnych proporcji, czy zmieniającą się każdego sezonu modę, lecz piękno duszy, to wewnętrzne życie, które tak rzadko się objawia, tylko na chwilę i tylko wtedy, kiedy przyjrzy mu się bliżej i nauczy patrzeć na nie z otwartym sercem.

Aparat stanowił dla mnie narzędzie, dzięki któremu miałam nadzieję zakląć nieuchwytny wewnętrzny płomień fotografowanych obiektów, zarówno ludzi, jak i przedmiotów. I rzeczywiście zobaczyć, dojrzeć prawdę oraz piękno chwili. To, że sama nie uchodziłam za urodziwą, mi nie przeszkadzało. A może nie miałam potrzeby być obiektem uwielbienia? Jakże mogłabym osiąść zdolność obserwacji, jeśli sama przyciągałabym spojrzenia? Fotografia pozwalała mi na kontakt z ludźmi. Traktowałam to jak dar, kiedy do obcej osoby mogłam powiedzieć: „Proszę poczekać, mam coś ważnego do zakomunikowania”.

Być może pewnego dnia ktoś, kto wejrzy w moją duszę, to mnie zrobi zdjęcie, namaluje mój portret lub napisze o mnie słowo? Spojrzałam na Paula ze swojego zacienionego miejsca.

- Dzisiaj pójdziemy ją obejrzeć - powiedziałam.

- Jestem zbyt zmęczony, jest za gorąco - wymamrotał z zamkniętymi oczyma. Od słońca miał zaczerwienione uszy.

- Po południu będzie chłodniej. - Potrząsnęłam głową. - Chcę zobaczyć, jak wygląda w pełnej krasie.

Budowa wieży Eiffla się zakończyła. Jej sylwetka była potężna i elegancka; w ciągu dnia wyglądała jak żelazna żyrafa dumnie wyciągająca szyję, nocą zaś przypominała latarnię morską. Miałam

nadzieję, że po zakończeniu wystawy zostanie z nami, a jej piękno przetrwa jeszcze długie lata.

Słońce chyliło się ku zachodowi, kiedy wraz z Paulem stałam przed jedną z wind ukrytych w ogromnych pylonach. Załaskotało mnie w brzuchu, kiedy w tłumie ludzi wzbiliśmy się w kierunku szczytu. Na wystawie światowej atrakcji nie brakowało: fonograf Edisona, wystawa maszyn, a nawet ekspozycja prezentująca egipską wioskę. Najdłuższe kolejki ustawiały się właśnie do wieży. Niektórzy wjeżdżali na nią po kilka razy.

Wysiedliśmy na drugim poziomie. Jeszcze ponad drugie tyle i będziemy mogli ujrzeć krajobraz z lotu ptaka. Niebo przybrało pastelowy kolor. Oszołomiona widokiem wciągnęłam powietrze do płuc. Paryż, moje miasto, pełne uroku i możliwości rozciągających się w zasięgu wzroku.

To był mój czas, mój piękny czas... Moja *belle époque*.

Od autorki

Inspiracja do napisania *Belle époque* pojawiła się po przeczytaniu opowiadania francuskiego pisarza Emila Zoli (1840-1902) *Les Repoussoirs* opublikowanego po raz pierwszy w 1866 roku. Autor opisuje w nim człowieka interesu nazwiskiem Durandeu, który otwiera agencję brzydkich kobiet. Pomysł ten wydał mi się istotny w dzisiejszych czasach tak samo, jak był w epoce samego Zoli. Zaczęłam sobie wyobrażać, jak by było, gdybym to ja została jedną z takich dziewczyn. Niezdolna myśleć o niczym innym, stworzyłam własną historię i bohaterów, w szczególności Maude Pichon.

Opowieść osadziłam dwadzieścia lat po *Les Repoussoirs*, czyli od jesieni 1888 do lata 1889 roku. W tym czasie Francja ponownie stała się republiką, wcześniej jednak przeszła serię zmian i wstrząsów. Upadek Drugiego Imperium, oblężenie Paryża i krwawe powstanie. W roku 1888 stolica szykowała się do wystawy światowej, która miała ją podnieść do rangi centrum kulturalnego i technologicznego.

Dla sukcesu wystawy kluczowe okazało się wybudowanie wieży Eiffla. Wertując dokumentację, z zainteresowaniem odkryłam, że w owym czasie, jak i wiele lat później, wieża nie cieszyła

się popularnością wśród wielu paryżan, a także grona znanych artystów i architektów. Dzisiaj trudno uwierzyć w to, że uważali ją za brzydką, a wręcz koszmarną. Budowa tej kontrowersyjnej konstrukcji, obecnie symbolu miasta, stała się idealnym tłem powieści.

Sztuka z tamtego okresu stanowiła klucz do stworzenia powieściowego Paryża. Henri de Toulouse-Lautrec był artystą żyjącym w tym samym czasie co Emil Zola. Na swoich obrazach przedstawiał kawiarnie i bary Montmartre'u, a także tory wyścigów konnych, odmalowywał życie codzienne wraz z jego jasnymi i ciemnymi stronami. Jego dzieła mają zdolność do natychmiastowego przeniesienia mnie w czasie. W przesadnych, karykaturalnych postaciach rozpoznaję brzydkie kobiety z agencji. Temat piękna i brzydoty powracał w jego pracach ze względu na własne ułomności artysty. Lautrec przeżył w dzieciństwie serię wypadków, które wraz z wadami genetycznymi uczyniły z niego kalekę. „Zawsze i wszędzie brzydota ma swoje piękne strony. Podnieca mnie ich znajdowanie tam, gdzie nikt inny ich nie dostrzega” - powiedział kiedyś swojej przyjaciółce, słynnej śpiewaczce Yvette Guilbert.

Lata 80. XIX wieku to również wspaniały okres rozkwitu fotografii. Rozwój techniki pozwolił zająć się tą sztuką także amatorom. Angielska fotografka Julia Margaret Cameron, choć działająca nieco wcześniej, pozwoliła mi wyobrazić sobie, w jaki sposób moja bohaterka mogłaby obcować z tym medium. „Zatrzymuję całe piękno, jakie jawi się przed moimi oczyma”, opisała Cameron swoją namiętność do fotografii. Przytaczam jej słowa w powieści. Wyjątkowym odkryciem było dla mnie to, że wolała utrwalać piękno, niż sama uchodzić za ładną. W tę cechę wyposażyłam także Maude.

To podsunęło mi temat urody, równie pożądanej w Paryżu drugiej połowy XIX wieku, jak i w czasach współczesnych. Kanony piękna zmieniły się od tamtych czasów, dzisiejsze także przeminą.

Trwałe jest to, co przekracza granice mody. W każdej epoce to artysta poprzez swoje dzieła pokazuje nam, że piękno tak naprawdę mieszka w duszy.

Podziękowania

W pierwszej kolejności dziękuję mojej wydawczynie, fantastycznej Kriscie Marino, której talent, pasja i dobre rady uczyniły to marzenie realnym. Ogromne podziękowania składam Beverly Horowitz, która jako miłośniczka Francji wierzyła w tę książkę równie gorąco jak Kris-ta. Jestem też wdzięczna całemu zespołowi z Delacorte Press, w tym graficzkę Stephanie Moss oraz adiustatorce Colleen Fellingham.

Moja agentka, Brenda Bowen, to klasa sama w sobie w branży wydawniczej. Jestem szczęśliwa, że jej rozległe doświadczenie oraz wyborny gust pomogły mi w karierze.

Beth Ann Bauman była pierwszą orędowniczką przygód Maude, a ja korzystałam z jej niezrównanej wiedzy oraz rzemiosła. Mam ogromny dług wdzięczności wobec nich za poświęcony mi czas i ofiarowane wsparcie. W szczególności składam podziękowania Hilary Hattenbach i Lilliam Riverze, utalentowanym pisarkom i bezcennym przyjaciółkom. Dziękuję również wspaniałemu Stowarzyszeniu Autorów i Ilustratorów Książek Dziecięcych, szczególnie Kim Turrisi, dzięki której mój maszynopis trafił w odpowiednie ręce.

Merci dla Laury Davies za pokazanie mi Paryża podczas mojej wycieczki dokumentacyjnej oraz Jennifer Côté za fantastyczne zdjęcie.

Dziękuję całej mojej rodzinie i przyjaciołom, a w szczególności rodzicom. Zamiłowanie mojego ojca do opowieści, zarówno w filmie, jak i w literaturze, a także matczyne umiłowanie języka i wszystkiego, co francuskie, to niewidoczne dary, jakie otrzymałam od nich bezwiednie.

Na koniec dziękuję mojemu mężowi - Shane'owi... Bez ciebie nic nie byłoby możliwe.